

Alistair MacLean

Tylko dla orłów

Where Eagles Dare

Przełożyli Małgorzata i Andrzej Grabowscy

Wibrujący łoskot czterech olbrzymich silników tłokowych działał na nerwy i nieznosnie szturmował kurczące się bębniaki uszu. Według Smitha poziom decybeli przypominał fabrykę kotłów, co więcej fabrykę pracującą na wzmożonych obrotach, przenikliwe zimno zaś panujące w tej ciasnej, wypełnionej po brzegi kabinie pilotów, było prawdziwie syberyjskie. Z drugiej strony przyszło mu na myśl, że w każdej chwili gotów byłby zamienić się na syberyjską fabrykę kotłów, ponieważ ta, niezależnie od jej minusów, nie mogłaby spaść z nieba ani zderzyć się ze zboczem góry, co w obecnych warunkach wydawało się nie tylko prawdopodobne, ale wręcz pewne – mimo usilnych starań pilota ich bombowego Lancastera. Smith odwrócił wzrok od pociemniałego mętnego świata za szybami ochronnymi, na których wycieraczki toczyły bezcelową walkę z siekącym śniegiem i ponownie spojrzał na mężczyznę siedzącego na lewym fotelu kapitańskim.

Podpułkownik Cecil Carpenter czuł się w swoim otoczeniu jak najszcześniejsza ostryga z zatoki Whitstable w swojej skorupie. Jakiegokolwiek porównanie z syberyjską fabryką kotłów uznałby za brednie pomyleńca. Nie ulegało wątpliwości, że drżenia i wibracje działają na niego równie kojąco, jak zabiegi najdelikatniejszego masażysty, wycie silników wręcz usypia, a temperatura sprzyja odprężającej lekturze. Przed nim, w odpowiedniej odległości, na półce spuszczonej na zawiasach z bocznej ściany kabiny, spoczywała książka. Z dostrzegalnych przelotnie fragmentów niesamowitej okładki, przedstawiającej okrwawiony nóż wbity w plecy dziewczyny, która zdaje się nie miała na sobie żadnego ubrania, Smith wywnioskował, że podpułkownik żywi pogardę dla poważniejszych przedstawicieli współczesnego powieściopisarstwa. Carpenter odwrócił kartkę.

– Wspaniałe – rzekł z podziwem i zaciągnął się głęboko dymem z wysłużonej fajki, cuchnącej jak dezynfekcyjne zielsko. – Do diabła, facet umie pisać! Oczywiście na indeksie, mój młody Tremayne – rzucił w stronę młodzieńca o świeżej cerze siedzącego na fotelu drugiego pilota – a zatem nie mogę jej panu dać, dopóki pan nie dorośnie. – Przerwał, pomachał ręką w gęstym od dymu powietrzu, żeby poprawić widoczność, i spojrzał z wyrzutem na drugiego pilota. – Poruczniku Tremayne, na pańskim obliczu znów zagościł bolesny niepokój.

– Tak jest, panie pułkowniku. To znaczy, nie, panie pułkowniku.

– Choroba naszych czasów – stwierdził Carpenter ze smutkiem. – Młodzi nie doceniają tylu rzeczy, na przykład świetnego tytoniu fajkowego, nie mówiąc o własnym dowódcy. – Westchnął ciężko, starannie zaznaczył w książce miejsce, gdzie skończył, złożył podpórki i wyprostował się w fotelu. – Zdawałoby się, że we własnej kabinie człowiek ma prawo do chwili spokoju i ciszy.

Odsunął boczną szybę. Lodowaty podmuch gęstego od śniegu wiatru wtargnął do wnętrza, wnosząc ze sobą spotężniały nagle ryk silników. Carpenter skrzywił się i wysunął głowę, osłaniając oczy dłonią w rękawiczce. Po upływie pięciu sekund zniechęcony potrząsnął głową, zacisnął oczy, krzywiąc się przy tym jakby z bólu, cofnął głowę, zasunął szybę, zgarnął dłonią śnieg z płomiennie rudych włosów i ze wspaniałych wiehcy wąsów, po czym odwrócił się do Smitha.

– To nie byle co, majorze, zabłądzić w zamieci, lecąc nocą nad rozdartą wojną Europą.

– Błagam, panie pułkowniku – zaprotestował żałośnie Tremayne.

– Nikt nie jest nieomylny, mój chłopcze. Smith uśmiechnął się grzecznie.

– Chce pan przez to powiedzieć, że nie wie pan, gdzie jesteśmy?

– Skąd mogę wiedzieć? – Carpenter obsunął się nieco w fotelu, przymknął oczy i ziewnął szeroko. – Ja tylko prowadzę maszynę. Mamy nawigatora, nawigator ma radar, a ja nie ufam ani jednemu, ani drugiemu.

– Proszę, proszę. – Smith potrząsnął głową. – I pomyśleć że mnie okłamano w Ministerstwie Sił Powietrznych. Powiedziano mi, że latał pan ze trzysta razy z różnymi misjami i że zna pan Europę lepiej niż przeciętny taksówkarz zna Londyn.

– Paskudna plotka puszczone przez wrogów, którzy usiłują przeszkodzić mi w zdobyciu cieplej posadki za biurkiem w Londynie. – Carpenter zerknął na zegarek. – Uprzedzę pana dokładnie na trzydzieści minut przedtem, zanim wypchniemy was nad strefą zrzutu. – Jeszcze raz zerknął na zegarek i mocno zmarszczył brwi. – Poruczniku Tremayne, pańskie poważne zaniedbanie obowiązku grozi niebezpieczeństwem całej misji.

– Słucham, panie pułkowniku? – Na twarzy Tremayne'a odmalował się jeszcze większy niepokój.

– Powinienem był dostać kawę dokładnie trzy minuty temu.

– Tak jest, panie pułkowniku. W tej chwili, panie pułkowniku.

Smith znów się uśmiechnął, wstał prostując się ze skulonej pozycji za fotelami pilotów i opuścił kabinę kierując się ku tyłowi Lancastera. Tu, w zimnym, ponurym, odpychającym kadłubie samolotu, który najbardziej przypominał żelazny grobowiec, wrażenie przebywania w syberyjskiej fabryce kotłów podwajało się. Wypełniający go hałas był prawie nie do zniesienia, zimno przenikliwe, a metalowe, metalem żebrowane ściany, z których skapywała skroplona para, nie zapewniały nawet odrobiny komfortu. Równie nie sprzyjały wygodzie przyśrubowane do podłogi siedzenia: sześć metalowych ram obciążniętych płótnem – oszalały funkcjonalizm. Próba wprowadzenia tych z sadystycznym zacięciem zaprojektowanych narzędzi tortur do więzień Jego Królewskiej Mości spowodowałaby ogólnonarodowy protest.

W owe sześć siedzeń było wciśniętych sześciu mężczyzn. Smith pomyślał, że chyba

nigdy w życiu nie widział takiej szóstki nieszczęśliwców. Podobnie jak on, wszyscy ubrani byli w mundury niemieckich Strzelców Alpejskich. Podobnie jak on, mieli po dwa spadochrony. Wszyscy trzęśli się bezustannie, tupali nogami, zabijali rękami, a ich zmarznięte oddechy wisiały w lodowatym powietrzu. Na wprost nich, wzdłuż górnej części prawej burty kadłuba, przebiegał napięty metalowy drut, który dalej znikał ponad drzwiami. Na drucie tym umocowane były zaczepy, od których zbiegały w dół druty połączone ze spadochronami spoczywającymi na szczycie góry pakunków o najróżnorodniejszych kształtach. Można było ustalić zawartość tylko jednego z nich, a to dzięki wystającym końcom kilku par nart.

Najbliżej siedzący spadochroniarz, ciemnowłosy nerwowy mężczyzna o latynoskich rysach, podniósł oczy na wchodzącego Smitha. Smith pomyślał, że po raz pierwszy widzi Edwarda Carraciolę z aż tak nieszczęśliwą miną.

– I co? – Głos Carracioli był równie nieszczęśliwy jak jego mina. – Założę się, cholera, że nie wie ani trochę lepiej ode mnie, gdzie jesteśmy.

– Rzeczywiście, wygląda na to, że ustala trasę przelotu nad Europą od czasu do czasu otwierając okno i wężąc – przyznał Smith. – To jednak mnie nie martwi...

Przerwał na widok strzelca pokładowego w stopniu sierżanta, który wkroczył z tylnej kabiny niosąc blaszankę z dymiącą kawą i emaliowane kubki.

– Mnie też nie, panie majorze. – Sierżant uśmiechnął się wyrozumiale. – Pułkownik ma swoje drobne przyzwyczajenia. Kawy, panowie? W bazie twierdzi, że podczas całego lotu czyta kryminały, a w sprawie namiarów polega na jednym ze strzelców, który co jakiś czas informuje go, gdzie jesteśmy.

Smith oplótł kubek zziębniętymi dłońmi.

– A czy chociaż pan wie, gdzie jesteśmy?

– Oczywiście, panie majorze. – Sierżant wyglądał na szczerze zdziwionego; skinieniem głowy wskazał metalowe szczeble wiodące do górnej wieżyczki strzeleckiej. – Proszę tylko skoczyć tam i spojrzeć w dół na prawo.

Smith uniósł pytająco brew, oddał kubek, wspiął się po drabince i spojrzął na prawo przez kopułę z pleksiglasu wieńczącą wieżyczkę. Przez kilka sekund miał w oczach tylko ciemność, a potem stopniowo, nisko w dole i niewyraźnie poprzez zacinający śnieg, wyróżnił wzrokiem pośród nocy niesamowitą poświatę, poświatę, która powoli ułożyła się w krzyżowy wzór oświetlonych ulic. Przez jedną krótką chwilę na jego twarzy odmalowało się głębokie niedowierzanie, które szybko ustąpiło miejsca zwykłej spokojnej i posepnej minie.

– No, no. – Odebrał swoją kawę. – Ktoś powinien im zwrócić uwagę. W całej Europie gaszą światła.

– Ale nie w Szwajcarii – cierpliwie wyjaśnił sierżant. – To Bazylea.

– Bazylea? – Smith wlepił w niego wzrok. – Bazylea! Do licha, zboczył z kursu siedemdziesiąt albo osiemdziesiąt mil. Według planu nasza trasa biegła na północ od Strassburga.

– Tak jest, panie majorze. – Sierżant wcale się nie zmieszał. – Pułkownik powiada, że nie zna się na planach lotów. Uśmiechnął się na wpół przepraszająco. – Prawdę mówiąc, jest to trasa naszych nocnych rundek do Voralbergu. Lecimy nią na wschód wzdłuż granicy szwajcarskiej, potem na południe od Schaffhausen...

– Ależ to jest nad terytorium Szwajcarii!

– Doprawdy? W pogodną noc widać światła Zurychu. Powiadają, że pułkownik Carpenter ma tam na stałe zarezerwowany pokój w Baur-au-Lac.

– Co takiego?

– Twierdzi, że gdyby miał wybierać pomiędzy obozem jenieckim w Niemczech a internowaniem w Szwajcarii, to wie dobrze, po której stronie granicy wylądaje... Potem lecimy po szwajcarskiej stronie Jeziora Bodeńskiego, na wysokości Lindau skręcamy na wschód, wzbijamy się na wysokość ośmiu tysięcy stóp, żeby przeskoczyć góry, a wtedy raz-dwa-trzy i już jest Weißspitze.

– Rozumiem – powiedział Smith słabym głosem. – Ale... ale czy Szwajcarzy nie protestują?

– Bardzo często, panie majorze. Zdaje się, że ich skargi dotyczą właśnie tych nocy, kiedy my odwiedzamy te strony. Pułkownik Carpenter twierdzi, że to jakiś nieżyczliwy pilot Luftwaffe usiłuje go zdyskredytować.

– Cóż jeszcze? – spytał Smith, ale sierżant był już w drodze do kabiny pilotów.

Lancaster przechylił się nagle, trafiwszy w jedną z rzadko zdarzających się dziur powietrznych. Żeby utrzymać równowagę, Smith chwycił się poręczy, a porucznik Morris Schaffer z amerykańskiego Biura Wywiadowczego, obecnie zastępca Smitha, zaklął soczyście, kiedy większa część gorącej kawy wylała mu się na udo.

– Tego mi właśnie brakowało – rzekł z goryczą. – Ani śladu po moim duchu bojowym. Proszę Boga, żebyśmy jednak rozbili się w Szwajcarii. Pomyślcie tylko o tych cudownych Wienerschnitzlach i Apfelstrudlach. Po paru latach przeżytych wśród was, herbaciarzy, na konserwach mięsnych, jajkach w proszku i uncji margaryny dziennie tego właśnie potrzeba synkowi mamy Schaffer. Wzmocnienia!

– A poza tym pożyłbyś o wiele dłużej, przyjacielu – zauważył ponuro Carraciola. Przeniósł wzrok na Smitha i obrzucił go długim, uważnym spojrzeniem. – Cały ten interes cuchnie, majorze.

– Nie bardzo rozumiem – odparł spokojnie Smith.

– Samobójcza sprawa, to mam na myśli. Co za zbieranina! Wystarczy na nas spojrzeć.
– Wskazał w lewo na trzech najbliższych niego siedzących mężczyzn: Olafa Christiansena, płowowłosego krewniaka Leifa Ericssona, Lee Thomasa, krępego ciemnowłosego Walijczyka, obu lekko rozbawionych, oraz Torrance-Smythe’a, ospałego i arystokratycznego jak francuski eks-hrabia wieziony na katowskim wózku, żalosego wykładowcę z Oksfordu, który najwyraźniej pragnął znaleźć się z powrotem wśród kruzganków uniwersytetu. – Christansen, Thomas, Smithy i ja. Jesteśmy niczym więcej, jak tylko zbieraniną urzędników, kancelistów...

– Dobrze wiem, kim jesteście – powiedział spokojnie Smith.

– Albo pan sam. – Pośród nie skoordynowanego grzmotu silników cicho wypowiedziana uwaga Smitha nie została dosłyszana. – Major w Black Watch, Królewskim Pułku Szkockim. Niewątpliwie wspaniale pan wypadł grając na kobzie w El Alamein, ale czemu, u diabła, akurat pan ma nami dowodzić? Bez obrazy. Ale pan jest tak samo nie z tej branży jak my. Albo porucznik Schaffer. Powietrzny kowboj...

– Nienawidzę koni – powiedział głośno Schaffer. – Właśnie dlatego musiałem opuścić Montanę.

– Albo weźmy George’a. – Carraciola wskazał kciukiem ostatniego członka grupy, George’a Harroda, krępego radiotelegrafistę, sierżanta wojsk lądowych, którego twarz wyrażała głęboką rezygnację. – Założę się, że on jeszcze nigdy nie skakał ze spadochronem.

– Mam dla was nowinę – powiedział Harrod ze stoickim spokojem. – Ja jeszcze nigdy nie leciałem samolotem.

– On jeszcze nigdy nie leciał samolotem! – W głosie Carracioli zabrzmiała rozpacz. – Mój Boże, co za beznadziejna zbieranina! Nam jest potrzebny zespół złożony z doświadczonych alpinistów, komandosów, specjalistów od wspinaczki, rozpruwaczy sejfów, a co mamy? – Wolno potrząsnął głową. – Mamy siebie.

– Pułkownik Wyatt-Turner był w stanie zebrać tylko nas – powiedział Smith łagodnie. – Bądźmy sprawiedliwi. Powiedział nam wczoraj, że jedyną rzeczą, której absolutnie nie ma, jest czas.

Carraciola nic nie odpowiedział, nie odezwał się też żaden z pozostałych, ale Smith nie musiał być jasnowidzem, żeby wiedzieć, o czym wszyscy myślą. Myśleli o tym samym co on, tak jak on cofnęli się myślą o kilka godzin i kilkaset mil do sali operacyjnej Admiralicji w Londynie, gdzie wiceadmirał Rolland, rzekomo zastępca dowódcy operacji morskich, a w rzeczywistości długoletni szef M.I.5 wydziału do spraw kontrwywiadu Brytyjskiej Służby Wywiadowczej, oraz jego zastępca, pułkownik Wyatt-Turner, z powagą i powściągliwością przeprowadzili z nimi odprawę przed – jak stwierdzili z równą powagą

i powściągliwością – misją zrodzoną z czystej rozpacz.

– Diabelnie mi przykro i tak dalej, moi drodzy, ale czas jest wszystkim. – Wyatt-Turner, potężnie zbudowany pułkownik o czerwonej twarzy i gęstych węsach, stuknął laseczką w mapę ścienną Niemiec, wskazując punkt „tuż na północ od granicy austriackiej i nieco na zachód od Garmisch-Partenkirchen. – Nasz człowiek został zestrzelony w tym miejscu dzisiaj o drugiej w nocy, ale naczelne dowództwo w całej swej wszechwiedzącej mądrości zawiadomiło nas dopiero o dziesiątej rano. Przekłęci idioci! Przekłęci idioci, bo dali nam znać z takim opóźnieniem, i podwójnie przekłęci idioci, bo przede wszystkim nie posłuchali naszej rady. Boże, czy oni nigdy nie nauczą się nas słuchać? – Potrząsnął głową ze złością i ponownie stuknął w mapę. – No cóż, jest tutaj. W Schloss Adler. Orlim Zamku. Wierzcie mi, że to dobra nazwa, tylko orzeł może się tam dostać. Naszym zadaniem...

– Skąd ta pewność, że on tam jest, panie pułkowniku? – spytał Smith.

– Jesteśmy pewni. Mosquito, którym leciał, rozbił się w odległości dziesięciu mil. Pilot przesłał przez radio wiadomość na chwilę przed otoczeniem przez niemiecki patrol. – Wyatt-Turner przerwał, uśmiechnął się ponuro i mówił dalej: – Schloss Adler, majorze Smith, to połączona centrala niemieckiego wywiadu i Gestapo w południowych Niemczech. Gdzie indziej mogli go zabrać?

– No tak, rzeczywiście. W jaki sposób go zestrzelono, panie pułkowniku?

– To był doprawdy wyjątkowy pech. Ostatniej nocy przeprowadziliśmy masowy nalot na Norymbergę i w odległości stu mil od granicy austriackiej nie powinno być niemieckiego myśliwca. Ale jakiś zabłąkany patrolowy Messerschmidt dostał go. To zresztą nieważne. Ważne, żeby go wydostać, zanim zacznie mówić.

– Będzie mówił – rzekł ponuro Thomas. – Wszyscy mówią. Dlaczego więc zlekceważyli naszą radę? Przecież mówiliśmy im o tym dwa dni temu.

– Teraz nie chodzi już o to, dlaczego – powiedział Wyatt-Turner zmęczonym głosem. – Już nie. Ważne jest to, że on będzie mówił. Więc go wydostaniemy. Wy go wydostaniecie.

Torrance-Smythe dyskretnie odchrząknął.

– Są przecież spadochroniarze, panie pułkowniku.

– Strach obleciał, Smithy?

– Naturalnie, panie pułkowniku.

– Schloss Adler jest niedostępny i nie do zdobycia. Trzeba by całego batalionu skoczków, żeby go wziąć.

– Oczywiście – powiedział Christansen – fakt, że nie ma czasu na zorganizowanie zmasowanego ataku spadochroniarzy, w tym przypadku się nie liczy. – Wyglądał na wielce

uradowanego, przedstawiona operacja najwyraźniej szalenie mu się podobała.

Wyatt-Turner, obdarzywszy go łaskawie spojrzeniem swoich lodowato niebieskich oczu, postanowił nie zwracać uwagi.

– Cała nadzieja w dyskrecji i sprytnym podejściu wroga – ciągnął. – A wy, panowie, jesteście, ufam, dyskretni i sprytni. To wasza specjalność, podobnie jak utrzymywanie się przy życiu po stronie wroga, gdzie każdy z was spędził sporo czasu. Obecni tu major Smith, porucznik Schaffer i sierżant Harrod przebywali tam w charakterze zawodowym, pozostali, hmm, spełniali inne zadania. Z...

– To było cholernie dawno temu, panie pułkowniku – wtrącił Carraciola. – Przynajmniej w przypadku Smithy’ego, Thomasa, Christiansena i moim. Wyszliśmy z obiegu. Nie znamy najnowszych rodzajów broni ani technik walki. Bóg jeden wie, jak dalecy jesteście od formy. Po paru latach za biurkiem wyczerpuje mnie podbiegnięcie pięćdziesięciu jardów do autobusu.

– Trzeba ją będzie szybko odzyskać – zimno stwierdził Wyatt-Turner. – Poza tym najbardziej liczy się to, że z wyjątkiem majora Smitha wszyscy dobrze znacie Europę Zachodnią. Wszyscy płynnie mówicie po niemiecku. Przekonacie się, że wasze przygotowanie bojowe – do zadań, jakie was oczekują – jest dziś równie dobre jak pięć lat temu. Wszyscy jesteście znani ze swojej nieprzeciętnej pomysłowości, sprawności i przedsiębiorczości. Jeżeli ktoś ma szansę powodzenia, to właśnie wy. Oczywiście wszyscy jesteście ochotnikami.

– Oczywiście – powtórzył Carraciola przybierając obojętną minę i spojrzał w zamyśleniu na Wyatt-Turnera. – Jest też oczywiście inny sposób, panie pułkowniku. – Przerwał, a potem prawie szeptem dodał: – Gwarantujący stuprocentowe powodzenie.

– Ani admirał Rolland, ani ja nie uważamy siebie za nieomylnych – wycedził Wyatt-Turner. – Czyżbyśmy przeoczyli jakąś możliwość? Ma pan sposób na rozwiązanie naszych problemów?

– Tak. Skrzyknąć dywizjon rozpoznawczy Lancasterów z dziesięcotonowymi minami morskimi. Sądzi pan, że ktokolwiek w Schloss Adler jeszcze by potem przemówił?

– Nie wydaje mi się – odezwał się łagodnie i po raz pierwszy wiceadmirał Rolland, odrywając się od mapy ściennej i idąc w stronę grupy. Rolland zawsze przemawiał łagodnie. Mając tak niewiarogodnie szeroką władzę jak on, nie trzeba mówić głośno, żeby być słyszany. Był to niski, siwowłosy mężczyzna o głęboko pobrużdżonej twarzy i niezmiernie autorytatywnym wyglądem.

– Nie – powtórzył – nie wydaje mi się. Nie sądzę też, żeby pańskie nieprzejednanie dorównywało rzeczywistej znajomości sytuacji. Schwytany człowiek, generał porucznik Carnaby, jest Amerykaninem. Gdybyśmy pozbawili go życia, generał Eisenhower

prawdopodobnie skierowałby swój Drugi Front przeciw nam, zamiast Niemcom. – Uśmiechnął się z dezaprobatą, jakby chciał zatrzeć strofujący ton. – W stosunkach z sojusznikami obowiązuje nas pewna... hmm... subtelność. Zgodzą się panowie?

Carraciola nie wyraził zgody ani sprzeciwu. Widocznie nie miał nic do powiedzenia. Pozostali również zachowali milczenie. Pułkownik Wyatt-Turner odchrząknął.

– To by było wszystko, panowie. Dziesiąta wieczór na lotnisku. Nie ma więcej pytań, jak mi się zdaje?

– O nie, panie pułkowniku, jest jeszcze jedno, za przeproszeniem, cholernie ważne pytanie. – Sierżant Harrod miał nie tylko rozgorączkowany głos, ale i wyglądał na wzburzonego. – O co w tym wszystkim chodzi? Czemu ten stary przyk jest taki ważny? Czemu, do diabła, musimy nadstawiać karku...

– Wystarczy, sierzancie. – Głos Wyatt-Turnera zabrzmiał ostro i autorytatywnie. – Wiecie wszystko, co trzeba wiedzieć...

– Jeżeli wysyłamy człowieka być może na śmierć, pułkowniku, wydaje mi się, że ma prawo wiedzieć dlaczego – przerwał łagodnie, niemal przepaszająco wiceadmirał Rolland. – Pozostali wiedzą. On też powinien. To boleśnie proste, sierzancie. Generał Carnaby jest nadrzędnym koordynatorem planu akcji Drugiego Frontu, znanej pod nazwą Operacja Overlord. Zgodne z prawdą byłoby stwierdzenie, że nikt nie wie więcej na temat alianckich przygotowań do Drugiego Frontu niż on.

Zeszłej nocy wyruszył na spotkanie z odpowiadającymi mu rangą przywódcami z Bliskiego Wschodu, Rosji i frontu włoskiego, żeby dokonać koordynacji ostatecznych planów inwazji na Europę. Spotkanie miało się odbyć na Krecie, jedynym miejscu, na jakie zgodzili się Rosjanie. Nie mają samolotów na tyle szybkich, żeby uciec niemieckim myśliwcom. Nasz Mosquito mógłby, ale zeszłej nocy nie zdołał.

Surowe wnętrze sali odpraw zaległa przygniatająca cisza. Harrod przetarł oczy dłonią, a potem wolno potrząsnął głową, jakby chcąc rozproszyć milczenie. Kiedy znów przemówił, w jego głosie nie było już ani śladu agresywności i gniewu. Bardzo powoli wydobywał z siebie słowa.

– A jeżeli generał zacznie mówić...

– Będzie mówić – rzekł Rolland. Jego głos był cichy, lecz wyrażał całkowite przekonanie. – Jak przed chwilą zauważył pan Thomas, wszyscy mówią. Nic na to nie poradzi. Wystarczy mieszanka meskaliny i skopolaminy.

– I wyjawi im wszystkie plany Drugiego Frontu. – Słowa te pochodziły od człowieka jakby pograżonego we śnie. – Kiedy, gdzie, jak... Wielki Boże, panie admirałe, będziemy musieli wszystko odwołać!

– Otóż to. Odwołujemy. I nie ma Drugiego Frontu w tym roku. Kolejne dziewięć

miesiący wojny, kolejny milion niepotrzebnie ginących ludzi. Rozumie pan, sierżancie, dlaczego to takie pilne, tak niezwykle rozpaczliwie pilne?

– Rozumiem, panie admirale. Teraz rozumiem. – Harrod zwrócił się do Wyatt-Turnera.
– Przepraszam, że się w ten sposób odezwałem, panie pułkowniku. Obawiam się... że jestem trochę rozdrażniony.

– Wszyscy jesteśmy trochę rozdrażnieni, sierżancie – odparł Wyatt-Turner. – A zatem na lotnisku o dziesiątej, sprawdzimy wtedy wyposażenie. – Uśmiechnął się z powagą. – Obawiam się, że mundury mogą nie najlepiej pasować. Krawcy z Savile Row pracują dziś krócej.

Sierżant Harrod wcisnął się głębiej w składane siedzenie, uderzył skostniałymi dłońmi w skostniałe ramiona, przyjrzał się zasepony swojemu mundurowi, pomarszczonemu jak nogi słonia i za dużemu ze trzy numery, po czym wyteżył głos, żeby przekrzyczeć huk silników Lancastera.

– Wiecie – rzekł z goryczą – miał rację co do tych cholernych mundurów, to na pewno.

– Ale mylił się co do całej reszty – powiedział Carraciola ponuro. – Nadal uważam, że powinno się posłać Lancastery.

Smith, który w dalszym ciągu stał oparty o prawą burtę kadłuba, zapalił papierosa i obrzucił go zamyślnym spojrzeniem. Już otworzył usta, żeby coś powiedzieć, kiedy przyszło mu na myśl, że widywał ludzi w nastroju bardziej sprzyjającym przyjmowaniu uwag. Odwrócił więc oczy nie odezwawszy się.

W kabinie pilotów, zsunawszy się teraz tak bardzo do przodu że tyłem głowy opierał się o fotel, podpułkownik Carpenter był nadal głęboko i przyjemnie pochłonięty fajką, kawą i lekturą. Siedzący obok niego porucznik Tremayne wyraźnie nie potrafił dzielić z nim nastroju błogiego rozluźnienia. Czuwał niespokojnie przenosząc stale wzrok z tablicy przyrządów na mętną ciemność za przednią szybą i na leżącą postać przełożonego, któremu w każdej chwili groziło zapadnięcie w sen. Nagle Tremayne przesunął się na skraj fotela, przez kilka długich sekund wpatrywał się przed siebie w szybę ochronną, a potem odwrócił się podniecony do Carpentera.

– Panie pułkowniku, jesteśmy nad Shaffhausen!

Carpenter stęknął, zamknął książkę, złożył do ściany wiszącą na zawiasach podpórkę i dopił kawę. Potem z jeszcze jednym stęknięciem podźwignął się do pozycji siedzącej, odsunął boczną szybę i z wystudiowaną starannością udał, że przygląda się światłom majaczącym daleko w dole, jednakże nie posunął się do tego, żeby wystawić twarz na wiatr i smagający śnieg. Zasunął boczną szybę i spojrział na Tremayne'a.

– Wielkie nieba – rzekł z podziwem – zdaje się, że ma pan rację. Co ja bym bez pana

zrobił! – Włączył telefon pokładowy, a Tremayne przybrał odpowiednio zawstydzony wyraz twarzy. – Major Smith? Tak. Za trzydzieści minut. – Wyłączył się i zwrócił się ponownie do Tremayne'a. – Świetnie. Południowy wschód wzdłuż kochanego Bodensee. I na miłość boską, niech pan się trzyma szwajcarskiej strony.

Smith odwiesił słuchawki i spojrzał zagadkowo na sześciu siedzących mężczyzn.

– A więc już niedaleko. Pół godziny. Miejmy nadzieję, że na dole jest cieplej niż tu.

Nikt nie miał na ten temat żadnych uwag.

Nikt też chyba nie żywił nadziei. Bezgłośnie, bez jednego słowa, wymienili puste spojrzenia, a potem sztywno stanęli na przemarzniętych stopach. Następnie bardzo wolno i niezdarnie – zdętwiałe dłonie i ciasnota prawie uniemożliwiały im poruszanie – szykowali się do skoku. Pomagali sobie nawzajem przytroczyć ładunki na plecach pod wysoko umieszczonymi spadochronami i mozolnie wciskali na siebie białe nieprzemakalne spodnie maskujące. Sierżant Harrod nie poprzestał na tym. Wciągnawszy przez głowę obszerny skafander maskujący z trudem zasunął suwak i naciągnął na głowę kaptur. Odwrócił się i spojrzał pytająco, kiedy czyjaś ręka poklepała pagórkowaty kształt poniżej skafandra.

– Niechętnie o tym mówię – powiedział nieśmiało Schaffer – ale doprawdy nie wydaje mi się, żeby pańskie radio, sierżancie, zniosło wstrząs przy lądowaniu.

– Dlaczego? – Harrod nigdy jeszcze nie miał tak posępnej miny. – Robiono już takie rzeczy.

– Ale nie pan, o to chodzi. Jak się na tym znam, uderzy pan w ziemię z prędkością stu osiemdziesięciu mil na godzinę. Żeby nie owijać w bawełnę, myślę, że napotka pan na pewne trudności próbując otworzyć spadochron.

Harrod spojrzał na niego, popatrzył na pięciu pozostałych towarzyszy bez skafandrów, potem skinął głową i dotknął swojego.

– To znaczy, że wkładam go po wylądowaniu?

– No cóż – powiedział Schaffer z namysłem – jestem przekonany, że tak byłoby lepiej.

– Uśmiechnął się szeroko do Harroda, który odpowiedział mu niemal radosnym wyszczerzeniem zębów. Nawet wargi Carracioli zadrgały zapowiadając uśmiech. W mroźnym kadłubie samolotu nieomal namacalnie spadło napięcie.

– Tak, tak, czas, żebym zarobił na swoją gażę pułkownika, podczas gdy wy, wyrostki, będziecie siedzieć i gapić się przepelnieni zachwytem. – Carpenter przyjrzał się swojemu zegarkowi. – Piętnaście po drugiej. Czas zamienić się miejscami.

Obaj odczepili pasy bezpieczeństwa i niezgrabnie przesiedli się. Carpenter grymaśnie ustawiał oparcie prawego fotela dopóty, dopóki nie było w sam raz dla niego, a potem włożył jak najwygodniej spadochron, spiął pas, umocował na głowie zdjęte z haka

połączone ze sobą słuchawki i mikrofon i włączył je.

– Sierżant Johnson? – Carpenter nigdy nie zwracał sobie głowy regulaminem formalności wywoławczych. – Nie śpi pan?

Sierżant Johnson, siedzący w maleńkiej i niesłychanie niewygodnej wnęce nawigatora, daleki był od snu. Czuwał już wiele godzin. Nachylony nad połyskującym zielonkawo ekranem radaru odwracał od niego wzrok tylko po to, żeby szybko sprawdzić karty wykresowe, mapę sztabową, zdjęcie i podwójny kompas, wysokościomierz i prędkościomierz. Sięgnął do przełącznika u swego boku.

– Nie śpię, panie pułkowniku.

– Jeżeli rozbije pan nas o zbocze Weißspitze – powiedział Carpenter z pogroźką w głosie – każę pana zdegradować do stopnia szeregowca. Zwykłego szeregowca, Johnson!

– To by mi raczej nie odpowiadało. Według mnie za dziewięć minut, panie pułkowniku.

– Chociaż raz się w czymś zgadzamy. Według mnie również. – Carpenter wyłączył się, odsunął prawą szybę i wyrżał. Choć nocne niebo osrebrzyło leciutko księżycowe światło, widoczność była właściwie zerowa. Świat wydawał się mętnozary i nic nie było widać prócz rzadkiego, zacinającego śniegu. Carpenter cofnął głowę, zgarnął śnieg z wielkich wąsów, zasunął szybę, spojrzął z zalem na fajkę i ostrożnie włożył ją do kieszeni.

Dla Tremayne'a schowanie fajki było ostatecznym dowodem na to, że pułkownik jest gotów do działania.

– Ryzykowna sztuczka, prawda, panie pułkowniku? – powiedział zmartwionym głosem. – Mówię o trafieniu na Weißspitze w tych warunkach.

– Ryzykowna? – Głos Carpentera zabrzmiał prawie wesoło. – Ryzykowna? A to dlaczego? To jest wielkie jak góra. A właściwie to przecież jest góra. Nie możemy się z nią rozminąć, mój drogi.

– No właśnie. – Tremayne zamilkł i to milczenie było bardziej wymowne od jego słów. – I ten płaskowyż na Weißspitze, gdzie musimy ich zrzucić. Ma tylko trzysta jardów szerokości, panie pułkowniku. Nad nim góra, a pod nim urwisko. W dodatku te adyabatyczne wiatry górskie, czy jak im tam, których nie można przewidzieć, bo wieją, jak chcą. Ułamek stopnia na południe to zderzenie z górą, ułamek stopnia na północ – a tamci polecą w dół tej zawrotnie wysokiej ściany skalnej i, szkoda gadać, poskręcają karki. Trzysta jardów!

– A co pan by chciał? – spytał Carpenter rozwlekając słowa. – Lotnisko Heathrow? Trzysta jardów? Tyle miejsca, ile dusza zapragnie. Ładujemy tym starym pudłem na pasach dziesięć razy węższych.

– Tak jest, panie pułkowniku. Światła lądowania zawsze bardzo mi pomagały. Ale na wysokości siedmiu tysięcy stóp na zboczu Weißspitze... – Przerwał na odgłos brzęczyka. Carpenter włączył się.

– Johnson?

– Tak, panie pułkowniku. – Johnson przycupnął tak nisko jak nigdy dotąd nad ekranem radaru, na którym obiegający go promień elektroniczny wyłapał białą plamkę tuż na prawo od środka ekranu. – Mam ją. Jest tam, gdzie trzeba. – Oderwał wzrok od ekranu i szybko skontrolował kompas. – Kurs zero-dziewięć-trzy.

– Zuch. – Carpenter uśmiechnął się do Tremayne'a, dokonał minimalnej poprawki kursu i zaczął cicho pogwizdywać. – Niech pan wyjrzy przez swoje okno, chłopcze. Moje wąsy zaczynają przesiąkać do cna.

Tremayne otworzył okno, wyciągnął szyję jak tylko mógł, ale na zewnątrz panowała mętna i bezkształtna szarość. Cofnął głowę i potrząsnął nią w milczeniu.

– Nie szkodzi, musi tam gdzieś być – zauważył rozsądnie Carpenter. – Sierżancie? Pięć minut – powiedział do telefonu pokładowego. – Zaczepiać się.

– Zaczepiać się! – Strzelec pokładowy powtórzył rozkaz siedmiu mężczyznom stojącym wzdłuż prawej burty kadłuba. – Pięć minut.

W milczeniu zapięli zaczepy na przebiegającym nad ich głowami drucie, a strzelec pokładowy sprawdzał uważnie każdy z nich. Najbliżej drzwi stał sierżant Harrod, który miał skakać pierwszy. Za nim porucznik Schaffer, którego staż w amerykańskiej służbie wywiadowczej czynił zdecydowanie najbardziej doświadczonym spadochroniarzem z całej grupy. Czekają go zadanie nie do pozazdroszczenia – mieć na oku Harroda. Za nim z kolei stał Carraciola, dalej Smith, który jako przywódca grupy wolał znajdować się w środku, a następnie Christiansen, Thomas i Torrance-Smythe. Za plecami Torrance-Smythe'a czekało dwóch młodych szeregowców gotowych do przesuwania wzdłuż drutu spadochronów i pakunków z wyposażeniem, które mieli jak najszybciej wyrzucić za ostatnim ze skaczących. Sierżant strzelec pokładowy stanął przy drzwiach. Atmosfera znów zrobiła się napięta.

W kabinie samolotu, oddalonej o siedem i pół metra od miejsca, gdzie stali, Carpenter po raz piąty w ciągu tyluż minut odsunął boczną szybę. Jego obwisłe w tej chwili wąsy straciły wiele ze swej wspaniałej buńczuczności, ale podpułkownik zdecydował najwidoczniej, że w życiu bywają sprawy pilniejsze od zmokniętych wąsów. Miał teraz nałożone gogle, z których irchową szmatką ścierał śnieg i wilgoć, jednakże widok przed nim – czy raczej jego brak – był wciąż uparcie ten sam: nadal szary, siekący śnieg pojawiał się i znikał w nieprzeniknionej, mętnej szarości, nadal panowała nicość. Zasunął szybę.

Zadzwieczał wywoławczy brzęczyk. Carpenter włączył się, wysłuchał, skinął głową.

– Trzy minuty – powiedział do Tremayne’a. – Zero-dziewięć-dwa.

Tremayne dokonał koniecznej niewielkiej zmiany kursu. Nie wyglądał już przez boczną szybę, nie patrzył nawet przez szybę, którą miał przed sobą. Całą istotą skupiony był na prowadzeniu wielkiego bombowca, całą uwagę skoncentrował wyłącznie na trzech punktach: na kompasie, wysokościomierzu i Carpenterze. Stopień na południe, a Lancaster rozbiłby się o Weißspitze; kilkaset stóp za nisko, a nastąpiłoby to samo; przeoczony znak Carpentera – i misja skończyłaby się, zanim się jeszcze zaczęła. Kiedy tak pilotował Lancastera z milimetrową precyzją, jakiej nigdy jeszcze nie osiągnął, jego ciało było nieruchome, a młoda, nedorzecznie młoda twarz pozbawiona wyrazu. Poruszały się tylko oczy, regularnie, rytmicznie, niezmiennie: kompas, wysokościomierz, Carpenter, kompas, wysokościomierz, Carpenter, nie zatrzymując się nigdzie dłużej niż na sekundę.

Carpenter ponownie odsunął boczną szybę i wyjrzał. I znów to samo: mętna, szara nicość. Z głową na zewnątrz uniósł lewą dłoń spodem ku dołowi i wykonał nią ruch do przodu. Natychmiast dłoń Tremayne’a spadła na dźwignie przepustnicy i przesunęła je do przodu. Ryk wielkich silników opadł, przechodząc w stłumiony grzmot.

Carpenter wycofał głowę. Jeśli był niespokojny, to jego twarz niczego nie zdradzała. Znów zaczął cicho pogwizdywać. Spokojnie, prawie od niechcienia, obrzucił wzrokiem tablicę przyrządów, a potem obrócił się ku Tremayne’owi.

– Czy w szkole lotniczej – zagadnął – obilo się panu o uszy dziwne zjawisko zwane prędkością przeciągnięcia?

Tremayne drgnął, pośpiesznie zerknął na tablicę przyrządów i szybko dodał silnikom nieco więcej mocy. Carpenter uśmiechnął się, spojrział na zegarek i dwukrotnie nacisnął brzęczyk.

Nad głową sierżanta strzelca pokładowego, stojącego przy drzwiach, zadźwięczał dzwonek. Sierżant spojrział na napięte, pełne wyczekiwania twarze i skinął głową.

– Dwie minuty, panowie.

Ostrożnie odsunął drzwi o kilkanaście centymetrów, żeby sprawdzić, czy poruszają się swobodnie. Choć były ledwie uchylone, wpadający przez nie nagle spotężniały ryk silników budził niepokój, ale nawet w części nie odstraszał tak jak poryw lodowatego, gęstego od śniegu wiatru, który ze świstem wdarł się do kadłuba. Spadochroniarze wymienili pozbawione wyrazu spojrzenia, spojrzenia właściwie odczytane przez sierżanta, który zamknął drzwi i znów skinął głową.

– Zgadzam się z wami, panowie. Noc to ani dla człeka, ani dla zwierza.

Podpułkownik Carpenter, z głową jeszcze raz wytkniętą przez okno, był podobnego zdania. Pięć sekund arktycznego wiatru i smagającego śniegu i całą twarz miał niby w kolcach kolczatki; piętnaście sekund, a całkowicie odrętwiała skóra nie przekazywała

żadnych wrażeń i dopiero po cofnięciu głowy, w trakcie oczekiwania na dotkliwy ból powracającego krwiobieg, zaczynał się prawdziwy bal. Tym razem jednak Carpenter postanowił nie cofać głowy, dopóki nie znajdzie pełnego usprawiedliwienia, żeby to zrobić; jedynym zaś usprawiedliwieniem mogło być dostrzeżenie Weißspitze. Mechanicznym ruchem pracowicie przecierał gogle irchową szmatką i wpatrując się bez zmrużenia powiek w szary, wirujący mrok miał nadzieję, że zobaczy Weißspitze wcześniej niż ona jego.

Wewnątrz kabiny oczy Tremayne'a nie przerywały rytmicznego, niezmiennego, okrężnego ruchu: kompas, wysokościomierz, Carpenter, kompas, wysokościomierz, Carpenter. Teraz jednakże jego wzrok zatrzymywał się o ułamek sekundy dłużej na dowódcy w oczekiwaniu nagłego znaku, który pobudziłby go do rzucenia wielkim Lancasterem i gwałtownego przechylenia maszyny w lewo, co w ich sytuacji było jedynym dopuszczalnym unikiem. Lewa dłoń Carpentera poruszała się, lecz nie dawał żadnego znaku, tylko delikatnie bębnił palcami po kolanie. Był to prawdopodobnie, jak nagle i z niedowierzaniem uświadomił sobie Tremayne, stan najwyższego podniecenia, do jakiego zdolny był Carpenter.

Upłynęło dziesięć sekund. Dalsze pięć. I jeszcze pięć. Tremayne czuł, że mimo lodowatego zimna panującego w kabinie, pot strumieniami spływa mu po twarzy. Impuls, żeby odciągnąć bombowiec w lewo i uniknąć w ten sposób katastrofy, unicestwiającego zderzenia, od którego dzieliły ich być może zaledwie sekundy, był prawie nie do przewyciężenia. Świadom był swojego strachu, strachu graniczącego ze ślepą paniką, którego istnienia w sobie nie podejrzewał, nie mówiąc o tym, że go nigdy nie doświadczył. I wtedy zdał sobie sprawę z czegoś więcej. Bębnienie palców lewej ręki Carpentera raptownie ustało.

Teraz Carpenter już ją miał. Była bardziej wyobrażeniem niż rzeczywistością, istniała raczej w domyśle niż przed oczami, lecz teraz już ją miał. Potem stopniowo, niemal niezauważalnie, na wprost i nieco na prawo od kierunku lotu, Tremayne zaczął uświadamiać sobie, że pośród nicości zaczęło materializować się coś bardziej konkretnego i namacalnego niż pobożne życzenia. A potem nagle przestało się materializować – było niewątpliwie: masywne, gładkie, jednolite zbocze niemal pionowo wznoszącej się góry, strzelające wzwyż pod zawrotnym kątem 80°, by zniknąć powyżej w szarej ciemności. Carpenter cofnął głowę, pozostawiając szybę tym razem odsuniętą, i nacisnął przełącznik przy słuchawkach.

– Sierzancie Johnson? – Wydobył te słowa sztywno, mechanicznie, bynajmniej nie dlatego, że właśnie przechodził kryzys, lecz dlatego, że całą twarz, łącznie z wargami, miał tak przemarzniętą, że nie był w stanie prawidłowo artykułować głosek.

– Tak, panie pułkowniku? – Głos Johnsona w słuchawce telefonu pokładowego zabrzmiał pusto i bezcielesnie, lecz nawet metaliczna bezosobowość tego pytania nie mogła zamaskować krańcowego napięcia.

– Wydaje mi się – powiedział Carpenter – że „porucznik Johnson” brzmi o wiele ładniej.

– Słucham, panie pułkowniku?

– Czas odpocząć. Mam ją. Może pan znów iść spać. – Wyłączył się, spojrzawszy szybko przez boczne okno, wyciągnął rękę ponad głowę i dotknął przełącznika.

Nad drzwiami w prawej burcie kadłuba zapaliło się czerwone światło. Sierżant oparł dłoń o drzwi.

– Jedna minuta, panowie. – Nagłym ruchem otworzył drzwi na oścież i zabezpieczył zatyczką. Do brzucha Lancastera wpadła z wyciem miniaturowa śnieżycyca.

– Jak będzie zielone... – Nie dokończył zdania, bo te kilka słów było zrozumiałe same przez się, a poza tym wśród zespolonego ryku wichru i silników musiałby krzyczeć tak głośno, żeby go dosłyszano, że każde zbyteczne słowo było próżnym wysiłkiem.

Nikt więcej się nie odezwał, głównie dlatego, że porozumienie się głosem graniczyło z niemożliwością. W każdym razie spojrzenia wymienione w milczeniu przez spadochroniarzy wymowniej niż słowa przekazywały narzucającą się myśl, która zaprzętała wszystkich: jeśli tu, w środku, tak to wygląda, to co, u diabła, dzieje się na zewnątrz. Na gest sierżanta zbliżyli się gęsiego do otwartych drzwi. Na przedzie szedł sierżant Harrod z miną chrześcijańskiego męczennika idącego na spotkanie z pierwszym i ostatnim w życiu lwem.

Lancaster niby wielki, czarny pterodaktyl z zamierzchłych czasów sunął z rykiem przez siekający śnieg wzdłuż gładkiego i przepaścistego zbocza Weißspitze. Pionowa, inkrustowana lodem ściana skalna zdawała się być tuż, tuż. W przekonaniu Tremayne’a była nieznośnie blisko. Wpatrywał się w nią przez ciągle jeszcze otwarte okno przy głowie Carpentera i gotów był przysiąc, że końcówka prawego skrzydła ociera się o zbocze góry. Na twarzy dalej czuł ściekający pot, lecz wargi miał suche jak popiół. Oblizał je ukradkiem, tak żeby nie zauważył tego Carpenter, ale to nic nie pomogło – pozostały suche jak przedtem.

Wargi sierżanta Harroda nie były suche tylko dlatego, że wystawiał twarz na główny atak poziomo szarżującej zamieci, która świstała w kadłubie bombowca. Poza tym podzielał on w znacznym stopniu uczucia i obawy Tremayne’a. Stojąc w drzwiach czepiał się kurczowo krawędzi kadłuba, żeby w porywie wiatru nie stracić równowagi. Jego wychłostana zamiecią twarz nie zdradzała strachu, tylko jakąś szczególną rezygnację.

Oczy miał zwrócone w lewo i utkwione niemal hipnotycznie w tym punkcie

przestrzeni, gdzie zdawało się, że lada chwila końcówka prawego skrzydła nieuchronnie zderzy się z Weißspitze.

Wewnątrz kadłuba nadal płonęło czerwone światło. Dłoń sierżanta opadła na ramię Harroda ośmielającym gestem. Całe trzy sekundy zabrało Harrodowi wyzwolenie się z tego jakby niewolniczego zapatrzenia w końcówkę skrzydła i cofnięcie o pół kroku. Podniósł rękę i zdecydowanym ruchem zdjął dłoń sierżanta.

– Nie popychaj, stary. – Musiał krzyczeć, żeby go dosłyszano. – Jeśli mam popełnić samobójstwo, dajcie mi to zrobić po staremu. Samodzielnie. – Ponownie zajęli miejsce przy drzwiach.

W tej samej chwili Carpenter po raz ostatni spojrział szybko przez boczne okno i zrobił gest, którego wyczekiwał, o który modlił się Tremayne – nieznaczny obrót lewą dłonią. Porucznik błyskawicznie przechylił wielki bombowiec i równie szybko wyprostował go z powrotem.

Powoli zbrocze oddaliło się. Epizod z ocieraniem się o górę nie był czystą brawurą ani szaleństwem, Carpenter wcześniej ustalił trasę i opracował plan przelotu nad wąskim płaskowyżem. Jego głowa znowu, już po raz ostatni, tkwiła na zewnątrz kabiny, podczas gdy lewa ręka powoli – jak się zdawało Tremayne'owi, nieskończenie wolno – posuwała się ku guzikowi umieszczonego na wrędze ponad przednią szybą, odnalazła go, zatrzymała się, a potem nacisnęła.

Sierżant Harrod, z głową wykręconą w tył aż do bólu szyi, ujrzał, jak czerwone światło zmienia się w zielone, spuścił głowę, zacisnął powieki i konwulsyjnym ruchem wyrzucając ramiona osunął się w śnieg i ciemność. Nie było w tym fachuwości; zamiast wyskoczyć, wyszedł, i kiedy otworzył się spadochron, on obracał się już w powietrzu. Za nim skoczył Schaffer, gładko, czysto, stopy i kolana razem, następnie Carraciola, po którym skakał Smith.

Smith spojrział w dół i zacisnął wargi. Ledwie widoczny pośród roztaczającej się w dole szarości Harrod, błędne ludzkie wahadło, gwałtownie rozkołysany leciał wśród przestworzy. Linki jego spadochronu były już bardzo poskręcane, a niezdarne i rozpaczliwe wysiłki, jakie czynił, żeby je rozkręcić, sprawiały, że splątywały się jeszcze bardziej. Linki lewostronne były ściągnięte za nisko, spod spadochronu umykało powietrze i Harrod, nie przestając kołysać się dziko, ześlizgiwał się w lewo szybciej niż jakikolwiek ze spadochroniarzy, których Smith w życiu oglądał. Siedząc szybko malejącą postacią modlił się więc w duchu, żeby sierżant nie przeleciał nad krawędzią przepaści.

Zachmurzony, zadarł głowę, żeby sprawdzić, jak poszło pozostałym. Bogu dzięki nie mieli żadnych kłopotów. Christiansen, Thomas, Smithy, wszyscy trzej blisko siebie, niemal się dotykając, lecieli idealnie prawidłowo.

Jeszcze zanim ostatni ze spadochroniarzy, Torrance-Smythe, znikł za drzwiami, sierżant pobiegł na koniec kadłuba. Szybkim ruchem odrzucił skrzynię do pakowania, ściągnął brezent, schylił się i postawił na nogi skuloną postać. Była to dziewczyna, całkiem drobna, o szeroko rozwartych czarnych oczach i delikatnych rysach, po których można było się spodziewać odpowiadającej im figury; jednakże spowijało ją obszerne ubranie i naciągnięty na nie strój maskujący. Dziewczyna miała spadochron. Była odrętwiała z zimna i niewygodnej pozycji, ale sierżant musiał wykonać rozkaz.

– Idziemy, panno Ellison – powiedział i otoczywszy ją ramieniem ruszył szybko ku drzwiom. – Nie ma chwili do stracenia.

Na wpół prowadził ją, na wpół niósł do drzwi, przez które szeregowiec wyrzucał właśnie przedostatni spadochron i pojemnik. Sierżant zapiął zaczep spadochronu na drucie. Mary Ellison obejrzała się na niego, jakby chciała coś powiedzieć, a potem raptownie odwróciła się i wypadła w ciemność. Tuż za nią wyrzucono ostatni pojemnik i spadochron.

Przez dłuższą chwilę sierżant wpatrywał się w panujący w dole mrok. Wreszcie potarł dłonią brodę, potrząsnął z niedowierzaniem głową, cofnął się o krok i przyciągnął ciężkie drzwi. Lancaster, którego cztery silniki chodziły nadal na zwolnionych obrotach, dudniąc sunął dalej w śnieg i noc. Prawie natychmiast znikł w przestrzeni i po upływie kilku sekund ostatni słaby pomruk jego silników wtopił się w ciemności.

Smith sięgnął rękami wysoko ponad głowę w olinowanie spadochronu, podciągnął się gwałtownie i idealnie wylądował – ugięte kolana, stopy razem – w śniegu głębokim na pół metra. Wiatr ostro szarpał spadochronem. Uderzywszy w szybkozwalniającą sprzączkę uprząży Smith podciął spadochron, ściągnął go do siebie, zwinął i obciążając strząśniętym właśnie z ramion pakunkiem wcisnął głęboko w śnieg.

Tu, na dole – jeśli wysokość dwóch tysięcy stu metrów na Weißspitze można nazwać dołem – wobec śnieżycy, w którą wyskoczyli z Lancastera, śniegu było stosunkowo niewiele. Lecz mimo to widoczność była prawie tak samo zła jak na górze, gdyż wiatr, wiejący z prędkością dwunastu węzłów, dmuchał gęstym, suchym, sypkim śniegiem. Smith szybko rozejrzał się dookoła, ale niczego i nikogo nie dostrzegł.

Przemarzniętymi, zniedołężniałymi dłońmi niezgrabnie wyciągnął z bluzy latarkę i gwizdek i zwracając się na przemian na wschód i na zachód dawał nimi sygnały. Jako pierwszy pojawił się Thomas, potem Schaffer, a następnie w ciągu dwóch minut reszta, z wyjątkiem sierżanta Harroda.

– Złóżcie tu na stos spadochrony i obciążcie je – rozkazał Smith. – Tak, wciśnijcie je głęboko. Czy ktoś widział sierżanta Harroda? – Zaprzeczyli kręcąc głowami. – Nikt? W ogóle go nie widzieliście?

– Ostatnio widziałem go – odezwał się Schaffer – kiedy pruł mi na skos przed dziobem jak niszczyciel po wzburzonym morzu.

– Coś niecoś z tego widziałem – przytaknął Smith. – Miał poskręcane olinowanie?

– Korkociąg by się zawstydził. Według mnie, załamanie spadochronu mu nie groziło. Nie starczyłoby czasu. Byliśmy już prawie na ziemi, kiedy straciłem go z oczu.

– Czy wie pan w takim razie, gdzie wylądował?

– Z grubsza. Nic mu się nie stało, majorze. Skręcona kostka, guz na głowie. Nie ma strachu.

– Zapalcie latarki – powiedział szorstko Smith. – Rozstawić się i odszukać go.

Mając po jednej ręce dwóch, po drugiej trzech mężczyzn, ustawionych tak, żeby światełka latarek krzyżowały się ze sobą, Smith przeszukiwał śnieg badając teren przed sobą snopem światła. Nawet jeśli podzielał optymizm Schaffera co do Harroda, to nie było tego znać na jego twarzy. Minę miał zaciętą i ponurą. Upłynęły trzy minuty i wtedy z prawej strony dobiegł okrzyk. Smith puścił się biegiem.

Wołał Carraciola. Stał teraz na drugim krańcu omiatanej wiatrem płaskiej, nagiej skały, świecąc latarką w dół, nieco do przodu. Za skałą teren opadał stromo parę metrów, tworząc osłonięte zagłębienie, w którym uformowała się głęboka zaspą. Sierżant Harrod, na wpół

zagrzebany w jej białych otchłaniach, leżał na wznak z rozrzuconymi rękami i nogami, stopami niemal dotykając skały, z twarzą do góry i otwartymi oczami. Nie reagował na to, że sypie mu w nie śnieg.

Na skale byli już wszyscy; wpatrywali się w nieruchomego mężczyznę. Smith zeskoczył w zaspę, ukląkł, wsunął rękę pod plecy Harroda i usiłował go posadzić. Głowa sierżanta zwisała do tyłu jak naderwana głowa szmacianej lalki. Smith ułożył go z powrotem na śniegu i zaczął szukać pulsu na szyi. Nie podnosząc się z kłęczek wyprostował plecy, zastygł na chwilę ze spuszczoną głową, a potem znużonym ruchem podniósł się na nogi.

– Nie żyje? – spytał Carraciola.

– Nie żyje. Ma złamany kark. – Twarz Smitha była bez wyrazu.

– Musiał zaplątać się w olinowaniu i źle wylądować.

– To się zdarza. Wiem, że się zdarza – powiedział Schaffer i po dłuższej chwili spytał:
– Czy mam wziąć radio, panie majorze?

Smith skinął głową. Schaffer ukląkł i gmerając przy pasku przytrzymującym radio na plecach Harroda, szukał sprzączki.

– Przepraszam – powiedział Smith – ale to nie tak, nie w ten sposób. Na szyi pod bluzą jest klucz otwierający zamek pod klapką tej sprzączki na piersiach.

Schaffer odnalazł klucz, z pewnym trudem otworzył sprzączkę, zsunął rzemyki z ramion zmarłego i wreszcie zdołał uwolnić radio. Podniósł się z dyndającym aparatem i spojrzał na Smitha.

– Teraz przyszło mi na myśl, czy to ma sens. Upadek na tyle ciężki, żeby złamać mu kark, nie zrobił dobrze wnętrzościom tego radia.

Smith bez słowa wziął aparat, postawił na skale, wyciągnął antenę, ustawił przełącznik na nadawanie i zakręcił korwą wywoławczą. Gdy zapłonęło czerwone światelko kontrolne wskazując, że obwód nadawczy jest w porządku, zwiększył głośność, poruszył gałką strojeniową, posłuchał przez chwilę pełnej zakłóceń muzyki, zgasił aparat i zwrócił go Schafferowi.

– Wylądowało lepiej od sierżanta Harroda – stwierdził lakonicznie. – Idziemy.

– Grzebiemy go, majorze? – spytał Carraciola.

– Nie trzeba. – Smith potrząsnął głową i wskazał latarką sypiący śnieg. – Będzie pogrzebany w ciągu najbliższej godziny. Trzeba odszukać sprzęt.

– Tylko na miłość boską, nie puście! – powiedział Thomas z naciskiem.

– Wy, Celtowie, tacy już jesteście – stwierdził z wyrzutem Schaffer. – Nie ufacie nikomu. Nie ma powodu do obaw. W rękach Schaffera i Christiansena twoje życie jest

bezpieczne. Nic się nie bój.

– A czego jeszcze według ciebie mam się bać?

– Jeżeli wszyscy zaczniemy się obsuwać – powiedział Schaffer pokrzepiająco – nie puścimy cię aż do ostatniej chwili.

Thomas po raz ostatni obejrzał się żałośnie i ostrożnie zaczął zsuwać się w czarną przepaść. Schaffer i Christiansen, ubezpieczani przez pozostałych, trzymali go za kostki, każdy za jedną. Tak daleko, jak sięgał promień latarki, urwisko opadało w ciemność zupełnie pionowo, czarna naga skała, której szczeliny wypełniał lód. Nie było tu na czym oprzeć nogi ani za co chwycić ręką.

– Wystarczy mi oglądania – rzucił przez ramię. Kiedy wyciągnięto go z powrotem, zanim wstał, wycofał się ostrożnie do stosu ze sprzętem, a potem trącił pakunek, z którego wystawały z jednej strony narty.

– Bardzo przydatne – stwierdził ponuro. – Faktycznie niezastąpione w tych warunkach.

– Aż tak stromo? – zapytał Smith.

– Pionowo. Ściana gładka jak szkło i nie widać końca. Jak pan myśli, majorze, ile ma wysokości?

– Bo ja wiem. – Smith wzruszył ramionami. – Jesteśmy siedem tysięcy stóp nad poziomem morza. Mapy nigdy nie są dokładne na takich wysokościach. Wyjmijcie linę.

Odszukano właściwy tobolek i odpakowano nylonową linę. Leżała zwinięta w płóciennym worku, tak jak ją zapakowali producenci, i miała tysiąc stóp długości. Niewiele grubsza od sznura na bieliznę, dzięki metalowemu rdzeniowi była niezwykle mocna. Przed opuszczeniem fabryki jard po jardzie dokładnie sprawdzono jej nominalną wytrzymałość, która w rzeczywistości była znacznie większa. Po przywiązaniu młotka do jednego z jej końców Smith, trzymany i ubezpieczony przez dwu ludzi, zaczął wykladać ją przez skraj urwiska, w miarę wypuszczania zasięgiem ręki odmierzając długość. Młotek kilkakrotnie zatrzymywał się na jakiejś niewidocznej przeszkodzie, lecz za każdym razem Smithowi udawało się uwolnić go poruszeniem liny. Wreszcie lina zupełnie zwiotczała i pomimo jego usilnych starań pozostała nie napięta.

– Tak. – Smith wycofał się znad krawędzi. – Wygląda, że to wszystko.

– A jeżeli nie, to co? – zapytał Christiansen. – Jeżeli młotek utknął na malusieńkiej półce, pod którą jest jeszcze tysiąc stóp tej przeklętej skały?

– Dam panu znać – uciął Smith.

– Mierzył pan – odezwał się Carraciola. – Ile wypadło?

– Dwieście stóp.

– Czyli zostało osiemset? – powiedział Thomas szczerząc zęby. – Przyda się do związania garnizonu ze Schloss Adler.

Nikogo to nie rozśmieszyło.

– Będzie mi potrzebny kątowy hak i dwa radiotelefony – powiedział Smith.

W odległości czterech metrów od krawędzi urwiska odgarnięto śnieg i odpowiednio mocno wbito w nagą skałę hak. Smith zawiązał na końcu liny podwójną lorę, wsunął nogi w utworzone pętle, zdjął pas, zapiął go ciasno wokół siebie i liny i przewiesił przez ramię radiotelefon. Następnie linę założono za hak i trzech mężczyzn, stojąc tyłem do przepaści, owinęło ją wokół dłoni szykując się do trzymania ciężaru. Schaffer stanął obok z drugim radiotelefonem.

Smith sprawdził, czy na brzegu skały nie ma ostrych, nierównych krawędzi, a potem ostrożnie zsunął się i dał sygnał do spuszczenia. Samo zejście było łatwe. Tak jak twierdził Thomas, ściana opadała pionowo i musiał tylko odbijać się od skały w miarę jak popuszczano linę.

Raz tylko, mijając występ skalny, zawirował gwałtownie w powietrzu, lecz w ciągu dziesięciu sekund odzyskał kontakt ze ścianą. Wspinaczka dla początkujących, pomyślał. A może to tylko pozór, może dobrze – dodał w duchu ponuro – że nie widzę tego, co jest w dole.

Przebiwszy stopami czterdziestopięciocentymetrową warstwę śniegu stanął na twardym gruncie i zatoczył zapaloną latarką półkole, od skały do skały. Jeśli była to skalna półka, musiała być bardzo rozległa, gdyż tak daleko, jak sięgał jego wzrok i promień latarki, wyglądała na gładki płaskowyż opadający łagodnie w miarę oddalania się od skały. Sama ściana była gładką, nieprzerwaną płaszczyzną, z wyjątkiem płytkiej, szerokiej na metr szczeliny, znajdującej się niedaleko od miejsca, gdzie stał. Oswobodziwszy nogi z podwójnej pętli, włączył radiotelefon.

– Jak dotąd w porządku. Wciągnijcie linę. Najpierw sprzęt, później wy.

Lina pomknęła w ciemność wężowym ruchem. W ciągu pięciu minut w dwóch turach spuszczone całe wyposażenie. Wkrótce potem zjawił się Christiansen.

– Właściwie skąd tyle krzyku o ten cały alpinizm? – spytał radośnie. – Moja babka by to potrafiła.

– Może zamiast pana powinniśmy byli zabrać pańską babkę – powiedział cierpko Smith. – Jeszcze nie jesteśmy na dole. Niech pan weźmie latarkę i sprawdzi, jak duża jest ta półka i którądy najlepiej stąd zejść, tylko niech mi pan nie spadnie w przepaść.

Christiansen uśmiechnął się szeroko i odszedł. Żyje się raz, a on wyglądał na kogoś, kto się świetnie bawi. Kiedy robił zwiad, spuszczała się kolejno wszyscy pozostali, aż na górze pozostał Schaffer.

– A ja niby jak mam się dostać na dół? – rozległ się w radio telefonie jego żalony głos. – Spuszczając się na rękach z wysokości dwustu stóp? Na takich zmarzniętych rękach

i po takiej cienkiej linie? Lepiej się odsunąć. Ktoś powinien o tym wcześniej myśleć.

– Ktoś pomyślał – rzekł cierpkim tonem Smith. – Niech pan sprawdzi, czy lina nadal przebiega wokół haka, a potem skopie nogą w dół pozostałe osiemset stóp.

– Na wszystko znajdzie się sposób. – W głosie Schaffer zabrzmiała ulga.

Właśnie spuścili go na ziemię, kiedy powrócił Christiansen

– Nie jest źle – stwierdził. – Przed nami, jakieś pięćdziesiąt jardów, jest jeszcze jedna ściana, która skręca na wschód. A przynajmniej wygląda mi to na ścianę, chociaż nie sprawdzałem, jest wysoka i stroma. Mam żonę i dzieci. Za to na zachód płaskowyż opada łagodnie. I to chyba spory kawałek. Są i drzewa. Szedłem wzdłuż nich dwieście jardów.

– Drzewa? Na tej wysokości?

– No, nie byłoby z nich wysokich masztów. Karłowata sosna. Będzie gdzie się schronić, dobra kryjówka.

– Słusznie. – Smith skinął głową. – Tu zabiwakujemy.

– Tak blisko? – Zdziwiony ton głosu Schaffera zdradzał, że ten pomysł nie przypadł mu do gustu. – Czy nie powinniśmy zejść jak najniżej nocą, majorze?

– Jeżeli wyruszymy o pierwszym brzasku, to o świcie będziemy znacznie poniżej linii drzew.

– Zgadzam się z Schafferem. Zostawmy za sobą, ile się da – zaproponował Carraciola.

– Jak myślisz, Olaf? – zwrócił się do Christiansena.

– Nieważne, co myśli Christiansen. – Głos Smitha był cichy, lecz zimny jak otaczające ich górskie powietrze. – Ani co pan myśli, Carraciola. To nie jest konferencja okrągłego stołu, tylko operacja wojskowa. A wojskowe operacje mają swoich dowódców. Czy wam się to podoba, czy nie, admirał Rolland mnie powierzył dowodzenie. Zatrzymujemy się tu na noc. Przenieście rzeczy.

Piątka mężczyzn wymieniła pytające spojrzenia, a potem wszyscy pochylili się, żeby podnieść bagaże. Nie było już wątpliwości, kto tu jest dowódcą.

– Od razu rozstawiamy namioty, szefie? – spytał Schaffer.

– Tak. – Smith pomyślał, że w pojęciu Schaffera „szefie” oznaczało zapewne wyższy stopień szacunku niż „majorze” czy „panie majorze”. – Potem coś gorącego do zjedzenia, gorąca kawa i spróbujemy złapać Londyn. Christiansen, niech pan ściągnie linę. Przyjdzie świt, a my przecież nie chcemy stać się powodem ataku serca jakichś lornetkujących typów ze Schloss Adler.

Christiansen skinął głową i zaczął ściągać linę. Kiedy jej swobodny koniec uniósł się w powietrze, Smith wydał z siebie okrzyk, doskoczył do Christiansena i chwycił go za ramię. Christiansen, przestraszony, przestał ciągnąć i obejrzał się.

– Chryste! – Smith przejechał wierzchem dłoni po czole. – To się nazywa o włos.

– Co się stało? – szybko spytał Schaffer.

– Posaďte mnie, jeden z drugim. Prędko! Zanim zniknie ta cholerna lina.

Dwóch z nich dźwignęło go w górę. Smith sięgnął ręką, złapał zwisający koniec liny, zeskoczył na ziemię, pociągnął go za sobą, a potem bardzo ostrożnie i z wielką dbałością związał go z drugim końcem.

– Jeżeli już pan z tym skończył, to... – powiedział grzecznie Torrance-Smythe.

– Radio. – Smith wydał z siebie długie westchnienie ulgi. – Jest tylko jedna lista częstotliwości, sygnałów wywoławczych i symboli szyfru. Dla bezpieczeństwa. I ta jedyna lista znajduje się w bluzie sierżanta Harroda.

– Pozwoli pan, że ja też obetrę czoło, szefie – rzekł Schaffer.

– Jeżeli pan chce, to mogę po nią pójść – zgłosił się Christiansen.

– Dziękuję. To moja wina i ja pójdę. Poza tym tylko ja spośród was liczałem nieco wspinaczki – tak mi przynajmniej wiadomo od pułkownika Wyatt-Turnera. Myślę też, że byście spostrzegli, że wejść na tę ścianę jest trochę trudniej, niż z niej zejść. Nie śpieszy się. Najpierw rozbijemy namiot i coś zjemy.

– Jeżeli się lepiej nie postarasz, Smithy, to otrzymasz tygodniowe wymówienie. Licząc od zeszłego tygodnia – zwrócił się Schaffer do Torrance-Smythe'a wykrobując dno metalowego talerza i wzdrygnął się. – Wychowałem się w chrześcijańskim domu, więc nie powiem ci, co mi to przypomina.

– To nie moja wina – poskarżył się Torrance-Smythe. – Zapakowali otwieracze do konserw, ale nie ten rozmiar. – W garnku stojącym na butli gazowej zamieszał niewyraźnie wyglądający gulasz i wzrokiem pełnym nadziei spojrzął na mężczyzn siedzących nierównym półkolem w słabo oświetlonym namiocie. – Komuś dołożyć?

– To nie jest śmieszne – powiedział surowo Schaffer.

– Proszę zaczekać, aż spróbuje pan jego kawy – poradził mu Smith – a wtedy pan się zastanowi, na co pan narzekał. – Wstał, wystawił głowę na zewnątrz, żeby sprawdzić, co z pogodą, i znowu zajrzał do środka. – Może mi to zająć godzinę. Ale jeżeli na górze sypało...

Siedzący mężczyźni, którzy nagle spowaźnieli, skinęli głowami. Jeżeli tam na górze cały czas sypało, to odnalezienie sierżanta Harroda mogło zająć Smithowi rzeczywiście wiele czasu.

– Niedobra noc – powiedział Schaffer. – Pójdę i pomogę.

– Dziękuję, nie trzeba. Sam się wciągnę i sam zejść na dół. Wprawdzie lina i hak to nie wyciąg, ale dzięki niej dostanę się na górę i z powrotem. Dwóch nie poradzi sobie z tym lepiej od jednego. Ale powiem panu, czym może się pan zająć. – Wyszedł i po krótkiej chwili pojawił się niosąc radio, które postawił przed Schafferem. – Nie chciałbym włączyć

tam do góry tylko po to, żeby po powrocie stwierdzić, że jakiś cymbał potknął się o radio i je załatwił. Odpowiada pan za nie głową, poruczniku.

– Tak jest, panie majorze – odparł Schaffer z powagą.

Zabezpieczywszy się na linie jak poprzednio za pomocą podwójnego węzła i paska, z młotkiem i kilkoma zapasowymi hakami zwisającymi u pasa, Smith pochwycił swobodny koniec liny i zaczął wciągać się na górę. Jego stwierdzenie, że jest to zadanie dla alpinisty, nie było bynajmniej ściśle, wystarczyłyby mierne kwalifikacje wspinaczkowe. Był to wyczerpujący wysiłek fizyczny, i nic więcej. Prawie cały czas, z nogami niemal pod kątem prostym w stosunku do ciała, szedł w górę po pionowej ścianie urwiska. Na odcinku nawisu skalnego, gdzie mógł używać tylko rąk, dwukrotnie musiał zwijać swobodny koniec liny i odpoczywać, póki do obolałych mięśni ramion i przedramion nie powróciła siła. A kiedy wreszcie dysząc boleśnie i pocąc się jak w saunie wygrzebał się na skraj skały, był o krok od wyczerpania. Nie wziął bowiem pod uwagę obezwładniającego wpływu wysokości na kogoś nie przyzwyczajonego. Przez kilka minut leżał na brzuchu, aż oddech i puls stały się prawie normalne – jak na tę wysokość oczywiście. Kiedy się podniósł, sprawdził hak, wokół którego przebiegała lina. Hak zdawał się trzymać wystarczająco mocno, lecz na wszelki wypadek dobił go jeszcze paroma mocnymi uderzeniami młotka. Rozwiązał węzły i zsunął linę z nóg, a potem zabezpieczył jej koniec owijając wokół haka i zawiązując podwójny węzeł, który mocno zaciągnął. Odszedł jeszcze metr od skraju przepaści, odgarnął śnieg, lekko wbił jeden z przyniesionych przez siebie zapasowych haków i sprawdził, czy łatwo się wyłamuje. Wyłamywał się. Jeszcze raz delikatnie stuknął go i oplótł resztą liny zabezpieczonej na pierwszym mocno trzymającym haku. A potem oddalił się, włączając po łagodnie wznoszącym się płaskowyzu i gwizdząc „Lorelei”. Był to – Smith pierwszy gotów przyznać – gwizd daleki od melodyjności, niemniej rozpoznawalny. Z ciemności wyłoniła się jakaś postać, która podbiegła do niego potykając się i ślizgając w głębokim śniegu. Była to Mary Ellison. Zatrzymała się metr przed nim i podparła pod boki.

– No tak! – Słyszał szczęknięcie jej zębów, którego nie mogła opanować. – Nie śpieszyło ci się, co?

– Nie straciłem ani chwili – bronił się Smith. – Musiałem najpierw zjeść coś gorącego i napić się kawy.

– Musiałeś najpierw... ach ty draniu, ty samolubie! – Szybko zrobiła krok do przodu i zarzuciła mu ręce na szyję. – Nienawidzę cię!

– Wiem. – Ściągnął rękawicę i delikatnie dotknął jej odkrytego policzka. – Przemarzyłaś.

– On mi mówi „przemarzłaś”! Pewnie, że przemarzłam. O mało nie umarłam w tym samolocie. Nie mogłeś mi się postarać o kilka termoforów... albo elektrycznie podgrzewany kombinezon... albo coś takiego? Myślałam, że mnie kochasz!

– Nie mam wpływu na to, co myślisz – powiedział Smith miłym głosem i klepnął ją po plecach. – Gdzie masz ekwipunek?

– Pięćdziesiąt jardów stąd. I przestań mnie poklepywać jak... jak dobry wujaszek.

– Ach te twoje wyrażenia – powiedział Smith. – Chodź, przyniesiemy twój bagaż.

Ruszyli pod górę brnąc przez głęboki śnieg. Mary trzymała go mocno za rękę.

– A czym wytłumaczyłeś, że musisz wrócić na górę? – spytała z zaciekawieniem. – Że zgubiłeś spinkę od mankietów?

– Musiałem wrócić po coś jeszcze prócz ciebie, choć do ostatniej chwili, aż było niemal za późno, odstawiałem szopkę, że o tym zapomniałem. To znaczy, o notesie szyfrów radiowych w bluzie sierżanta Harroda.

– On... on go zgubił? Upuścił? Jak... jak mógł być tak karygodnie nieuważny? – Przystanąła zdumiona. – Przecież ten notes jest na łańcuszku...

– Harrod wciąż go ma pod bluzą – powiedział Smith z powagą. – Leży tu, na górze, martwy.

– Nie żyje? – Zatrzymała się i chwyciła go za rękę. Po dłuższej chwili powtórzyła: – Nie żyje! Taki... taki przemiły człowiek. Słyszałam, jak mówił, że nigdy jeszcze nie skakał. Pechowe lądowanie?

– Na to wygląda.

W milczeniu odszukali worek z ekwipunkiem i Smith zaniósł go na skraj urwiska.

– A co teraz? – spytała Mary. – Notes z szyframi?

– Zaczekajmy chwilę. Chcę poobserwować linę.

– Dlaczego linę?

– A dlaczego nie?

– Dobrze, nie mów mi – powiedziała z rezygnacją. – Jestem tylko małą dziewczynką. Wiesz, co robisz.

– Nie wiem, co bym dał, żeby wiedzieć – oświadczył Smith z przejęciem.

Znów zamilkli i siedząc obok siebie na worze z ekwipunkiem czekali, wpatrując się w linę w poważnym skupieniu, jak gdyby nylonowe liny na wysokości dwóch tysięcy stu metrów nabierały szczególnego znaczenia, którego brakło im gdzie indziej. Dwukrotnie Smith usiłował zapalić papierosa i dwukrotnie papieros gasł z sykiem wśród sypiącego śniegu. Minuty upływały – trzy, może cztery, a im się zdawało, że trzydzieści albo czterdzieści. I wtedy uświadomił sobie, że siedząca przy nim dziewczyna ma gwałtowne dreszcze. Domyślał się, że mocno zacisnęła zęby, żeby nimi nie szczekać. Ale jeszcze

wyraźniej zdał sobie sprawę, że cały lewy bok – usiłował bowiem osłonić ją przed wiatrem i śniegiem – zaczyna mu drętwieć. Podniósł się chcąc odejść, kiedy nagle lina drgnęła gwałtownie i wyrwała hak znajdujący się bliżej nich. Pętla ześliznęła się szybko obok mocującego ją haka i sunęła, dopóki nie zatrzymała się na uwięzi. Obciążenie liny zwiększyło się, tak że wrzynała się głęboko w świeży śnieg na krawędzi urwiska. Smith podszedł i zbadał jej napięcie, z początku próbując ostrożnie i delikatnie, a potem z całej siły. Napięta lina pozostała sztywna. Ale hak ani drgnął.

– Co to... co to, u licha... – zaczęła Mary i urwała. Nieświadomie mówiła szeptem.

– Urocze, urocze – mruknął Smith. – Ktoś na dole mnie nie lubi. Zdziwiona?

– Gdyby... gdyby ten hak puścił, już byśmy stąd nie zeszli. – Jej głos drżał nie tylko z zimna.

– Niezgorszy zeskok – przyznał Smith.

Wziął ją pod ramię i ruszyli. Śnieg był teraz gęstszy i nawet w świetle latarek widoczność nie przekraczała dwu metrów, ale mając za punkt orientacyjny występ skalny Smith odszukał Harroda w ciągu niespełna dwóch minut. Sierżant był już tylko bezkształtną bryłą zagrzebaną w zaspie. Odgarnąwszy biały całun Smith rozpiął bluzę zmarłego, wydobł notes z szyframi umocowany na łańcuszku, zawiesił go sobie na szyi, a potem uważnie zapiął swój mundur strzelca alpejskiego.

Teraz musiał obrócić sierżanta na bok. Spodziewał się, że nie będzie to przyjemne, i rzeczywiście nie było; nie oczekiwał też, że będzie niewykonalne; było – ale niewiele brakowało. Wysilek omal go nie pokonał, zmarły był sztywny jak deska, dosłownie zamrożony na kość w pozycji z rozrzuconymi ramionami, tak jak upadł. Po raz drugi tej nocy Smith czuł, jak pot miesza mu się na twarzy z topniejącym śniegiem. Jednakże stopniowo udało mu się odwrócić ciało, zamrożona prawa ręka zmarłego wskazywała w sypiące śniegiem niebo. Smith ukląkł, przysunął latarkę i uważnie obejrzał tył jego głowy.

– Co robisz? – spytała Mary. – Czego szukasz? – Znowm mówiła szeptem.

– Ma złamany kark. Chcę się dowiedzieć dokładnie, jak to się stało. – Spojrzał na dziewczynę. – Nie musisz patrzeć.

– Nie martw się. – Stała tyłem. – Wcale nie mam zamiaru.

Ubranie, tak jak człowiek, zamarzło na sztywno. Kaptur trzeszczał i pękał, kiedy Smith nie zdejmując rękawic ściągał go, odsłaniając tył głowy i szyję. Wreszcie tuż poniżej kołnierza skafandra znalazł to, czego szukał – czerwony ślad u nasady szyi, tam gdzie pękła skóra. Wstał, chwycił zmarłego za kostki nóg i odciągnął kawałek w dół zbocza.

– A teraz? – Wbrew sobie samej Mary znowm przyglądała się zafascynowana, mimo że z niechęcią i przerażeniem. – Czego szukasz teraz?

– Kamienia – odparł lakonicznie. Zimny ton jego głosu skutecznie odwiódł ją od dalszych pytań, choć wiedziała, że nie ona jest tego przyczyną.

W promieniu pół metra od miejsca, gdzie przedtem spoczywała głowa Harroda, Smith odgarnął śnieg, z drobiazgową dokładnością obejrzał i obmacał oczyszczony grunt, wstał powoli, ujął Mary pod ramię i ruszył przed siebie. Po kilku krokach zawahał się, zatrzymał, wrócił do leżącego ciała i obrócił je z powrotem tak, że prawa ręka nie wskazywała już nieba.

W połowie drogi do urwiska odezwał się nagle:

– Coś uderzyło Harroda w tył szyi. Myślałem, że może kamień. Ale tam, gdzie leżał, nie było kamieni, tylko darń.

– Tuż obok był występ skalny.

– Nie możesz złamać kręgosłupa na skalnym występie, a potem wstać i skoczyć w zaspę. Jeżeli nawet stoczył się w nią, w żadnym razie nie mógłby zatrzymać się głową dwa jardy od skały. Uderzono go twardym metalowym przedmiotem, kolbą pistoletu albo trzonkiem noża. Skóra jest pęknięta, ale nie zsiniała, bo kręgosłup złamano mu zaraz potem, jak stracił przytomność. Żebyśmy myśleli, że to wypadek. Musiało się to odbyć na skale, bo na śniegu przy nim nie było śladów, i musiało się to zdarzyć, kiedy stał. Cios w szyję, szybkie skręcenie karku, a potem upadł albo go zepchnięto ze skały. Cudowny materiał ten kamień – zakończył gorzko. – Nie znać na nim śladów stóp.

Mary zatrzymała się i wlepiła w niego wzrok.

– Czy zdajesz sobie sprawę, co mówisz? – Pochwyciła jego zamyślane i przenikliwe spojrzenie, ujęła go za rękę i szybko podjęła: – Chodzi mi o to, co z tego wynika. Przepraszam, przepraszam, oczywiście, że zdajesz sobie sprawę. John, ja... ja się boję. Nawet przez te wszystkie miesiące spędzone z tobą we Włoszech... no, rozumiesz, nigdy tak... – Przerwała, a potem dodała: – Czy... czy nie da się tego inaczej wytłumaczyć?

– Na przykład, że sam uderzył się w tył głowy albo że dobrał się do niego yeti?

Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie, jej czarne oczy były o wiele za duże w stosunku do tylko częściowo widocznej spod kaptura twarzy.

– Nie zasługuję na to, John. Naprawdę się boję.

– Ja też.

– Nie wierzę ci.

– Cóż, jeżeli to nieprawda, to najwyższy czas, żebym zaczął się bać.

Smith przerwał zejście oceniwszy, że znajduje się kilkanaście metrów od podnóża skały. Owinął dwukrotnie linę wokół lewej nogi, docisnął ją prawą, owinął linę wokół lewej ręki, z prawej ściągnął zębami rękawicę, wepchnął ją za bluzę, wydobyl lugera,

odbezpieczył go i kontynuował zjazd, lewą ręką w rękawicy kontrolując szybkość ześlizgu. Całkiem słusznie spodziewał się, że ten, kto usiłował ściągnąć linę, będzie oczekiwał w dole, żeby dokończyć dzieła.

Ale nie było żadnego komitetu powitalnego, a przynajmniej tam, gdzie wylądował. Szybko zatoczył krąg latarką. Nie dostrzegł nikogo ani niczego, a ślady stóp, które musiały tu wcześniej być, dawno już pokrył padający śnieg. Z pistoletem w jednej ręce i latarką w drugiej przemierzył wzdłuż skalnej ściany trzydzieści jardów, potem zatoczył półkole, aż znów dotarł do skały. Amator ściągnięcia liny najwyraźniej wybrał ostrożność. Smith powrócił do liny i szarpnął ją. Po dwu minutach miał już na dole wór z ekwipunkiem Mary, a kilka minut później ją samą. Gdy tylko oswobodziła nogi z pętli węzła, Smith rozwiązał go, ściągnął linę ze szczytu skały i zwinął. Ręce miał już tak zdrętwiałe i przemarznięte, że cała operacja zabrała mu blisko piętnaście minut.

Z liną przerzuconą przez jedno ramię i worem Mary przez drugie poprowadził dziewczynę ku rozpadlinie w skalnej ścianie.

– Nie rozbijaj namiotu – powiedział. – Rozwiń go, połóż śpiwór na jednej połowie, wejdź do niego i przykryj się drugą połową namiotu. Pół godziny i będziesz pokryta śniegiem. Nie tylko będzie cię grzał, ale ukryje przed lunatykami. Zajdę tu rano, zanim wyruszymy.

Odszedł kawałek, zatrzymał się i obejrzał. Mary nadal stała tam, gdzie ją zostawił, patrząc w ślad za nim. Nie miała żadnego szczególnego wyrazu twarzy ani opuszczonych rąk, a jednak w nieokreślony ale niewątpliwy sposób sprawiała wrażenie dziwnie samotnej, bezbronnej i opuszczonej. Smith zawahał się, potem wrócił do niej, rozwinął namiot i śpiwór, zczekał, aż do niego wejdzie, zaciągnął suwak i przykrył ją aż po samą brodę częścią namiotu. Uśmiechnęła się do niego. Wtedy doczepił kaptur śpiwora, zakrył go rogiem namiotu i w milczeniu odszedł.

Bez najmniejszego trudu odnalazł namiot, wewnątrz którego płonęło mocne światło. Otrzeptał się ze śniegu, schylił i wszedł. Christiansen, Thomas i Carraciola leżeli w śpiworach śpiąc albo tylko na to wyglądało. Torrance-Smythe zajęty był przeglądem arsenału materiałów wybuchowych, zapalników, detonatorów i granatów, natomiast Schaffer czytał książkę w broszurowym wydaniu – niemiecką; palił papierosa – również niemieckiego i wiernie strzegł radia. Odłożył książkę i spojrzał na Smitha.

– W porządku? – spytał.

– W porządku. – Smith wyciągnął spod bluzy notes. – Wybaczcie, że tak długo, ale już myślałem, że nigdy go nie znajdę. Na górze mocno sypie.

– Umówiliśmy się, że będziemy czuwać na zmianę – wyjaśnił Schaffer. – Każdy po pół godziny. Za trzy godziny zacznie świtać.

Smith uśmiechnął się.

– A przed czym tak się strzeżecie w tych okolicach? – spytał.

– Przed yeti.

Uśmiech znikł z jego twarzy równie szybko, jak się na niej pojawił. Zajął się notesem Harroda i przez następne dziesięć minut uczył się na pamięć sygnałów wywoławczych i częstotliwości oraz zaszyfrowywał meldunek. Zanim skończył, Schaffer wsunął się do śpiwora, pozostawiając na straży Torrance-Smythe'a. Smith złożył kartkę, wetknął ją do kieszeni, wstał i wziął radio oraz podgumowaną płachtę, żeby zabezpieczyć je przed śniegiem.

– Odejdę kawałek dalej – powiedział do Torrance-Smythe'a. – Między drzewami jest parszywy odbiór. Zresztą nie chciałbym wszystkich budzić. Niedługo wrócę.

W odległości dwustu metrów od namiotu, dwukrotnie zatrzymawszy się i zmieniawszy kierunek, ukląkł, odwrócił się plecami do zacinającego śniegu i zasłonił płachtą. Wyciągnawszy czterometrową składaną antenę, nastawił ustaloną częstotliwość fali i pokręcił korbą. Za piątym razem powiodło mu się. Ktoś rzeczywiście pilnował nasłuchu.

– Tu Danny Boy – zatrzeszczał głośnik. Głos był słaby i przerywany, ale zrozumiała. – Danny Boy odpowiada. Odbiór.

– Tu Szabla – przemówił Smith. – Czy mogę mówić z Ojcem Machree lub Matką Machree? Odbiór.

– Niestety są nieobecni. Odbiór.

– Szyfruję – powiedział Smith. – Odbiór.

– Gotów.

Smith wyciągnął kartkę i poświecił latarką. Wypisane były na niej dwie linijki bezsensownych zbitek liter, pod którymi znajdowało się następujące tłumaczenie: LĄDOWANIE DOBRE HARROD NIE ŻYJE POGODA SPRZYJA PROSZĘ CZEKAĆ MELDUNEK 0800 G.M.T. Odczytał odpowiednie symbole szyfru i zakończył:

– Proszę przekazać to Ojcu Machree przed siódmą zero zero. Koniecznie.

Torrance-Smythe podniósł oczy na wchodzącego Smitha.

– Już z powrotem? – spytał ze zdziwieniem. – Połączył się pan?

– Nie ma mowy – odrzekł Smith z rozdrażnieniem. – Za dużo wkoło tych cholernych gór.

– Chyba niezbyt długo pan się starał?

– Dwie i pół minuty. – Tym razem Smith był zaskoczony. – Musi pan chyba wiedzieć, że takie jest maksimum bezpieczeństwa.

– Myśli pan, że mogą gdzieś tu być stacje radiolokacyjne?

– Ależ nie, skądże znowu. – Głos Smitha był pełen sarkazmu. – Nie spodziewa się pan znaleźć radiolokatorów w Schloss Adler, prawda?

– No tak. – Torrance-Smythe uśmiechnął się ze zmęczeniem. – Ktoś, zdaje się, wspominał, że ten zamek jest centralą niemieckiego wywiadu w południowych Niemczech. Przepraszam, majorze. To nie dlatego, że się starzeję, chociaż to też. Po prostu urządzenie, które uchodzi za mój mózg, tak mi wysiadło z zimna i niewyspania, że chyba w ogóle przestało działać.

Smith ściągnął buty i kombinezon, włożył do śpiwora i przyciągnął do siebie radio.

– W takim razie pora, żeby się pan trochę przespał. Mój ekspert od wybuchów nie na wiele mi się przyda, jeżeli nie odróżni detonatora od gałki u drzwi. No, już. Kłąć się. Ja będę czuwał.

– Ale ustaliliśmy...

– Ach, te dyskusje – westchnął Smith. – Na każdym kroku brak subordynacji. – Uśmiechnął się. – Niech pan się wyciągnie, Smithy. Ja wybiłem się ze snu. Wiem, że dzisiaj nie zasnę.

Jedno bezczelne kłamstwo, pomyślał, i jedno stwierdzenie niezaprzeczalnego faktu. Wcale nie był rozbudzony, był fizycznie i psychicznie wyczerpany i przy najmniejszym rozluźnieniu woli w ciągu kilku sekund zapadłby w nieświadomość. Jednakże na pewno nie zasnąłby tej nocy, pod żadnym pozorem nie mógłby zasnąć, ale w tych okolicznościach być może mądrzej było nie przyznawać się do tego Torrance-Smythe'owi.

Niebo wypełniała szarość przedświt. Smith i jego ludzie zwinęli już obóz. Namioty i śpiwory leżały złożone z boku, a menażki i niezbędniki, z których korzystano przy bardzo skromnym śniadaniu, właściwie nie zasługującym na tę nazwę, upychano właśnie do chlebaków. Nie było rozmów, żadnych. Ten ranek nie skłaniał do mówienia. Smith pomyślał, że wszyscy wyglądają na mizerniejszych i bardziej wyczerpanych niż trzy godziny temu. Zastanawiał się, jak też on sam musi wyglądać, skoro wcale nie spał. Dobrze się składa, że lusterka nie należą do ich komandoskiego wyposażenia. Spojrzał na zegarek.

– Wyruszamy za dziesięć minut – oznajmił. – Jest dość czasu, żeby zdążyć zejść między drzewa przed wschodem słońca. Zakładając, że nie ma więcej skał. Wracam za chwilę. Widoczność się poprawia, więc chyba pójdę na mały zwiad brzegiem skały. Jeżeli mi się poszczęści, może odkryję, którądy najlepiej stąd zejść.

– A jeżeli się panu nie poszczęści? – cierpko spytał Carraciola.

– To mamy jeszcze te tysiąc stóp liny – odparł krótko Smith. Wciągnął ubiór maskujący i odszedł skręcając ku skale. Ledwie minął pas karłowatych sosen i przestał być widoczny z obozowiska, zmienił kierunek i rzucił się pędem pod górę.

Spod uniesionego rogu przysypanego śniegiem płótna wyjrzało jedno oko, oko Mary Ellison, która pochwyliła cichy chrzęst stóp biegnących po śniegu. Słyszając dwa pierwsze takty fałszywie gwizdanej „Lorelei”, rozsunęła suwak śpiwora i usiadła. Nad nią stał Smith.

– Och nie, jeszcze nie! – zaprotestowała.

– Tak, już. No dalej, wstawaj!

– Nie zmrużyłam oka.

– Ani ja. Przez całą noc strzegłem tego przeklętego radia i pilnowałem, żeby jakiś lunatyk nie wybrał się w tę stronę na przechadzkę.

– Nie spałeś. Zrobiłeś to dla mnie?

– Nie spałem. Ruszamy. Ty – za pięć minut. Namiot i torbę z ekwipunkiem zostaw tu, już ich nie będziesz potrzebować. Weź trochę jedzenia, coś do picia, to wszystko. I na miłość boską, nie podejdź do nas za blisko. – Spojrzał na zegarek. – Zatrzymamy się o siódmej. Sprawdź zegarek. Punkt siódma. I nie wpadnij na nas.

– Za kogo mnie masz? – spytała, ale Smith jej nie odpowiedział, za kogo ją ma, bo już go nie było.

Trzysta metrów niżej porastające zbocze Weißspitze drzewa były z prawdziwego

zdarzenia – wybujałe szpilkowce strzelały w niebo na wysokość dwudziestu i więcej metrów. W czyste niebo, gdyż śnieg przestał padać. Świtało.

Zbocze góry nadal opadało bardzo stromo, pod kątem 70, może 75 stopni. Smith, mając za plecami rozciągniętą w rzędzie piątkę mężczyzn, niemal bezustannie ślizgał się i potykał. Przyszło mu na myśl, że głęboki śnieg przynajmniej łagodzi częste upadki i że podobna wędrówka jest jednak o niebo lepsza od zsuwania się wzdłuż pionowych ścian skalnych po nieznośnie cienkiej linie. Przekleństwa jego potłuczonych towarzyszy rozbrzmiewały prawie bez przerwy, lecz uderzające było to, że poza tym nikt zasadniczo na nic nie narzekał. Nic im nie groziło, utrzymywali świetne tempo i byli teraz całkowicie ukryci w szerokim pasie sosen.

Dwieście metrów dalej, po śladach zostawionych przez znajdujących się niżej mężczyzn, ostrożnie podążała Mary Ellison. Ślizgała się i upadała bardzo rzadko, bo w odróżnieniu od nich nie niosła na plecach ekwipunku, który by zakłócał równowagę. Nie bała się też, że zostanie dostrzeżona, że zanedbto zbliży się do Smitha i towarzyszy, bo w spokojnym, mroźnym, górskim powietrzu dźwięk rozchodzi się z nadnaturalną wyrazistością, a po głosach dobiegających z dołu zbocza mogła z dużą dokładnością orzec, ile ją od nich dzieli. Po raz dwudziesty spojrzała na zegarek: była za dwadzieścia siódma.

Nieco później, po raz znacznie wyższy niż dwudziesty, Smith ponownie sprawdził godzinę. Była punkt siódma. Brzask zastąpiło już światło pełnego dnia przesączone przez iglaste gałęzie, które uginały się pod ciężarem śniegu. Smith zatrzymał się i podniósł rękę oczekując, aż zrówna się z nim pozostała piątka.

– Musimy już być w połowie drogi. – Strząsnął z pleców ciężki pakunek i z ulgą upuścił go w śnieg. – Czas pooglądać widoki.

Złożyli ekwipunek na stos i odeszli w prawo. Po niespełna minucie marszu, kiedy sosny zaczęły rzednieć, na znak Smitha wszyscy padli na czworaki i czołgając się przebyli ostatnie kilka metrów dzielące ich od skraju pasma sosen. Smith trzymał w ręku lunetę, a Thomas i Christiansen lornetki. Zeissowskie! Admirał Rolland niczego nie zostawił na los szczęścia. Widok na leżącą pod nimi dolinę przesłaniał śnieżny pagórek za ostatnią sosną. Spowici od stóp do głów w biel ubiorów maskujących pokonali ostatnie metry na kolanach i łokciach.

To, co roztaczało się w dole, było jakby z baśni: nieprawdopodobnie piękny krajobraz z nieprawdopodobnie pięknej baśni, baśni dziejącej się całą wieczność temu w wymyślonej krainie snów, lepszej i szlachetniejszej niż te, które poznał człowiek od czasu, kiedy po raz pierwszy podniósł rękę na swojego brata. Kraina, której nigdy nie było – pomyślał Smith. Lecz oto leżała przed nimi, złota kraina, której nigdy nie było, siedziba będącej postrachem całego świata organizacji – niemieckiego Gestapo. Przyszło mu na myśl, że niewłaściwość

nieskazitelności tego miejsca przechodzi wszelkie wyobrażenia.

Dolina miała kształt niecki otwierającej się na północ, opasanej od wschodu i zachodu stromo wznoszącymi się wzgórzami i zamkniętej od południa wyniosłym ogromem Weißspitze.

Krajobraz był niezwyklej urody. Mierząca dwa tysiące dziewięćset sześćdziesiąt metrów, druga pod względem wysokości góra w Niemczech, Weißspitze, strzelała groźnie wzwyż jak siostra północnej ściany Eigeru. Oblana porannym słońcem oślepiła bielą, a jej prześliczny zarys odcinał się od bezchmurnego już błękitu nieba. Wysoko, nieco poniżej stożkowatego szczytu, widać było smugę czarnej skały znaczącą urwisko, z którego zeszli w nocy Smith i jego oddział, a tuż pod nią o wiele większą, opadającą ku płaskowyżowi ścianę skalną, nad którą spędzili noc.

W linii prostej od miejsca, gdzie leżeli, i niemal dokładnie na tej samej wysokości stał Schloss Adler. Orli Zamek otrzymał właściwą nazwę. Była to niezdojta twierdza, niedostępne orle gniazdo zawieszane pomiędzy górą a niebem.

Tuż poniżej miejsca, skąd strome zbocza Weißspitze zaczynały się spłaszczać ku północy aż do wylotu doliny, sterczał w połyskliwym, lodowatym powietrzu sześćdziesięciometrowy geologiczny wybryk natury zwany czopem wulkanicznym. Na nim właśnie wzniesiono Schloss Adler. Północną, zachodnią i wschodnią stronę tego fenomenu stanowiły pionowe ściany skalne, strzelające gładko wzwyż i przechodzące w mury samego zamku. Z miejsca, w którym leżeli, nie sposób było orzec, gdzie kończyło się jedno, a zaczynało drugie. Od południa spadzista grań łączyła czop z równie stromymi szczytami Weißspitze.

Sam zamek był jeszcze jednym snem, apoteozą średniowiecza. Smith zdawał sobie sprawę, że ów sen był równie złudny, jak myśl o złotym wieku jego otoczenia. Zamek wcale nie był średniowieczny, zbudowano go dopiero w połowie XIX wieku na wyraźny rozkaz jednego z bardziej szalonych bawarskich monarchów, cierpiącego na urojenia, na których obszernej liście wystawność nie zajmowała najpośledniejszego miejsca. Jednakże czy cierpiał na urojenia, czy nie, miał ów monarcha, jak to się często zdarza ofiarom urojeń – ku przerażeniu i konsternacji ich rzekomo zdrowszych na umyśle bliźnich – nienaganny smak. Zamek był wymarzony dla doliny, dolina dla zamku. Żadne inne połączenie byłoby nie do pomyślenia.

Schloss Adler zbudowano w kształcie wydrążonego kwadratu. Był on warowny blankami, wieżami i strzelnicami, a jego najwspanialsze fragmenty, dwie idealnie okrągłe wieże, wschodnia wyższa od zachodniej, wychodziły na północ górując nad doliną. Dwie mniejsze, lecz także wspaniałe, stanowiły południowe rogi, wychodząc na groźnie majaczący masyw Weißspitze. Ze swojego miejsca, które znajdowało się nieco powyżej

poziomu zamku, Smith widział wewnątrz jego murów otwarty dziedziniec, na który można było się dostać od tyłu przez olbrzymią podwójną żelazną bramę. Słońce nie wspięło się jeszcze na tyle wysoko ponad wschodnie wzgórza, żeby uderzyć w zamek swymi promieniami, a mimo to jego niewiarygodnie białe ściany jaśniały i mieniły się, jakby były wykonane z najpołyskliwszego marmuru.

Poniżej urwistych północnych szańców zamku dolina opadała stromo ku Blau See, okolonej sosnami perle jezior, ciemnoszafirowej i roziskrzzonej, której kolor wraz z zielenią sosen, oślepiającą bielą śniegu i świetlistym błękitem nieba w górze tworzył połączenie o zapierającej dech piękności. Nieprawdopodobnie piękne, pomyślał Smith. Całkowicie wierną barwną reprodukcją tej scenerii wszyscy nazwaliby kiczem.

Stąd, gdzie leżeli, mogli zaobserwować, że pasmo sosen, w którym byli ukryci, ciągnęło się prawie do samego jeziora. Przedostanie się na dół niepostrzeżenie nie byłoby wcale trudne. Niemal identyczne pasmo sosen zbiegało przeciwległym, wschodnim, stokiem doliny. Od strony jeziora te dwa długie zagony sosen wytrwale wspinające się pod górę i maszerujące na południe musiały wyglądać jak para wielkich wygiętych rogów, któreomalże schodziły się u szczytu niższej z dwóch skalnych ścian Weißspitze.

Nad bliższym krańcem jeziora leżała mała wieś. Zasadniczo składały się na nią szeroka, ciągnąca się może ze dwieście metrów ulica, stacja kolejowa, dwa nieuchronne kościoły przycupnięte nieuchronnie na dwóch pagórkach oraz domy z rzadka rozrzucone na wspinających się po obu jej stronach stokach. Wychodząca z południowego krańca wsi droga wiała się pod górę przeciwległym stokiem doliny docierając aż do grani na południe od zamku. Grań tę pokonywała ostra serpentyna, której ostatni nagły zakręt prowadził ku olbrzymiej bramie strzegącej podzamcza na tyłach Schloss Adler. Droga ta była w tej chwili całkowicie zasypana śniegiem i nie ulegało wątpliwości, że dostać się do zamku można tylko dzięki Luftseilbahn – wiszącej kolejce linowej. Od wsi prosto na zamek biegnęły dwie liny, przechodząc przez trzy podtrzymujące je słupy. Właśnie kiedy patrzyli, wagonik kolejki pokonywał ostatni odcinek drogi na zamek. Od połyskujących ścian zaułku dzieliło go nieco ponad trzydzieści metrów i zdawał się wspinać niemal pionowo.

Nad Blau See, około półtora kilometra za wsią, znajdowało się bardzo duże skupisko baraków, stojących w regularnych odstępach i układających się w prostokątne wzory. Przypominało ono do złudzenia wojskowe obozowisko.

– No, niech mnie diabli! – Niemal fizycznie wyczuwalnym wysiłkiem woli Schaffer zmusił się do oderwania wzroku od widoków i Smith ujrzał w jego oczach zdumienie. – Czy ja to widzę naprawdę, szefie?

To pytanie nie wymagało odpowiedzi. Trafnie podsumowywało ich wspólne odczucia i żaden z nich nie potrafiłby dodać nic, co nie wydałoby się i nie zabrzmiałoby zbyt cicho.

Rozciągnięci w śniegu obserwowali w milczeniu wagonik pokonujący rozpaczliwie wolno ostatnie piętnaście metrów dzielące go od zamku. Miało się wrażenie, że sobie nie poradzi, i Smith prawie namacalnie wyczuwał, jak wraz z towarzyszami jednoczy się z tym maleństwem i popycha je siłą woli na ostatnich metrach wspinaczki. Wagonik poradził sobie jednak i znikł im z oczu pod dachem górnej stacji kolejki, wbudowanej po zachodniej stronie w podnóże zamku. Napięcie zelżało i Schaffer chrząknął.

– Szeffie – powiedział nieśmiało – nasunęły mi się ze dwie drobne uwagi, wymagające – żeby tak rzec – wyjaśnienia. Przede wszystkim, gdybym był głupszy, niż jestem, powiedziałbym, że nad tamtym jeziorkiem są wojskowe koszary.

– A więc jest pan głupszy. Bo nad tamtym jeziorkiem są istotnie wojskowe koszary. I to, rzekłbym, nie byle jakie. To główny ośrodek szkoleniowy Jägerbatalionów należących do Strzelców Alpejskich Wehrmachtu.

– O, rany! Strzelców alpejskich! Gdybym’ to wiedział, nigdy bym się tu nie wybrał. Strzelców alpejskich! Dlaczego nikt tego nie powiedział najdroższemu i najmilszemu synkowi mamy Schaffer?

– Sądziłem, że pan wie – rzekł łagodnie Smith. – Jak pan myśli, czemu nie przebraliśmy się za niemieckich marynarzy albo za pielęgniarzy Czerwonego Krzyża?

Schaffer rozpiął strój maskujący, drobiazgowo obejrzał swój mundur strzelca alpejskiego, tak jakby widział go po raz pierwszy, a potem zasunął suwak.

– Chce pan powiedzieć – odezwał się ostrożnie – że przyłączymy się jakby nigdy nic do armii niemieckiej? – Zamilkł, spojrzał rozszerzonymi oczami na uśmiechającego się i potakującego Smitha, a potem dodał z niedowierzaniem: – Przecież... przecież rozpoznają w nas obcych!

– Przez cały czas przyjeżdżają tu i odjeżdżają oddziały szkoleniowe – odrzekł bez namysłu Smith. – Czym jest sześć nowych twarzy wobec sześciuset?

– To straszne – powiedział Schaffer ponuro.

– Gorsze od koni? – spytał z uśmiechem Smith. – W końcu strzelcy alpejscy nie wierzą i nie tratują kopytami.

– Konie nie mają karabinów maszynowych – stwierdził Schaffer markotnie.

– A ta druga uwaga?

– A, owszem, druga uwaga. Jest jeszcze drobiaźdzek, sam Schloss. Czy nie zapomnieliśmy przypadkiem helikoptera? Jak się tam dostaniemy?

– Słuszna uwaga – przyznał Smith. – Będziemy musieli to przemyśleć. Ale powiem panu jedno. Jeżeli pułkownik Wyatt-Turner może spenetrować niemieckie naczelne dowództwo i, co ważniejsze, uciec stamtąd, to dla nas powinien to być chlebek z masłem.

– A co on takiego zrobił? – spytał Schaffer.

– Nie wie pan?

– Skąd miałbym wiedzieć? – rozłościł się Schaffer. – Znam tego gościa dopiero od wczoraj.

– Spędził lata od czterdziestego do czterdziestego trzeciego na terenie Niemiec. Przez pewien czas służył w Wehrmachcie. A wylądował w niemieckim naczelnym dowództwie w Berlinie. Twierdzi, że całkiem dobrze zna Hitlera.

– Niech mnie diabli! – Schaffer zamilkł na dłuższą chwilę, aby wreszcie wyciągnąć wniosek. – Ten gość musi być stuknięty – stwierdził ponuro.

– Może. Ale jeżeli on potrafił to zrobić, to my również. Znajdziemy jakiś sposób. Wracajmy między drzewa.

Pozostawiwszy na straży Christiansena z lunetą Smitha, centymetr po centymetrze, wycofali się w ukrycie. Rozbili prowizoryczny obóz i po podgrzaniu i wypiciu kawy Smith obwieścił, że jeszcze raz spróbuje połączyć się z Londynem.

Odpakował radio i przysiadł na torbie z ekwipunkiem o metr od reszty. Przełącznik, który przerywał obwód nadawczy, był po lewej stronie aparatu, bardziej oddalonej od miejsca, gdzie siedziała pozostała czwórka. Z głośnym, przekonującym traskiem Smith włączył radio i lewą ręką zakręcił korbką, już przy pierwszym obrocie przesuwając przełącznik nadawania z „włączony” na „wyłączony”. Terkot korbki zagłuszył ten odgłos. Kręcąc nią pracowicie przerywał co jakiś czas dokonując drobnych poprawek przy regulatorach, aż wreszcie dał za wygraną, wyprostował się i potrząsnął głową z niezadowoleniem.

– Nigdy się panu nie uda przy tych wszystkich drzewach dookoła – stwierdził Torrance-Smythe.

– To musi być przyczyna – zgodził się Smith. – Spróbuję z drugiej strony lasu. Może tam pójdzie mi lepiej.

Zarzucił nadajnik na ramię i brnąc przez głęboki śnieg przeciął pasmo sosen, kierując się na jego drugą stronę. Kiedy uznał, że nie grozi mu już dostrzeżenie przez mężczyzn w obozie, dla pewności obejrzał się szybko przez ramię. Nie było ich widać. Skręcił w lewo pod kątem ponad dziewięćdziesięciu stopni i pośpieszył pod górę, aż dotarł do śladów, które on i reszta pozostawili schodząc. Podążył nimi znów pod górę gwizdząc „Lorelei”, ale cicho, bo w mroźnym powietrzu dźwięk niósł się niebezpiecznie daleko. Przestał gwizdać, kiedy zza powalonej sosny wyłoniła się Mary.

– Cześć, kochanie – powiedziała promiennie.

– Może lepiej mniej tych „kochanie” – rzekł szybko. – Ósma. Ojciec Machree czeka. A poza tym mów ciszej.

Usiadł na zwałonym drzewie, zakręcił korbką i prawie natychmiast uzyskał połączenie.

Głos z Londynu był nadal bardzo słaby, ale wyraźniejszy niż wcześniej tego ranka.

– Ojciec Machree czeka – zatrzeszczało radio. – Nie rozłączaj się. Nie rozłączaj.

Smith zaczekał i charakterystyczny głos admirała Rollanda zastąpił londyńskiego radiotelegrafistę.

– Szabla, proszę o położenie.

Smith zajrzał do trzymanej w ręku kartki, znów zapisanej szyfrem i zwykłym językiem. Meldunek brzmiał: LASY DOKŁADNIE NA ZACHÓD OD ZAMKU SCHODZIMY DO W. H. DZIŚ WIECZÓR.

Kiedy odczytał odpowiednie litery szyfru, nastąpiła przerwa, podczas której Rolland przypuszczalnie czekał na odszyfrowanie meldunku.

– Zrozumiano – rozległ się znów jego głos. – Kontynuuj. Harrod zabity w wypadku?

– Nie. Odbiór.

– Przez wroga? Odbiór.

– Nie. Jaka prognoza pogody? Odbiór.

– Pogarsza się. Wiatry umiarkowane, później silne. Śnieg. Odbiór.

Smith spojrział w spokojne, bezchmurne niebo i przyjął na wiarę, że Rollandowi nie pomieszały się prognozy.

– Czas następnego meldunku niepewny – oznajmił. – Czy może pan być w pogotowiu? Odbiór.

– Pozostaję w centrali aż do zakończenia operacji – odrzekł Rolland. – Powodzenia. Do widzenia.

Smith zamknął radio i odezwał się w zamyśleniu do Mary:

– Niezbyt mi się podobał sposób, w jaki powiedział to „do widzenia”.

W Whitehallu, w sali operacji morskich, admirał Rolland i pułkownik Wyatt-Turner, siedzący po obu stronach radiotelegrafisty obsługującego olbrzymi nadajnik, popatrzyli na siebie zachmurzeni.

– Więc biedaka zamordowano – rzekł Wyatt-Turner bezbarwnym głosem.

– Wysoką cenę trzeba płacić za potwierdzenie tego, że mamy rację – powiedział z przygnębieniem Rolland. – Biedak, mówi pan. W chwili kiedy daliśmy mu do niesienia to radio, podpisaliśmy wyrok śmierci. Zastanawiam się, kto będzie następny. Sam Smith?

– Smith nie. – Wyatt-Turner potrząsnął z przekonaniem głową. – Niektórzy mają szósty zmysł. A on ma siódmy, ósmy, dziewiąty i jeszcze wbudowany radar, nastawiony na niebezpieczeństwo. Potrafi przetrwać w każdych okolicznościach, jakie mogą sobie wyobrazić. Nie wybrałem go na chybił trafił. To najlepszy agent w Europie.

– Z wyjątkiem być może pana. I niech pan nie zapomina, pułkowniku, że mogą

zaistnieć okoliczności, których nawet pan nie potrafi sobie wyobrazić.

– Tak, to prawda. – Wyatt-Turner spojrział Rollandowi prosto w oczy. – Jakie ma według pana szanse?

– Szanse? – Oczy Rollanda spoglądały gdzieś daleko, niewidzące. – Jak to szanse? Nie ma żadnych.

Niemal identyczne myśli nawiedziły Smitha, kiedy zapaliwszy papierosa spoglądał na dziewczynę starając się, żeby nie odbiły się one na jego twarzy. Dopiero przed chwilą widok zamku nagle uzmysłowił mu w pełni, jak niewykonalne zadanie ich czeka. Gdyby wiedział dokładnie, jak wygląda rzeczywistość, bardzo wątpił, czy by się tu zjawił. W głębi, w najdalszych zakamarkach umysłu, wiedział, choć by się przed sobą do tego nie przyznał, że nie było miejsca choćby na odrobinę wątpliwości. Nie zjawiłby się tu. Ale jednak się zjawił. Był tu i musiał przystąpić do działania.

– Zerknęłaś już sobie na nasz Schloss? – zwrócił się do Mary.

– Fantastyczny. Jak my w ogóle wydostaniemy stamtąd generała Carnaby?

– To proste. Wybierzemy się tam dziś wieczorem na spacer, wejdziemy do środka i zabierzemy go.

Mary utkwiała w nim oczy z niedowierzaniem czekając, że coś jeszcze powie. Ale nic nie powiedział.

– To wszystko? – spytała w końcu.

– To wszystko.

– Prostota prawdziwego geniuszu. Dużo czasu musiało ci zabrać obmyślenie tego numeru. – A gdy nadal nie odpowiadał, ciągnęła z wystudowanym sarkazmem: – Po pierwsze, oczywiście nie będzie żadnego problemu z dostaniem się do środka. Po prostu podchodzi się do głównej bramy i puka.

– Mniej więcej. Następnie brama – lub okno – otwiera się, uśmiecham się do ciebie, dziękuję i wchodzę do środka.

– Co takiego?

– Uśmiecham się i dziękuję. Nawet w czasie wojny nie ma powodu, żeby za drobne uprzejmości...

– Proszę cię! – Mary przestała nad sobą panować. – Jeżeli nie potrafisz mówić do rzeczy...

– Bo to ty właśnie mnie wpuścisz – wyjaśnił cierpliwie Smith.

– Czy ty się dobrze czujesz?

– Niemcy cierpią na brak personelu. Schloss Adler nie jest wyjątkiem. A szukają właśnie takich jak ty. Jesteś młoda, inteligentna, przystojna, możesz gotować, czyścić buty,

przyszywać guziki pułkownikowi Kramerowi...

– Kto to jest pułkownik Kramer? – Zarówno ton jej głosu, jak i twarz wyrażały oszołomienie.

– Zastępca szefa niemieckiego wywiadu.

– Zwariowałaś – powiedziała Mary z przekonaniem.

– Gdyby było inaczej, tobym się tym nie zajmował. – Zerknął na zegarek. – Za długo mnie tam nie ma, a obawiam się, że otacza mnie atmosfera podejrzliwości. Wyruszamy o piątej. Punkt piąta. We wsi na dole, po wschodniej stronie głównej ulicy, jest Gasthaus pod nazwą „Zum Wilden Hirsch”. „Pod dzikim jeleniem”. Zapamiętaj: „Zum Wilden Hirsch”. Byłoby lepiej, żebyś nie zawędrowała do nie tej gospody. Za nią jest komórka, w której trzymają piwo. Jest zawsze zamknięta na klucz, ale dziś klucz będzie w drzwiach. Zjawię się tam dokładnie o ósmej.

Odwrócił się chcąc odejść, ale Mary schwyciła go za rękę.

– Skąd to wszystko wiesz? – zapytała z napięciem. – O Gasthausie i o schowku na butelki, i o tym, że będzie tam klucz, i o pułkowniku Kramerze, i o...

– A ja jaj! – Smith potrząsnął głową z przyganą i dotknął jej ust wskazującym palcem.

– Podręcznik dla szpiegów, złota zasada numer jeden. – Cofnęła się, wbiła wzrok w ziemię i wyrecytowała cicho i z goryczą: – Nigdy przenigdy nic nie mów nikomu, chyba że musisz. – Przerwała i podniosła oczy. – Nawet mnie?

– Zwłaszcza tobie, kruszynko. – Poklepał ją lekko po policzku. – Nie spóźnij się.

Ruszył w dół zboczem pozostawiając ją samą; patrzyła w ślad za nim z twarzą pozbawioną wyrazu.

Rozciągnięty i niemal zagrzebany w głębokim śniegu porucznik Schaffer leżał na wpół ukryty za sosnowym pniem, z przytkniętą do oka lunetą. Słyszac za sobą cichy chrzęst śniegu odwrócił się i ujrzał Smitha sunącego w jego stronę na czworakach.

– Nie mógł pan zapukać albo co? – zapytał z irytacją.

– Przepraszam. Chłopcy mówią, że chciał mi pan coś pokazać.

– Owszem. – Schaffer wręczył Smithowi lunetę. – Proszę rzucić sobie okiem na tę zgrają. Pomyślałem, że może to pana zainteresować.

Smith ujął lunetę i zaczął przesuwać palcem niezwykle czuły regulator, aż osiągnął maksymalną ostrość obrazu.

– Niżej – powiedział Schaffer. – U stóp skały.

Smith przesunął lunetę w dół, wzdłuż zamku i pionowych ścian wulkanicznego czopu, aż cienki krzyż jej nitek spoczął na pokrytych śniegiem stokach u stóp skały. Zobaczył dwóch żołnierzy, którzy z pistoletami zarzuconymi na ramię i czterema psami bez smyczy

szli zboczem.

– Ho, ho! – mruknął w zamyśleniu. – Teraz widzę, co pan ma na myśli.

– To dobermany pinczery, szefie.

– No cóż, fakt, że to nie są pudelki miniatutki – przyznał Smith. Przesunął lunetę nieco wyżej po ścianach wulkanicznej skały i zatrzymał ją.

– O, i reflektory iluminacyjne – dodał cicho.

Ponownie obniżył lunetę, mijając patrolujących żołnierzy i psy, aż spoczęła na wysokiej drucianej siatce, która zdawała się otaczać ze wszystkich stron podstawę wulkanicznego czopu.

– I śliczna siateczka.

– Siatki są po to, żeby je przecinać albo się na nie wspinać – powiedział Schaffer tonem wyroczni.

– Spróbuj tylko przeciąć albo wspiąć się na tę, chłopcze, a w mgnieniu oka cały się usmażysz. Typowa konstrukcja z podłączonym typowym jednofazowym prądem zmiennym o napięciu 2300 wolt i częstotliwości 60 herców. Wszystkie najlepsze krzesła elektryczne z niej korzystają.

Schaffer potrząsnął głową.

– Zdumiewające, do czego posuwają się niektórzy, żeby się ustrzec intruzów.

– Siatki, reflektory i dobermany – rzekł Smith. – Nie wydaje mi się, żeby taka kombinacja mogła nas zatrzymać, co, poruczniku?

– Ależ skąd. Nas? Nie ma mowy – Schaffer zamilkł na chwilę, po czym wybuchnął: – W jaki sposób, jak Boga kocham, zamierza pan...

– Zdecydujemy w swoim czasie – odparł beztrąsko Smith.

– Chce pan powiedzieć, że to pan zdecyduje – pożalił się Schaffer. – Trzyma pan karty przy orderach, co?

– Bo jestem za młody, żeby umierać.

– Ale dlaczego ja, jak Boga kocham? – zapytał Schaffer po długim milczeniu. – Dlaczego mnie wzięto na tę robotę. Ten kraj nie mieści się w moich zainteresowaniach, majorze.

– Któż to wie – odparł szczerze Smith. – A właściwie dlaczego wzięto mnie?

Schaffer, który właśnie mierzył go długim i wyraźnie nieufnym spojrzeniem, nagle znieruchomiał i zadarł głowę w niebo w kierunku czegoś, co niewątpliwie było hałaśliwym furkotem helikoptera. Obaj zauważyli go natychmiast. Nadlatywał z północy, znajdował się nad Blau See i kierował się prosto ku nim. Był duży, wojskowy, oznakowany swastykami, wyraźnie rozpoznawalnymi nawet w tej odległości. Schaffer rozpoczął odwrót w stronę pasa sosen.

– Schaffer wychodzi – oznajmił pośpiesznie. – Te psy gończe wypuszczono na nas.

– Nie sędzę – powiedział Smith. – Niech pan zostanie na miejscu i naciągnie na głowę kaptur.

Szybko naciągnęli na głowy białe kaptury skafandrów, tak że wyglądały spod nich tylko ich oczy i częściowo zagrzebana w śniegu luneta Smitha. Z odległości dziesięciu metrów, patrząc z dowolnej strony, również z góry, musieli być zupełnie niewidoczni.

Helikopter sunął wzdłuż doliny nadal utrzymując kurs dokładnie na to miejsce, gdzie leżeli ukryci. Kiedy znalazł się kilkanaście metrów od nich, nawet Smith poczuł się nieswojo i pomyślał, czy też aby mocą jakiegoś fatalnego zrządzenia losu wróg nie wiedział lub nie podejrzewał ich obecności. Niemcy z pewnością musieli słyszeć w nocy silniki Lancastera, choć były stłumione. Czyżby jakiś podejrzliwy i inteligentny typ, a takich nie mogło braknąć w Schloss Adler, znalazł właściwe wyjaśnienie obecności zabłąkanego bombowca w jednym z najbardziej nieprawdopodobnych miejsc w całych Niemczech? Może wybrani żołnierze Alpenkorps właśnie w tej chwili przeczesywali sosnowe lasy, a on, Smith, był tak pewien siebie, że nie zadał sobie trudu wystawienia wartownika!

I wtedy helikopter, który był prawie tuż nad ich głowami, ześliznął się nagle w lewo, opadł nad dziedzińcem zamkowym, na kilka chwil zawisł w powietrzu, a potem wolno opuścił się. Smith otarł ukradkiem czoło i przyłożył oko do lunety.

Helikopter wylądował. Śmigło zatrzymało się, spuszczone drabinkę i jakiś mężczyzna zszedł po niej na dziedziniec. Sądząc po mundurze Smith zawyrokował, że musi to być bardzo wysoki oficer. A potem nagle zdał sobie sprawę, że jest to wyjątkowo, ale to wyjątkowo wysoki oficer. Ze ściągniętą twarzą podsunął lunetę Schafferowi.

– Niech pan się dobrze przyjrzy – polecił mu.

Schaffer przyjrzał się dobrze, obniżywszy lunetę, kiedy mężczyzna wchodził w jakieś drzwi.

– Pański kumpel, szefie? – spytał.

– Znam go. Marszałek Rzeszy Julius Rosemeyer. Szef Wehrmachtu.

– Pierwszy raz trafia mi się marszałek Rzeszy, a ja nawet nie mam swojego karabinu z lunetą – powiedział z żalem Schaffer. – Ciekaw jestem, czego chce jego wysokość.

– Tego, co my – odparł zwięźle Smith.

– Generała Carnaby?

– Mając zamiar wypytać o Drugi Front głównego alianckiego koordynatora planów nie wysyła na rozmowę zwykłego kaprała straży.

– Nie sądzi pan, że mogli przyjechać, żeby go stąd zabrać? – spytał zaniepokojony Schaffer.

– W żadnym razie. Gestapo nigdy nie wydaje swoich więźniów. W tym kraju Wehrmacht robi, co każe Gestapo.

– Bo co?

– Bo nic. Zmykaj pan... mają tam jeszcze trochę zaparzonej kawy. A za godzinę proszę przysłać kogoś, żeby mnie zmienić.

Prognoza pogody dla tego obszaru, którą podał admirał Rolland, okazała się idealnie trafna. W miarę jak upływały powoli niekończące się, przejmujące dreszczem godziny, pogoda stale się pogarszała. W południe nie było już słońca, a ze wschodu zerwał się przenikliwy wiatr. Wczesnym popołudniem z pociemniałego nieba zaczął sypać śnieg, początkowo łagodnie, później ze wzrastającą gwałtownością, w miarę jak wschodni wiatr przybierał na sile i stawał się zjadliwie mroźny. Smith pomyślał, że na noc szykuje się zła pogoda. Ale niepogodna noc, z widocznością prawie równą zeru, zatrzymująca ludzi w domach, była tym, czego potrzebowali. W ciepłym świetle księżyca w pełni trudno by im było odbyć przechadzkę na Schloss Adler. Smith sprawdził godzinę.

– Pora ruszać. – Wstał sztywno i zaczął zabijać rękami, żeby pobudzić krążenie. – Wezwijcie Thomasa.

Zarzucono na ramiona plecaki i torby z ekwipunkiem. Trzymający właśnie straż Thomas, który zjawił się z lunetą Smitha w ręku, był bardzo daleki od zwykłego pogodnego nastroju. Jego zły humor brał się jednak nie tylko stąd, że ostatnią godziną spędził wystawiony na frontalny atak wiatru i śniegu.

– Czy to przeklęte radio już działa? – spytał Smitha.

– Beznadziejna sprawa. Sześć prób, sześć niepowodzeń. A o co chodzi?

– Powiem panu – odrzekł Thomas z goryczą. – Szkoda, że nie mogliśmy skłonić admirała do zmiany zdania na temat spadochroniarzy. Właśnie przyjechał pociąg nabity wojskiem, to wszystko.

– O, to świetnie – powiedział spokojnie Smith. – Starzy pomyślą, że jesteśmy nowi, a nowi, że jesteśmy starzy. Szalenie dogodne.

Thomas spojrział w zamyśleniu na Smitha.

– Szalenie, szalenie dogodne. – Zawahał się, a potem dodał: – A może byśmy trochę odpuścili, majorze?

– Co pan przez to rozumie?

– Dość tego – wtrącił szorstko Carraciola. – Wie pan cholernie dobrze, co on przez to rozumie. Chodzi o nasze życie. Dlaczego musimy schodzić do tej przeklętej wsi? I jak pan zamierza wydostać Carnaby'ego? Jeżeli mamy popełnić samobójstwo, proszę powiedzieć nam dlaczego. Tyle jest nam pan winien.

– Nic wam nie jestem winien – odparł głucho Smith. – Nic wam nie powiem. Jak nic nie będziecie wiedzieć, to nic nie powiecie. Usłyszycie w swoim czasie.

– Jest pan zimny drań – powiedział dobitnie Torrance-Smythe.

– Nie pan pierwszy mi to mówi – odrzekł Smith obojętnym tonem.

Stacja we wsi była mała, dwutorowa i kończyła tę linię. Podobnie jak wszystkie końcowe stacyjki cechowały ją rdza, zniszczenie, ubóstwo funkcjonalne konstrukcji oraz dziwny pesymistyczny nastrój oczekiwania, aż ktoś przyjdzie i porządnie ją wykończy. O każdej porze dnia i nocy ziała pustką. Tej nocy, w porywistym wietrze miotającym śniegiem wśród plam światła rzucanego przez przyćmione, kołyszące się lampy elektryczne, całkiem opustoszała stacyjka sprawiała upiorne i wręcz przytłaczające wrażenie miejsca zapomnianego przez ludzi i cały świat. To jednak idealnie sprzyjało zamiarom Smitha.

Powiódł szybko swoich pięciu ludzi ubranych w stroje maskujące przez tory do zabudowań stacji, które dawały jaką taką osłonę. Jeden za drugim przeszli w milczeniu obok zamkniętego kiosku z książkami, bagażowni, kasy biletowej, pośpiesznie przemknęli w mrok za budynkami i zatrzymali się.

Smith zdjął z ramienia radio, strząsnął plecak, ściągnął skafander i spodnie maskujące i przespacerował się niedbałym krokiem wzdłuż torów – oszczędni Bawarczycy uważali perony za zbytek. Przed drzwiami znajdującymi się obok okienka, nad którym widniał napis GEPACK ANNAHME, zatrzymał się i spróbował je otworzyć. Były zamknięte na klucz. Szybko zbadał wzrokiem teren, sprawdzając, czy nikt go nie obserwuje, pochylił się, obejrzał dziurkę od klucza w świetle latarki-paluszka, wyciągnął z kieszeni pęk kluczy o dziwnym kształcie i w ciągu paru sekund uporał się z otwarciem drzwi. Gwizdnął cicho i prawie natychmiast przyłączyli się do niego wszyscy pozostali, którzy jeden za drugim wchodzili do środka, już po drodze zrzucając z ramion plecaki. Zamykający pochód Schaffer zatrzymał się i zerknął na tabliczkę nad okienkiem.

– Mój Boże! – Potrząsnął głową. – Przechowalnia bagażu!

– A gdzie indziej? – spytał logicznie Smith. Wpuścił Schaffera do środka i zamknął drzwi na klucz. Oslaniając latarkę, tak żeby wychodzący z niej promień światła nie był szerszy niż palec, przeszedł obok półek na bagaże i dotarł do przeciwległego końca pomieszczenia, gdzie znajdowało się wykuszowe okno. Było to zwykłe okno z dwoma przesuwanymi pionowo skrzydłami. Smith obejrzał je szczegółowo, pilnując, żeby punkcik światła ani razu nie dotknął szyby i nie wydostał się na zewnątrz, na ulicę. Jego uwagę przyciągnęły pionowo biegnące drewniane listwy z boku okna. Wyjął finkę i podważył jedną z nich odsłaniając kawałek dwużyłowego przewodu przymocowanego pionowo do

ściany. Rozszczepił żyły, przeciął je po kolei, umieścił listwę na swoim miejscu i sprawdził dolne skrzydło okna. Poruszało się swobodnie w górę i w dół.

– Ciekawy zabieg – zauważył Schaffer. – Po co to wszystko?

– Nie zawsze jest wygodnie wchodzić frontowymi drzwiami. Zresztą, nawiasem mówiąc, również nimi wychodzić.

– Młodość stracona na flirtach i włamaniach – powiedział Schaffer ze smutkiem. – Skąd pan wiedział, że tam jest przewód alarmowy?

– Od czasu do czasu nawet na małej wiejskiej stacyjce znajdują się w przechowalni bagażu cenne przedmioty – cierpliwie wyjaśniał Smith. – Ale nie znajdzie się tu etatowego specjalnego pracownika. Bo ten pracownik – kasjer, kontroler zbierający bilety przy wyjściu, bagażowy i zawiadowca stacji to prawdopodobnie jedna i ta sama osoba. Więc przechowalnię zamyka się na klucz. A nie miałyby sensu barykadowanie frontowych drzwi, gdyby złodziej mógł się dostać do środka przez okno od tyłu. Więc to okno kratuje się albo zabezpiecza przewodem. Nie ma krat – jest źle dopasowana listwa. To oczywiste.

– Oczywiście może dla pana – odezwał się kwaśno Carraciola. – Cała ta... hm... biegłość w posługiwaniu się wytrychami i alarmami przeciwwłamaniowymi. Mówi pan, że służył pan w Black Watch?

– Owszem.

– Bardzo dziwnie szkolą w tych szkockich pułkach. Doprawdy bardzo dziwnie.

– „Gruntownie”, to jest chyba słowo, którego pan szuka – podsunął grzecznie Smith. – Chodźmy się czegoś napić.

– O tak, chodźmy – powiedział Carraciola twardym głosem. – I niech mi pan przypomni, żebym wypił wszystko jednym haustem, bo inaczej – stawiam dziesięć do jednego – nie pożyję, żeby dopić do końca.

– Byłoby wstyd marnować dobre piwo – zgodził się Smith. Odczekał, aż wszyscy wyjdą, zamknął za sobą drzwi na klucz i dogonił ich, kiedy wychodzili ze stacji przez główną bramę z napisem „Bahnhof”. Byli już bez plecaków i nie mieli na sobie ubiorów maskujących. Wszyscy byli ubrani w mundury żołnierzy Jägerbatalionu; Smith w mundur majora, Schaffer porucznika, a pozostałych czterech było sierżantami. Mundury te nie były już tak nieskazitelnie wyprasowane, jak należało sobie życzyć, ani też – co stwierdził sierżant Harrod – nie leżały tak dobrze, jak powinny. Jednakże wieczorem na wiejskiej ulicy czy w zatłoczonym szynku mogły jakoś ująć. Przynajmniej tę głęboką nadzieję żywił Smith. Ulica była typową główną ulicą w typowej wiosce w wysokich Alpach. Budynki ciągnące się po obu jej stronach były solidne, mocne, kwadratowe i wyglądały tak, jakby przez długi czas stawały czoło surowym bawarskim zimom i zamierzały to robić jeszcze równie długo. Prawie wszystkie domy były w stylu drewnianych domków szwajcarskich,

o wielkich rozłożystych okapach i z balkonami biegnącymi przez całą szerokość frontowych ścian. Kilka z nich miało dość nowoczesną konstrukcję: ściany kryte gontem, duże okna o podwójnych szybach i fantazyjnie wykute w żelazie kraty. Przeważnie jednak domy były stare i niskie, zbudowane z grubo ciosanych bali, z zazębającymi się belkami wystającymi na narożnikach.

Lamp ulicznych nie było, ale wcale nie dbano o zaciemnienie. Podłużne prostokąty światła padającego przez nie zasłonięte okna znaczyły wzorami zawaloną śniegiem ulicę. Ponad jej przeciwległym, południowym, krańcem widoczne sporadycznie poprzez zasłonę sypiącego śniegu skupisko świateł zdawało się zawieszony na niebie. Prawie odruchowo Smith przystanął, żeby się przyjrzeć tej odległej konstelacji, a jego ludzie zatrzymali się wraz z nim. Światła Schloss Adler, Orlego Zamku, wydawały się nieprawdopodobnie dalekie, równie niedostępne jak góry na księżycu. Przez długą, wypełnioną ciszą chwilę mężczyźni przyglądali im się bez słowa, potem wymienili spojrzenia i za ogólną milczącą zgodą znów ruszyli przed siebie. Buty chrzęściły na ubitym śniegu, a zamknięte oddechy kłębiły się na mroźnym wieczornym wietrze.

Główna i jedyna ulica była wyludniona i całkiem bez życia. Przy tak złej pogodzie wydawało się to nieuniknione. Jeśli jednak ulica była wyludniona, to wieś wprost przeciwnie: śmiechy, śpiewy, gwar głosów wypełniały wieczorne powietrze, a rząd ciężarówek zaparkowanych gęściego po jednej stronie ulicy nieomylnie wskazywał, skąd pochodziły. Dla szkoleniowych oddziałów z koszar nad Blau See w promieniu dwudziestu paru kilometrów istniało tylko jedno miejsce rozrywki, a była nim właśnie ta wieś. *Gasthauser* i *Weinstuben* wypełnione były po brzegi strzelcami alpejskimi, żołnierzami najlepiej w Europie wyszkolonych oddziałów bojowych.

– Właściwie to nie chce mi się pić, szefie – powiedział żałośnie Schaffer.

– Bzdura – odparł Smith z zachętą w głosie. – Po prostu onieśmiela pana myśl o spotkaniu z obcymi. – Zatrzymał się przed gospodą, nad której drzwiami widniał napis „*Drei Könige*”. – Wygląda obiecująco – powiedział. – Zaczekajcie chwilę.

Wszedł po schodach, otworzył drzwi i zajrzał do środka. Czekająca na ulicy piątka wymieniła spojrzenia, w których bez wyjątku odbijała się ta sama mieszanina przerażenia i oczekiwania. Przez otwarte drzwi gospody wylewała się austriacka muzyka ludowa *Schrammel*, natrętnie przywołująca nostalgiczne wspomnienia lepszych i szczęśliwszych czasów. Twarze mężczyzn nie zmieniły wyrazu. Muzyka ta miała swoje miejsce i czas, lecz nie tu i nie teraz.

Smith potrząsnął głową, zamknął drzwi i dołączył do reszty.

– Nabite – powiedział. – Nie ma nawet gdzie stanąć. – Skinął głową w stronę drugiej gospody, „*Eichhof*”, mieszczącej się po przeciwnej stronie ulicy w przysadzistej,

odpychającej budowli o ociosanych narożnych belkach i wyglądzie zdradzającym daleko posunięty rozkład. – Spójrzmy, co tutaj mają do zaoferowania.

Lecz „*Eichhof*” nie miał nic do zaoferowania. Z żalem, lecz stanowczo Smith zamknął frontowe drzwi gospody i odwrócił się.

– Zapchane – oznajmił. – A zresztą to spelunka dla niższych klas, niegodna oficerów i podoficerów Wehrmachtu. Nie uważacie, że następny lokal wygląda bardziej obiecująco?

Sądząc ze znaczącego milczenia, pozostała piątka wcale tak nie uważała, gdyż w rzeczywistości, pomijając rozmiary, trzecia z kolei *Weinstube* dziwnie przypominała te, z których przed chwilą Smith zrezygnował. Nazywała się „*Zum Wilden Hirsch*” i ponad tym napisem tkwił wyrzeźbiony w drzewie obsypany śniegiem jeleni.

Smith wspiął się po sześciu stopniach do frontowych drzwi. Kiedy je otworzył, skrzywił się, bo strumień dźwięków uderzył w niego niemal fizycznie atakując bębni uszu. Bez wątpienia dwie poprzednie *Weinstuben* były dość zgiełkliwe, lecz w porównaniu z tą wydawały się z perspektywy czasu wypełnione katedralną ciszą. Przy grzmiącej baterii nie zharmonizowanej harmonii mężczyźni, którzy, po natężeniu dźwięku sądząc, stanowili pułk w komplecie, dawali z siebie wszystko, śpiewając „Lili Marlene”. Smith spojrzał na swoich ludzi, skinął głową i wszedł do środka.

Kiedy ruszyli za nim, Schaffer zatrzymał się w drzwiach, bo Christiansen ujął go za ramię i spytał z niedowierzaniem:

– Sądysz, że on myśli, że ta nie jest nabita?

– Tamte knajpy były widocznie tak nabite, że trzeszczały w szwach – uznał Schaffer.

Gospoda „*Zum Wilden Hirsch*” wprawdzie nie trzeszczała w szwach, ale byłoby tak z całą pewnością, gdyby kołyszący się w takt muzyki tłum przepychających się łokciami gości przyjął pozycję poziomą zamiast pionowej. Smith pomyślał, że pierwszy raz widzi tyle ludzi w jednym barze. Musiało ich być co najmniej cztery setki. Obsłużenie tej liczby gości wymagało pomieszczenia niezwyklej rozmiarów, a taka była owa sala – doprawdy ogromna, a także bardzo, bardzo stara.

Sękata sosnowa podłoga zapadała się, ściany się ugiwały, a masywne, pociemniałe od dymu belki pod powałą groziły w każdej chwili zawaleniem. Na środku sali stał wielki czarny piec na drewno, w którym palono z taką zapamiętałością, że żeliwna płyta żarzyła się ciemnoczerwono. Tuż spod płyty wychodziły i rozbiegały się do góry w przeciwną stronę końca pomieszczenia dwie sześciometrowe rury o grubości piętnastu centymetrów; była to prymitywna, lecz wyjątkowo wydajna forma centralnego ogrzewania. Pod trzema ścianami stały rzędem trójboczne kozetki – półkabiny wykonane z dębu, który pociemniał od starości, dymu i kontaktów z setkami ludzi; każdą z nich zaopatrzone w niszę, do której chowano gazety nawinięte na drewniane drażki. Na sali rozstawionych było około dwudziestu stołów, których ręcznie ciosane drewniane blaty miały co najmniej siedem centymetrów grubości, i do kompletu krzesła. W głębi większość miejsca zajmował masywny dębowy szynkwas, na którym z boku stał ekspres do kawy. Za nim znajdowały się wahadłowe drzwi, prowadzące prawdopodobnie do kuchni. Skąpe oświetlenie sali pochodziło z podwieszonych pod sufitem grubo obrośniętych sadzą lamp naftowych. Nad każdą z nich widniał już od pokoleń krąg szerniałego, zwęglonego drewna.

Smith przeniósł uwagę z sali na znajdujących się w niej gości.

Skład klienteli był taki, jakiego można było oczekiwać po wiosce w wysokich Alpach, która ma za sąsiada obóz wojskowy. Jeden z rogów zajmowała grupa tubylców, mężczyzn o nieruchomych, pociągłych, ogorzałych twarzach i orlich rysach. Byli to bez wątpienia ludzie gór – wielu z nich miało na sobie misternie wyszywane skórzane kurtki i tyrolskie kapelusze. Mówili mało i pili spokojnie, podobnie jak inna niewielka grupa w głębi sali składająca się z kilkunastu cywilów o nieokreślonym wyglądzie, wyraźnie nie miejscowych, którzy popijali oszczędnie z małych szklanek do wódki. Jednakże dziewięćdziesiąt procent gości stanowili niemieccy strzelcy alpejscy. Niektórzy z nich siedzieli, większość stała, jednakże wszyscy śpiewali ile tchu w piersiach „Lili Marlene” i niemal wszyscy wymachiwali w powietrzu litrowymi *Steinbecherami* zaopatrzonymi w cynowe pokrywki, w owej chwili – łzawego nostalgicznego romantyzmu niepomni faktu, że ilość piwa lądującego na podłodze i mundurach towarzyszy równała się

umiarkowanie gwałtownej ulewie.

Miejsce za szynkwasm zajmował bezsprzecznie właściciel lokalu, gargantuiczny, ważący chyba ze sto trzydzieści kilo typ, o obojętnym, przypominającym księżyc w pełni obliczu, oraz kilka dziewcząt zajętych ustawianiem na tacach *Steinbecherów*. Kilka innych krążyło po sali zbierając lub podając kufle. Jedna z nich, zmierzająca w stronę Smitha, wpadła mu w oko.

Dziwne byłoby, gdyby stało się inaczej. Dziwne byłoby, gdyby nie zwracała na siebie uwagi wszystkich obecnych mężczyzn. Nie było jednak okazji do zdziwienia, bo przyciągała wzrok całej sali. Wygrałaby bez wysiłku każdy konkurs piękności na miss Europy, gdyby miała twarz inną niż własna, która choć pełna i przyjemna, była raczej pospolita. Jednakże wszelki brak powabu na tym radośnie uśmiechniętym liczku był wynagrodzony bardziej niż z nawiązką wszędzie indziej. Ubrana w suto marszczoną spódnicę w wesołe wzory i tyrolską bluzkę, miała talię, którą dałoby się objąć dłońmi, figurę jak półtorej klepsydry i widoczną słabość do głęboko wciętych dekoltów, co jako wabik na miejscowych klientów musiało stanowić majątek dla gigantycznego właściciela z szynkwasu. Ściągała na siebie uwagę zgromadzonego wojska, a obdarowywano ją nie tylko pełnymi podziwu spojrzeniami. Smith pomyślał, że jeśli nie nosi pancerza, to musi stale chodzić w sińcach. Zbliżając się do niego uśmiechnęła się i odgarnęła jasne włosy, a gest ten był równie prowokujący, co uśmiech.

– Czym mogę panu służyć?

– Poproszę ciemne piwo – odparł grzecznie Smith. – Sześć razy.

– Z przyjemnością. – Posłała mu jeszcze jeden prowokujący uśmiech, któremu tym razem towarzyszyło na wpół taksujące, na wpół tęskne spojrzenie bławatkowych oczu, po czym odwróciła się i odeszła, jeśli jej sposób poruszania się można było rzeczywiście nazwać chodzeniem. Schaffer gapił się na nią lekko oszołomiony, a potem chwycił Smitha za ramię.

– Teraz już wiem, dlaczego opuściłem Montanę, szefie. – Głos Schaffera miał w sobie coś z oszołomienia malującego się na jego twarzy. – Okazuje się, że wcale nie z powodu koni.

– Będzie pan łaskaw skupić się na robocie, poruczniku. – Smith powiódł za dziewczyną zamyślnym spojrzeniem, potarł podbródek i powiedział wolno: – Kelnerki zwykle więcej wiedzą, co się dzieje na ich podwórku, niż szef policji, a ta wygląda na taką, która wie jeszcze więcej. Tak, spróbuję.

– Co? – spytał podejrzliwie Schaffer.

– Spróbuję się do niej zbliżyć.

– Ja pierwszy ją zobaczyłem – powiedział Schaffer płacząco.

– Może pan z nią zatańczyć najbliższy taniec – obiecał Smith. Niefrasobliwym słowom przeczył jednak chłodny i czujny wyraz twarzy, z jakim bez przerwy lustrował salę. – Kiedy dostaniecie piwo, zacznijcie krążyć po gospodzie. Może uda wam się usłyszeć jakąś wzmiankę o Carnabym albo o marszałku Rosemeyerze.

Spostrzegłszy przy narożnym stole wolne krzesło, usiadł i skinął grzecznie głową kapitanowi strzelców, spoglądającemu nieco mętным wzrokiem i pochłoniętemu rozmową z dwoma porucznikami, których traktował raczej protekcyjnie. Kapitan tylko przez krótką chwilę dał poznać, że zauważył jego obecność, o ile zaś Smith mógł stwierdzić, nikt poza nim nie zwrócił najmniejszej uwagi na niego i towarzyszy. Zespół akordeonistów skończył właśnie grać na mniej więcej jednej nucie i w tej samej chwili „Lili Marlene” ucichło. Kilka dobrych sekund trwała głęboka i nostalgiczna cisza: czterystu mężczyzn stało sam na sam z Lili Marlene pod latarnią przy wejściu do koszar, a potem jak na komendę sala wybuchła zgiełkiem głosów. Czterystu mężczyzn z nie dopitymi litrowymi kufkami niezbyt długo trwa w sentymentalnym nastroju.

Smith dojrzał, że dziewczyna przepychając się przez tłum i odpierając wprawna ręką ataki wielbicieli wraca z sześcioma *Steinbecherami* na tacy. Kiedy podała kufle, jego podkomendni natychmiast, choć bez ostentacji, rozdzielili się i rozeszli w różne strony sali. Dziewczyna rozejrzała się dookoła, zauważyła Smitha, uśmiechnęła się promiennie, podeszła do stołu i postawiła na nim piwo. Zanim zdążyła się wyprostować, Smith otoczył ją ramieniem i posadził sobie na kolanach. Po drugiej stronie stołu kapitan strzelców przerwał rozmowę, spojrzął na Smitha z pełną zdumienia dezaprobatą, otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, lecz napotykając jego niechętnie spojrzenie postanowił pilnować własnego nosa i podjął konwersację. Smith odwrócił się, ścisnął dziewczynę w pasie, poklepał ją po kolanie i uśmiechnął się – jak mniemał – zwycięsko.

– Jak też ty możesz mieć na imię, moja alpejska różo? – Pytanie zabrzmiało nieco obraźliwie.

– Heidi – odparła usiłując wstać, choć tak naprawdę nie wkładała w to całego serca. – Proszę, majorze. Mam swoje zajęcia.

– Nie ma ważniejszego zajęcia, niż zabawianie żołnierzy ojczyzny – powiedział głośno Smith. Trzymając Heidi mocno, żeby zapobiec wszelkim próbom ucieczki, pociągnął zdrowo z kufła i trzymając go na wysokości twarzy mówił dalej, lecz tym razem cicho: – Zaśpiewać ci piosenkę?

– Jaką piosenkę? – spytała ostrożnie. – Za dużo słyszę tu śpiewów.

– Lepiej gwizdę, niż śpiewam. Posłuchaj. – Bardzo cicho zagwizdał pierwsze dwa takty „Lorelei”. – Podoba ci się?

Heidi zeszywniała i wytrzeszczyła na niego oczy, ale natychmiast odprężyła się

i uśmiechnęła kokieteryjnie.

– To bardzo ładne, majorze. I jestem pewna, że śpiewa pan równie pięknie...

Smith odstawił kufel z podejrzanym stukiem, co ponownie wywołało oznaki dezaprobaty po drugiej stronie stołu, i podniósł dłoń, żeby otrzeć pianę z ust. Heidi uśmiechnęła się do niego, lecz w jej ostrożnych oczach nie było uśmiechu.

– Ci mężczyźni koło barku – odezwał się Smith spoza dłoni. – To cywile? Tylko się nie oglądaj.

– Gestapo. – Uczyniła jeszcze jedną pozorną próbę uwolnienia się. – Z zamku.

– Jeden umie czytać z ruchu warg. – Przed twarzą Smitha znów znalazł się *Steinbecher*. – Widzę to. Obserwują. W twoim pokoju za pięć minut. Uderz mnie porządnie, mocno.

Heidi spojrzała na niego zdumiona, a potem krzyknęła z bólu, gdy ją uszczypnął, i to wcale niedelikatnie. Cofnęła się, prawą ręką zamasyście zatoczyła koło i w całej zatłoczonej sali wśród głośnego szumu rozmów wyraźnie dał się słyszeć odgłos policzka. Gwar ucichł, kufle zatrzymały się w pół drogi do ust, a wszystkie oczy obróciły się i znieruchomiały patrząc tam, gdzie zakłócono porządek. Na Smithie spoczywała teraz wyłączna i niepodzielna uwaga blisko czterystu niemieckich żołnierzy, co dokładnie odpowiadało jego życzeniom. Nikt, kto za wszelką cenę pragnął uniknąć zainteresowania, nie zrobiłby nic, co naraziłoby go choćby w najmniejszym stopniu na ściągnięcie na siebie równie niepożądaną uwagę.

Heidi wstała rozcierając delikatnie obolałe miejsce, złapała banknot, który Smith wcześniej położył na stole, i odeszła dumnym i wyniosłym krokiem. Smith, z twarzą poczerwieniałą już ze zmieszania i ściągniętą gniewem, wstał chcąc odejść, ale kiedy znalazł się naprzeciw kapitana strzelców, który podniósł się przed chwilą ze swojego miejsca po drugiej stronie stołu, zatrzymał się. Był to schludny, wyprostowany młokos, bardzo w typie Hitlerjugend, drobiazgowo poprawny, lecz w tej chwili pod wpływem zbyt wielu wypitych *Steinbecherów*. Ukryty w zaczerwienionych i zamglonych oczach błysk zdradzał nierzadkie połączenie zarozumiałości i obłudy.

– Pańskie zachowanie nie przystoi oficerowi Wehrmachtu – powiedział głośno.

Smith nie odpowiedział od razu. Gniew i zmieszanie zniknęły już z jego twarzy ustępując przenikliwemu, pozbawionemu wyrazu spojrzeniu. Wpatrywał się bez zmrżenia powiek w oczy kapitana tak długo, że ten wreszcie odwrócił wzrok. Kiedy się odezwał, przemówił tak cicho, że nie słyszano go nawet przy sąsiednim stole.

– Do mnie należy się zwracać „*Herr Major*”, człowieczku. – Ton jego głosu był lodowaty i takie same były w tej chwili jego oczy. – Major Bernd Himmler. Słyszałeś może o mnie?

Urwał znacząco, a młody kapitan jak gdyby skurczył się pod jego spojrzeniem. Himmler, szef Gestapo, był postrachem Niemiec. Smith mógł być którymś z jego krewnych, może nawet synem.

– Zamelduj się u mnie jutro rano – rozkazał zwięźle Smith i odwrócił się nie czekając na odpowiedź.

Kapitan strzelców, nagle całkowicie trzeźwy, skinął głową bez słowa i znużonym ruchem opadł na krzesło. Kiedy Smith szedł ku drzwiom, znów słychać było gwar rozmów. Dla żołnierzy stacjonujących w tej odległej wojskowej placówce picie piwa, i to w bardzo dużych ilościach, było jedyną rozrywką, a o takich incydentach jak ten zapominano natychmiast.

Po drodze do drzwi Smith zatrzymał się na krótko przy Schafferze i powiedział:

– Cóż, tym razem schrzaniłem sprawę.

– Mógł pan to inaczej rozegrać – przyznał Schaffer, a potem podjął z zaciekawieniem:

– Co pan mu powiedział? No, temu młodemu kapitanowi strzelców?

– Dałem mu do zrozumienia, że jestem synem Himmlera.

– Szefa Gestapo? – spytał z niedowierzaniem Schaffer. – Boże Świąty, ależ pan ryzykował.

– Nie stać mnie na ryzyko – odpowiedział tajemniczo Smith. – Pójdę spróbować w „*Eichhofie*”, może tam będę miał więcej szczęścia. Wracam za dziesięć minut. Nawet wcześniej.

Pozostawił Schaffera patrzącego niepewnie za nim, nagłym przeczącym ruchem ręki odprowadził zbliżającego się Carraciolę i wyszedł na zewnątrz. Zrobiwszy kilka kroków po drewnianym chodniku zatrzymał się i szybko obrzucił wzrokiem zasypaną śniegiem ulicę. Była pusta. Skręcił i ruszył szybko w głąb wąskiego przejścia, biegnącego równolegle do bocznej ściany „*Zum Wilden Hirsch*”. Na tyłach gospody stała mała drewniana szopa. Smith ponownie sprawdził, czy nie jest obserwowany, i po cichu otworzył drzwi.

– Ósma – powiedział w ciemność. – Wychodź.

Dał się słyszeć szelest ubrania i w drzwiach pojawiła się Mary. Wstrząsały nią gwałtowne dreszcze, a twarz miała siną z zimna. Spojrzała pytająco na Smitha, lecz on ujął ją pod ramię bez słowa i szybko poprowadził do tylnych drzwi gospody. Znaleźli się w niewielkim przedsionku słabo oświetlonym lampą naftową, minęli go, wspięli się po schodach na górę, poszli jakimś korytarzem i zatrzymali się przed drugimi z kolei drzwiami na prawo. Prędko wsunęli się do środka i Smith zamknął za sobą drzwi.

Był to niewielki, skromnie umeblowany pokój, sądząc po perkalowych zasłonach i przyborach toaletowych na toaletce bez wątplenia należący do kobiety. Mary usiadła na łóżku, objęła się mocno ramionami usiłując trochę się ogrzać, i spojrzała na Smitha, ale na

jej twarzy wcale nie było podziwu.

– Mam nadzieję, że świetnie się bawisz grając swoją gierkę – powiedziała z goryczą. – Wygląda, że doskonale się orientujesz gdzie i co?

– Instynkt – wyjaśnił Smith. Pochylił się nad niskim płomieniem lampy naftowej stojącej obok łóżka, podkreślił go, obejrzał pobieżnie pokój, w jednym z rogów odnalazł wzrokiem zniszczoną skórzaną walizkę, rzucił ją na łóżko i z trzaskiem otworzył. Zawierała kobiecą garderobę. Postawił Mary na nogi i powiedział: – Nie trać czasu. Zdejmij z siebie ubranie. Mam na myśli całe ubranie. Do ostatniej nitki. Potem przebierz się w ten ekstra strój. Znajdziesz wszystko, co trzeba.

Mary wytrzeszczyła oczy.

– W to ubranie? Dlaczego, do licha, muszę...

– Nie sprzeczasz się. Raz, dwa.

– Tak, raz, dwa – powiedziała z rezygnacją. – Mógłbyś się przynajmniej odwrócić.

– Nie przejmuj się – odparł Smith zmęczonym głosem. – Mam inne rzeczy na głowie. – Podeszedł do okna i zerkając przez szparę w perkalowych zasłonach mówił dalej: – Raz, dwa, pośpiesz się. Za dwadzieścia minut przyjeżdża autobus ze Steingaden, z którego rzekomo wysiądziesz. Będziesz niosła tę walizkę, zawiera resztę twoich ubrań. Nazywasz się Maria Schenk, pochodzisz z Düsseldorfu, jesteś kuzynką kelnerki, która tu pracuje, właśnie chorowałaś na gruźlicę, byłaś zmuszona rzucić pracę w fabryce i jechać w góry po zdrowie. Przez tę kelnerkę dostałaś tę nową pracę w Schloss Adler. Masz też dokumenty tożsamości, zezwolenie na podróż, referencje i listy w odpowiednio ostemplowanych kopertach, żeby to wszystko udowodnić. Są w torebce, która jest w walizce. Wszystko zapamiętałaś?

– Chyba... chyba tak – odparła niepewnie. – Ale gdybyś tylko powiedział mi...

– Na miłość boską! – zniecierpliwiał się Smith. – Nie ma czasu, dziewczyno! Zapamiętałaś czy nie?

– Maria Schenk, Düsseldorf, fabryka, gruźlica, kuzynka tutaj, Steingaden... tak, pamiętam. – Przerwała, żeby wciągnąć przez głowę niebieską wełnianą sukienkę zrobioną na drutach. Obciągnęła ją i stwierdziła ze zdziwieniem: – Pasuje jak ulał! Myślałby kto, że zrobiono ją dla mnie!

– Zrobiono ją dla ciebie. – Smith odwrócił się, żeby dokonać oględzin. – 90 na 65 na 90 czy ile tam. Wła... hmm... włamaliśmy się do twojego mieszkania i pożyczaliśmy sukienkę na wzór. Solidność – to my.

– Włamaliście się do mojego mieszkania? – spytała powoli.

– No... owszem, nie chciałabyś przecież wyglądać jak prosto z targowiska ze starzyzną – tłumaczył Smith. Obrzucił ją aprobującym spojrzeniem. – Dobrze ci w niej.

– Chciałabym, żeby i tobie było dobrze – powiedziała z przejęciem. W jej oczach malowało się zakłopotanie i kompletna dezorientacja. – Przecież... przecież trzeba było tygodni na przygotowanie tych ubrań i tych papierów!

– A jakże – przyznał Smith. – Nasza sekcja fałszowania dokumentów specjalnie się do nich przyłożyła. Musieli, żeby cię wprowadzić do jaskini lwa.

– Tygodni – powiedziała Mary z niedowierzaniem. – Całych tygodni! A przecież samolot generała Carnaby'ego rozbił się dopiero wczoraj rano! – Wpatrywała się w Smitha, a na jej twarzy pojawiały się kolejno rozterka, oskarżenie i wreszcie wielki gniew. – Wiedziałaś, że się rozbije!

– Trafiłaś za pierwszym razem, kruszynko – rzekł radośnie Smith. Poklepał ją serdecznie. – Samiśmy to spreparowali.

– Nie rób tego – warknęła, a potem z twarzą nadal gniewnie ściągniętą spytała: – Czy samolot naprawdę się rozbił?

– Za to ręczę. Rozbił się lądując na głównym lotnisku bawarskiej górskiej służby ratowniczej. To miejsce nazywa się Oberhausen i leży około pięciu mil stąd. Nawiasem mówiąc, będziemy stamtąd odlatywać.

– Będziemy stamtąd... – Urwała, przez dłuższą chwilę wpatrując się w niego, a potem potrząsnęła głową niemal z rozpaczą.

Ale... przecież w samolocie podsłuchałam, jak mówiłeś ludziom, że jeżeli misja się nie powiedzie albo będziecie musieli się rozłączyć, to macie wszyscy spotkać się we Frauenfeld, za granicą szwajcarską.

– Naprawdę tak usłyszałaś? – W głosie Smitha brzmiało lekkie zainteresowanie. – Musiałem coś pokręcić. W każdym razie ten Mosquito wylądował na lotnisku w Oberhausen podziurawiony kulami z karabinu maszynowego. Kulami z brytyjskiego karabinu maszynowego, ale, do diabła, co tam, dziury to dziury.

– Zaryzykowałibyscie życie amerykańskiego generała... i wszystkie plany Drugiego Frontu...

– No, owszem, dlatego właśnie tak się śpieszę, żeby dostać się do Schloss Adler. – Smith chrząknął. – Nie żeby zdążyć, zanim wydobędą z niego generalskie tajemnice, ale zanim odkryją, że nie jest amerykańskim generałem i że na temat Drugiego Frontu wie nie więcej niż ja o drugiej stronie księżyca.

– Co!? Jest podstawiony?

– Nazywa się Jones – potaknął Smith. – Cartwright Jones. Amerykański aktor. Jest raczej drugorzędnym sługą Melpomeny, za to jota w jotę przypomina Carnaby'ego.

W oczach, które zwróciła na niego, mignęło przerażenie.

– Zaryzykowałibyscie życie niewinnego...

– Dużo za to dostaje – przerwał jej Smith. – Dwadzieścia pięć tysięcy dolarów za jeden występ. Szczyt jego zawodowej kariery.

Rozległo się ciche dwukrotne pukanie do drzwi. Szybki, płynny ruch ręki – i nagle w dłoni Smitha pojawił się pistolet, automatyczny mauser, odbezpieczony i gotowy do strzału. Drugi szybki ruch i Smith bezszelestnie znalazł się przy drzwiach, otwierając je szarpnięciem na oścież. Weszła Heidi. Smith schował broń i zamknął za nią drzwi.

– No, kuzyneczki, bardzo proszę – oznajmił. – Mary, odtąd Maria, i Heidi. Ja wychodzę.

– Wychodzisz! – powiedziała oszołomiona Mary. – Ale... ale co ja mam robić?

– Heidi ci powie.

– Heidi? – Mary spojrzała niepewnie na drugą dziewczynę.

– Heidi. Nasz najlepszy tajny agent w Bawarii od tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego.

– Nasz... najlepszy... – Mary potrząsnęła głową. – Nie wierzę!

– Nikt by nie uwierzył. – Smith obrzucił obfite uroki Heidi pełnym podziwu spojrzeniem. – To jest dopiero przebranie?

Smith ostrożnie otworzył tylne drzwi gospody, szybko wysunął się na zewnątrz i znieruchomiał wśród niemal całkowitych ciemności czekając, aż oczy przywykną mu do zmiany oświetlenia. Pomyślał, że śnieg pada gęściej niż wtedy, kiedy wchodzili do „Zum Wilden Hirsch”, i że wiatr wzmógł się niewątpliwie. Mróz był ostry.

Przekonawszy się, że nikt go nie obserwuje, skrzył w lewo, przeszedł dwa kroki i stłumił okrzyk, gdy potknąwszy się o jakiś niewidoczny przedmiot upadł jak długi w śnieg. Na wszelki wypadek, w razie gdyby stał tam ktoś z nożem lub rewolwerem w morderczych celach, przeturlał się trzykrotnie, a potem zerwał się na nogi z kocia zwinnością, z mauserem w jednej ręce i latarką w drugiej. Zapalił ją i obrócił się dookoła własnej osi. Był sam.

To znaczy byłby sam, gdyby nie skulona postać, o którą się potknął – sierżant strzelców alpejskich, leżący z twarzą w śniegu nieruchomo, dziwnie spokojny w nieładzie śmierci.

Smith pochylił się i odwrócił ciało odsłaniając wielką czerwoną plamę na śniegu tam, gdzie przed chwilą leżało. Latarka zatrzymała się przelotnie na przodzie bluzy, rozciętej i przesyconej krwią, po czym jej światło przesunęło się na twarz. Po żadnych kruźgankach nie będzie już chodził ten dziekan, przemknęła Smithowi myśl w irracjonalnej pustce, nie będzie już pił herbaty z miodem, a wszystko to wyłącznie moja wina, widzę to w jego twarzy. Przymglone już i niewidzące oczy Torrance-Smythe'a wpatrywały się w niego

z niemyym wyrzutem.

Podniósł się z twarzą ściągniętą i bez wyrazu i światłem latarki spenetrował teren. Nie było tu śladów walki, ale musiała się ona odbyć, bo przy bluzie zabitego brakło kilku guzików i kołnierz był rozerwany. Smithy nie poddał się łatwo. Z latarką w ręku Smith przeszedł wolno do wylotu wąskiego pasażu i zatrzymał się. Gmatwanina śladów, ciemne plamy krwi w udeptanym śniegu, ciemne łaty na drewnianych ośnieżonych ścianach gospody, tam gdzie ciężko zatoczyli się walczący – oto gdzie stoczono walkę. Smith zgasił latarkę, ukrył ją wraz z pistoletem w zanadrzu i wyszedł na ulicę. Naprzeciw „*Zum Wilden Hirsch*”, skąd znów buchały odgłosy śpiewów, przed pocztą, znajdowała się jasno oświetlona budka telefoniczna. Stała w niej, rozmawiając z ożywieniem przez telefon, jakaś umundurowana postać, żołnierz, którego Smith nie znał. Na ulicy nie było jednak żywej duszy.

Schaffer, wcielenie absolutnego, beztroskiego spokoju, stał oparty niedbale o szynkwas. Zdradzała go tylko twarz. Była ponura i wstrząśnięta, a on sam rozgniatał gwałtownie w palcach papierosa.

– Smithy!?! – Schaffer mówił cichym, chrapliwym szeptem. – Niemożliwe! Jest pan pewien, szefie?

– Jestem pewien. – Twarz Smitha była nadal ściągnięta i bez wyrazu, jak gdyby wyzuta z wszelkich uczuć. – Twierdzi pan, że wyszedł w pośpiechu w trzy minuty po mnie. Więc nie mnie śledził. Kto jeszcze wychodził?

– Nie mam pojęcia. – Schaffer przełamał na pół papierosa i upuścił go na podłogę. – Pełno tu ludzi. I jest jeszcze jedno wyjście. Nie mogę w to uwierzyć! Dlaczego Smithy? Dlaczego Torrance-Smythe? Przecież był z nas najsprytniejszy.

– Dlatego właśnie nie żyje – odparł ponuro Smith. – A teraz niech pan słucha uważnie. Czas, żeby pan wiedział, co jest grane.

Schaffer obrzucił go przeciągłym spojrzeniem i powiedział:

– Czas, i to najwyższy.

Smith zaczął mówić bardzo cicho, płynną i barwną niemczyzną, pilnując się, żeby stać plecami do gestapowców okupujących drugi koniec szynkwasu. Po paru minutach zobaczył Heidi wracającą na salę przez drzwi za szynkwasem, ale zignorował ją tak samo, jak ona jego. Niemal natychmiast potem zgiełk rozmów stopniowo przycichł i zapadła prawie całkowita cisza; zamilkł więc i on podążając za spojrzeniami setek żołnierzy patrzących jak jeden mąż w kierunku drzwi.

Przyszło mu na myśl, że żołnierze niemal zupełnie odcięci od kobiet mieli powód, żeby zamilknąć, i to wyjątkowo dobry. W drzwiach, z głową owiniętą w szalik, ubrana

w ściągnięty paskiem płaszcz przeciwdeszczowy i z wysłużoną walizką w ręce, stała Mary Ellison. Kobiety są rzadkością w wysokoalpejskiej gospodzie o każdej porze, samotne młode kobiety jeszcze większą rzadkością, a piękne samotne młode kobiety są czymś właściwie nie znanym. Przez kilka chwil Mary stała tak niepewnie, jakby nie wiedziała, jak zostanie powitana albo co powinna zrobić. Potem upuściła bagaż, a jej pojaśniała na widok Heidi twarz rozbłysła radością. Jak Marlena Dietrich w „Błękitnym Aniele”, pomyślał Smith. Z taką twarzą i figurą, z takim talentem aktorskim przyciągnęłaby cały Hollywood, który waliłby do jej progów po wyłożonej złotem dróżce... Mary i Heidi podbiegły do siebie przez milczącą salę i padły sobie w ramiona.

– Kochana Mario! Moja kochana Mario! – Słyszając załamujący się głos Heidi Smith pomyślał, że Hollywood dobrze by zrobił wydeptując dwie złote dróżki. – Więc jednak przyjechałaś!

– Po tylu latach! – Mary objęła dziewczynę i znów ją ucałowała. – To cudowne znów cię widzieć, Heidi! Cudowne, cudowne, cudowne! Oczywiście, że przyjechałam. Jakżeby inaczej?

– Spójrz. – Heidi bynajmniej nie starała się ściszyć głosu i rozglądała się wokół znacząco. – Niezłe dzikusy są w tych stronach. Zawsze powinnaś mieć przy sobie broń. Nazywają siebie Batalionem Łowców. I słusznie, to dobra dla nich nazwa.

Żołnierze ryknęli śmiechem i prawie natychmiast powrócił zwykły gwar. Heidi, idąc ramię w ramię z Mary, poprowadziła ją przez salę do grupki cywilów, którzy stali przy drugim końcu szyn-kwasu. Zatrzymała się przed stojącym w środku grupki ciemnym, żyłastym mężczyzną o inteligentnej twarzy i surowym wyglądzie i przedstawiła ich sobie.

– Mario, to jest kapitan von Brauchitsch. Pracuje... mhm... w Schloss Adler. Kapitanie, moja kuzynka, Maria Schenk.

Von Brauchitsch skłonił się lekko.

– Ma pani szczęście do kuzynek, Heidi. Oczekiwaliśmy pani panno Schenk. – Uśmiechnął się. – Ale nie spodziewaliśmy się kogoś aż tak pięknego.

Mary uśmiechnęła się w odpowiedzi robiąc zaskoczona minę.

– Oczekiwaliście...

– Tak, oczekiwał – powiedziała oschle Heidi. – Sprawą kapitana jest wiedzieć, co się dookoła dzieje.

– Proszę mnie nie przedstawiać w tak złowieszczym świetle, Heidi. Wystraszy pani pannę Schenk. – Spojrzał na zegarek. – Najbliższy wagonik kolejki rusza za dziesięć minut. Gdybym mógł odprowadzić młodą damę...

– Młoda dama pójdzie najpierw do mojego pokoju – oznajmiła stanowczo Heidi. – Żeby się odświeżyć i pokrzepić Kaffee-Schnapsem. Nie widzi pan, że ledwo żyje z zimna?

– Rzeczywiście szczęka zębami – odparł von Brauchitsch z uśmiechem. – Myślałem, że to z mojego powodu. No cóż, wybierzemy się następnym wagonikiem.

– Ja jadę razem z nią – oświadczyła Heidi.

– Obie razem? – Von Brauchitsch potrząsnął głową i znów się uśmiechnął. Von Brauchitsch zawsze się uśmiechał. – Dziś wieczór mam szczęście.

– Zezwolenia, dokumenty podróży, dowody tożsamości i listy masz tutaj – powiedziała Heidi. Z zakamarków tyrolskiej bluzki wydobyła jakieś papiery i wręczyła je Mary, siedzącej naprzeciw niej na łóżku. – Plan zamku i instrukcje. Naucz się porządnie, co masz zadane, i zwróć mi je. Ja je zawiozę na górę. Ciebie mogą rewidować. Ci z zamku to podejrzliwa banda. I wypij tego sznapsa. Pierwsze, co robi von Brauchitsch, to powącha twój oddech. Po prostu żeby sprawdzić. On sprawdza wszystko. Jest najbardziej podejrzliwy spośród nich.

– Zrobił na mnie bardzo miłe wrażenie – powiedziała łagodnie Mary.

– To bardzo niemiły oficer Gestapo – odparła sucho Heidi.

Kiedy Heidi wróciła za szynkwasa, do Smitha i Schaffera przyłączyli się już Carraciola, Thomas i Christiansen. Cała piątka wydawała się beztroska, pijąc i paplając bez związku, ale ich ściszone i niecierpliwie głosy dowodnie świadczyły o gnębiącym ich wszystkich zmartwieniu. Lub gnębiącym niektórych z nich.

– Więc nie widzieliście Smithy’ego? – spytał cicho Smith. – Żaden z was nie widział, jak wychodził? Więc gdzie, do diabła, się podziewa?

Nie było żadnej odpowiedzi, lecz ruch ramion i zmartwione miny mówiły same za siebie.

– Może pójde i poszukam? – odezwał się Christiansen..

– Raczej nie – odrzekł Smith. – Obawiam się, że teraz jest już za późno iść gdziekolwiek.

Właśnie w tej chwili obie pary drzwi „Zum Wilden Hirsch” rozwarły się gwałtownie i przez każde z nich wpadło po sześciu żołnierzy. Wszystkim zwiślały z ramion gotowe do strzału pistolety maszynowe, schmeissery. Rozstawiwszy się pod ścianami, czekali z bronią w pogotowiu i z palcami na spuście, patrząc bardzo spokojnie i bardzo czujnie.

– No, no – mruknął Christiansen. – To sobie powojowaliśmy.

Absolutną ciszę, jaka nagle zapadła, podkreślił raczej niż przerwał odgłos sprężystych kroków na drewnianej podłodze. Do sali wkroczył pułkownik Wehrmachtu i rozejrzał się zimnym wzrokiem. Gargantuiczny właściciel gospody pośpiesznie wybiegł z za szynkwasa, potykając się o krzesła z obawy i strachu, które całkiem wyraźnie malowały się na jego krągłym jak dynia obliczu.

– Pan pułkownik Weissner! – Nie trzeba było mieć wyczulonego ucha, żeby dosłyszeć drzenie w głosie właściciela. – O mój Boże, co też...

– Nic pan tu nie zawinił, *mein Herr*. – Słowa pułkownika podnosiły na duchu, lecz trudno było to powiedzieć o tonie głosu. – Ale udziela pan schronienia wrogom państwa.

– Wrogom państwa!? – W ciągu paru sekund cera właściciela zmieniła kolor z mocno nietwarzowej purpury na jeszcze mniej twarzową wyblakłą szarość, a jego głos drżał teraz jak kamerton nastrojony na wysokie C. – Co? Ja? Ja, Josef Wartmann?

– Proszę. – Pułkownik podniósł dłoń nakazując ciszę. – Poszukujemy czterech albo pięciu strzelców alpejskich, dezertersów z wojskowego więzienia w Stuttgarcie. Uciekając zabili dwóch oficerów i sierżanta straży. Wiadomo, że kierują się w tę stronę.

Smith schylił głowę i szepnął Schafferowi na ucho:

– Bardzo chytrze. O tak, bardzo chytrze.

– A zatem – ciągnął żywo Weissner – jeżeli są tutaj, to wkrótce ich dostaniemy. Niech wystąpią starsi oficerowie oddziałów trzynastego, czternastego i piętnastego. – Odczekał, aż wystąpiło dwóch majorów i kapitan i stanęło przed nim na baczność. – Znacie z widzenia wszystkich swoich oficerów i żołnierzy?

Trzej oficerowie skinęli głowami.

– Dobrze. Chciałbym, żebyście...

– To zbyteczne, panie pułkowniku. – Zza szynkwasu wyszła Heidi i stanęła przed Weissnerem z szacunkiem trzymając ręce splecione za plecami. – Znam człowieka, którego poszukujecie. Prowodyra.

– Aaa! – uśmiechnął się pułkownik Weissner. – Urocza...

– Heidi, panie pułkowniku. Usługiwałam panu przy stole w Schloss Adler.

– Tak jakby można było zapomnieć. – Weissner skłonił się wytwornie.

– To tamten. – Z twarzą pałającą sprawiedliwym oburzeniem i głębokim poczuciem obowiązku Heidi oskarżycielskim palcem dramatycznie wskazała Smitha. – To właśnie on, panie pułkowniku. On... on mnie uszczypnął!

– Moja droga Heidi! – rzekł z pobłażliwym uśmiechem Weissner. – Gdybyśmy mieli skazywać każdego, kto nosi się z myślami o...

– Nie chodzi o to, panie pułkowniku. Spytał mnie, co wiem albo co słyszałam o człowieku zwanym generałem Cannabee... chyba tak.

– Generał Carnaby! – Pułkownik Weissner już się nie uśmiechał. Spojrzał na Smitha, dał znak żołnierzom, żeby go otoczyli, a potem przeniósł wzrok na Heidi. – Co mu pani powiedziała?

– Panie pułkowniku! – Heidi aż zeszywniała w poczuciu obrażonej godności. – Jestem dobrą Niemką. Poza tym cenię sobie swoje zajęcia w Schloss Adler. – Wykonała półobrót

i wskazała przez salę. – Kapitan von Brauchitsch z Gestapo może za mnie poręczyć.

– Nie trzeba. Nie zapomnimy ci tego, moje drogie dziecko. – Poklepał ją serdecznie po policzku i obrócił się do Smitha. Temperatura jego głosu opadła z ciepłej poniżej zera. – Pańscy współpracownicy, i to natychmiast.

– Natychmiast, drogi pułkowniku? – Spojrzenie, którym Smith obrzucił Heidi, było równie lodowate jak głos Weissnera. – Wykluczone. Ustalmy najpierw pierwszeństwo. Najpierw dla niej trzydzieści srebrników. Potem my.

– Mówi pan jak głupiec – stwierdził z pogardą pułkownik Weissner. – Heidi jest prawdziwą patriotką.

– Jestem o tym przekonany – rzekł z goryczą Smith.

W ciemnym pokoju Heidi Mary z twarzą nieruchomą i wstrząśniętą patrzyła w dół przez szparę w zasłonach, jak Smitha i czterech pozostałych wyprowadzono przez frontowe drzwi „*Zum Wilden Hirsch*” i jak pomaszzerowali pod silną strażą ulicą, gdzie po przeciwnej stronie stało zaparkowanych kilka wojskowych, aut. Sprawnie i bezceremonialnie wepchnięto ich do dwóch samochodów, zapalono silniki i przed upływem minuty oba auta znikły jej z oczu za zakrętem. Jeszcze przez prawie minutę tkwiła przy oknie patrząc niewidzącymi oczami w wirujący śnieg, po czym zsunęła zasłony i zwróciła się twarzą do ciemnego pokoju.

– Jak to się stało? – zapytała szeptem.

Zaskrzypiała potarta zapałka i Heidi zapaliła naftową lampę, podkręcając płomień.

– Nie potrafię odgadnąć. – Wzruszyła ramionami. – Ktoś, nie wiem kto, musiał donieść pułkownikowi Weissnerowi. Ale to ja wskazałam go palcem.

Mary wytrzeszczyła oczy.

– Ty... ty...

– I tak by go wykryto w ciągu następnej minuty. Byli obcy. Ale to umacnia naszą pozycję. Ja i ty jesteśmy teraz poza wszelkimi podejrzeniami.

– Poza podejrzeniami! – Mary spojrzała, na nią z niedowierzaniem i niemal z furią dodała: – Ależ teraz nie ma sensu pchać się dalej!

– Czyżby? – spytała zamyślona Heidi. – Jakoś bardziej mi żal pułkownika Weissnera niż majora Smitha. Czy nasz major nie kipi pomysłami? Albo czy nasi mocodawcy w Whitehallu okłamują nas? Kiedy oznajmili mi, że tu przyjeżdża, kazali mi się nie martwić i bezgranicznie mu ufać. To człowiek o niewyczerpanej pomysłowości – dokładnie tak brzmiały ich słowa – potrafiący znaleźć wyjście z krańcowo trudnych sytuacji. Śmiesznym językiem mówią ci z Whitehallu. Ale ja już mu ufam. A ty nie?

Nie było odpowiedzi. Mary wbiła w podłogę oczy błyszczące od łez. Heidi dotknęła jej

ramienia.

– Aż tak bardzo go kochasz? – spytała cicho.

Mary skinęła głową w milczeniu.

– A on ciebie też?

– Nie wiem. Po prostu nie wiem. Za długo siedzi w tej robocie... nawet gdyby wiedział – rzekła z goryczą – prawdopodobnie sam by mi tego nie powiedział.

Heidi przyglądała jej się przez chwilę i potrząsnawszy głową powiedziała:

– W ogóle nie powinni byli cię tu przysyłać. Jak możesz liczyć na... – Urwała, znów potrząsnęła głową i ciągnęła: – Teraz jest już za późno. Chodź. Nie możemy kazać czekać von Brauchitschowi.

– A jeżeli on nie przyjdzie? Jeżeli... jeżeli nie będzie mógł uciec... a zresztą w jaki sposób może uciec? – Zrozpaczonym gestem wskazała papiery leżące na łóżku. – Pierwsze, co zrobią jutro rano, to na pewno sprawdzą w Düsseldorfie te sfalszowane referencje.

– Ciebie, Mary, on nie zawiedzie – powiedziała Heidi spokojnym tonem.

– Nie. Chyba nie – odparła Mary smutno.

Duży czarny wojskowy mercedes sunął po zawalonej śniegiem drodze biegnącej wzdłuż Blau See. Wycieraczki ledwo dawały sobie radę z gęstym, wirującym śniegiem, który pędził przez strumienie światła silnych reflektorów i szarzał w zderzeniu z przednią szybą. Był to drogi i bardzo wygodny samochód, ale zarówno siedzącemu z przodu Schafferowi, jak i Smithowi na tylnym siedzeniu nie było wygodnie – pod żadnym względem, ani psychicznym, ani fizycznym. Po pierwsze, mieli przed sobą smutną i nieodwołalną perspektywę plutonu egzekucyjnego i świadomość, że ich misja kończy się, zanim się jeszcze na dobre zaczęła. Po drugie, byli ściśnięci na siedzeniach – Schaffer pomiędzy kierowcą i strażnikiem, a Smith pomiędzy strażnikiem i pułkownikiem Weissnerem; odczuwali przy tym dotkliwy ból mając pod żebrami lufy schmeisserów, które przypominały im o obecności tamtych.

Smith oszacował, że są teraz w połowie drogi pomiędzy wsią a koszarami. Jeszcze trzydzieści sekund, a przejadą przez bramę. Trzydzieści sekund, nie więcej.

– Zatrzymać wóz! – rozkazał. Jego głos był zimny, nie znoszący sprzeciwu i miał w sobie dziwną nutę groźby. – Natychmiast, słyszycie? Muszę się zastanowić.

Zaskoczony pułkownik Weissner obrócił się i spojrzał na Smitha, ale ten go zignorował. Z trudem powściągany gniew, zmarszczone w intensywnym skupieniu brwi i ściągnięte usta – była to twarz człowieka, dla którego niewykonanie jego lakonicznego rozkazu było nie do pomyślenia. To z pewnością nie mógł być ktoś idący do niewoli i na

śmierć. Weissner zawahał się, lecz tylko przez ułamek sekundy. Wydał rozkaz i wielkie auto zaczęło zwalniać.

– Ty bałwanie! Ty skończony idioto! – Drżący głos Smitha był pełen gniewu i tak cichy, że mógł go słyszeć tylko Weissner. – Prawie na pewno wszystko zaprzepaciłeś i, na Boga, jeżeli tak jest, Weissner, jutro zostaniesz bez pułku!

Samochód zjechał na pobocze i zatrzymał się. W przodzie czerwone tylne światła wyprzedzającego ich wojskowego wozu znikły w zaśniewanej ciemności. Weissner przemówił szorstko, choć z ledwo dosłyszalnym niepokojem w głosie:

– O czym pan, do diabła, mówi?

– Wiedział pan o amerykańskim generale Carnabym? – Twarz Smitha, z odsłoniętymi w gniewie zębami i zwężonymi oczami, znajdowała się najwyżej piętnaście centymetrów od twarzy Weissnera. – Skąd?! – Niemal wypluł to słowo.

– Jadłem wczoraj obiad w Schloss Adler. Ja...

Smith spojrział na niego z całkowitym niedowierzaniem.

– Czy to pułkownik Paul Kramer panu powiedział? Rzeczywiście rozmawiał o nim z panem? – Weissner potaknął bez słowa. – Szef sztabu admirała Canarisa! I teraz wiedzą wszyscy. Boże, ale polecą za to głowy! – Przycisnął skraj dłoni do oczu, po czym zmęczonym ruchem opuścił ręce na kolana, wpatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem i bardzo wolno potrząsnął głową. – Tego już za wiele, nawet dla mnie. – Wyciągnął swoją przepustkę i wręczył Weissnerowi, który obejrzał ją w drżącym świetle nie dość mocno trzymanej latarki. – Szybko do koszar. Muszę natychmiast połączyć się z Berlinem. Mój wuj będzie wiedział, co robić.

– Pański wuj? – Zdawało się, że tylko wielkim wysiłkiem woli Weissner oderwał wzrok od przepustki; jego głos nie był pewniejszy niż światło latarki. – Heinrich Himmler?

– A co pan myśli? – warknął Smith. – Myszka Miki? – Zniżył głos do cichego pomruku. – Wierzę, że nigdy nie dostąpi pan zaszczytu poznania go, pułkownikowi Weissner. – Łaskawie obdarzył Weissnera długim i dociekliwym spojrzeniem, osobliwie pozbawionym jakiegokolwiek zachęty, a potem odwrócił się i wcale nie lekko szturchnął w plecy kierowcę. – Do koszar, byle szybko!

Cokolwiek by powiedział, kierowcy wystarczyło, że mówi to siostrzeniec Heinricha Himmlera, szefa Gestapo. Samochód ruszył.

– Wyjmij mi spod zebra ten przeklęty pistolet – zwrócił się Smith do siedzącego obok strażnika.

Ze złością wyrwał mu pistolet maszynowy. Strażnik, który również słyszał o Himmlerze, potulnie oddał broń. W następnej sekundzie związał się bezradnie w paroksyzmie mdłości, ponieważ kolba schmeissera miażdżyła mu żołądek, a w kolejnej

pułkownik Weissner był już przyszpilony do okna swojego mercedesa, z lufą wbijającą mu się w prawe ucho.

– Jeżeli twoi ludzie się poruszają, zginiesz – oznajmił Smith.

– W porządku – rozległ się z przedniego siedzenia spokojny głos Schaffera. – Mam ich broń.

– Zatrzymać wóz – rozkazał Smith.

Samochód stanął. Przez przednią szybę Smith mógł dostrzec światła wartowni koszar, do której pozostało nie więcej niż dwieście metrów. Dźgnął Weissnera lufą pistoletu.

– Wychodzić!

Twarz Weissnera zmieniła się w maskę upokorzenia i wściekłości, ale był zbyt doświadczonym żołnierzem, żeby się przez moment wahać. Wysiadł.

– Trzy kroki od samochodu – rozkazał Smith. – Twarzą w śnieg. Ręce splecione na karku. Schaffer, celuj w swojego strażnika. Ty wysiadaj i obok pułkownika – dodał, trzymając lufę na szyi kierowcy.

Dwadzieścia sekund później, z Schafferem za kierownicą, byli już w drodze; trzech Niemców zostało z twarzami w śniegu, a czwarty, były strażnik Smitha, wciąż jeszcze zwijał się z bólu na poboczu drogi.

– Chwalebny wyczyn, młody Himmlerze – rzekł Schaffer z aprobatą.

– Drugi raz już mi się nie uda – stwierdził trzeźwo Smith. – Jadąc przez koszary nie spiesz się za bardzo. Nie chcielibyśmy przecież, żeby któryś z wartowników coś sobie pomyślał.

Utrzymując prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę przejechali przez bramę główną, potem dodatkową, nie wywołując, o ile Smith mógł spostrzec, żadnych komentarzy.

Mała trójkątna chorągiewka powiewająca tuż za trójramienną gwiazdą na chłodnicy samochodu, osobisty porządek komendanta obozu, pozwalała spokojnie założyć, że przyjazdów i wyjazdów pułkownika Weissnera nikt nie sprawdza.

Przez niespełna kilometr za bramą droga prowadziła w prostej linii na północ, mając po lewej stronie pionową trzydziestometrową ścianę skalną opadającą w wody Blau See, a po prawej pasmo sosen, najwyższej pięćdziesięciometrowej szerokości, które opierało się o jeszcze jedno pionowe urwisko skalne, szybujące wzwyż i ginące wśród śniegu i ciemności.

Na końcu tej blisko kilometrowej prostej droga ostrym łukiem zakręcała w prawo, podążając za głębokim wycięciem w linii brzegowej Blau See. Był to niebezpieczny zakręt, oznaczony białym płotem, w zwykłych nocnych warunkach wystarczająco widocznym, ale w tej chwili ledwie dostrzegalnym na tle krajobrazu spowitego śniegiem. Za zakrętem

Schaffer przyhamował. Przez twarz przemknął mu wyraz zastanowienia, po czym jeszcze mocniej nacisnął pedał hamulca i zerknął na Smitha.

– Świetna myśl – powiedział Smith, rewanżując się pochwałą. – Jeszcze zrobimy z ciebie agenta.

Kiedy mercedes się zatrzymał, zebrał schmeissery i pistolety odebrane Weissnerowi i jego żołnierzom i wysiadł. Schaffer opuścił okienko przy siedzeniu kierowcy, zwolnił ręczny hamulec, włączył bieg i wyskoczył, gdy samochód ruszył. Z początku szedł z ręką wetkniętą przez okno auta, a potem, kiedy nabierało szybkości, biegł obok z dłonią na kierownicy. Na sześć metrów przed krawędzią urwiska po raz ostatni skorygował kierownicę, otworzył gaz do oporu i odskoczył od przyspieszającego samochodu. Drewniany płotek nie miał żadnych szans. Z trzaskiem rozłupywanego drzewa, ledwo słyszalnym wśród ryku silnika pracującego na najwyższych obrotach pierwszego biegu, mercedes przejechał przez barierkę, jak gdyby była z tektury, wyleciał ponad krawędzią urwiska i znikł.

Smith i Schaffer podeszli do miejsca zabezpieczonego resztką rozbitego płotu i spojrzeli w dół akurat na czas, by zobaczyć, jak odwrócony kołami do góry i z ciągle jeszcze świecącymi reflektorami przebija powierzchnię jeziora z dziwnie głuchym odgłosem wybuchu, przypominającym odległy huk dział. Słup wody i przedziwnie fosforyzującego pyłu wodnego sięgnął połowy urwiska. Kiedy opadł, dzięki podwodnej poświacie mogli od razu ustalić położenie tonącego samochodu: jego reflektory nadal się paliły. Smith i Schaffer wymienili spojrzenia. Smith zdjął w zamyśleniu spiczastą czapkę i rzucił ją tak, że poszybowała w przepaść. Silny porywisty wiatr cisnął nią o skalną ścianę, ale potoczyła się niżej, aż wylądowała denkiem do góry wśród nadal wypływających na powierzchnię bąbelków, mieniących się tęczo w świetle, które było już bardzo głęboko. A potem światło zgasło.

– Co to kogo obchodzi. – Schaffer wyprostował się znad płotu i wzruszył ramionami. – Nie był nasz. I co, z powrotem do wsi?

– Nigdy w życiu – rzekł z naciskiem Smith. – Możesz to rozumieć dosłownie. Idziemy w przeciwną stronę.

Ściskając w dłoniach świeżo zdobytą broń pobiegli zakretem w tym samym kierunku, w którym jechali samochodem. Nie przebiegli nawet sześćdziesięciu metrów, kiedy usłyszeli warkot silników i ujrzeli, jak kołyszące się snopy światła oświetlają roztrzaskany płot. W parę sekund później Smitha i Schaffera nie było już na drodze, skryci w sosnach wolno cofali się w stronę wozu dowódczego i dwóch pancernych samochodów, które właśnie zatrzymały się przed rozłupaną barierką.

– To koniec, panie pułkowniku. – Sierżant strzelców alpejskich z zarzuconym na ramię

pistoletem ostrożnie wyglądał znad krawędzi urwiska. – Za szybko jechał, za późno zobaczył płot... albo go wcale nie zobaczył. W tym miejscu Blau See ma ponad sto metrów głębokości. Już ich nie ma.

– Może nie ma, a może są. Za nic w świecie nie ufałbym tym typom. – Głos pułkownika Weissnera rozlegał się wyraźnie i brzmiał gorzko. – Mogli upozorować wypadek i pójść z powrotem. Wyślijcie jedną grupę ludzi prosto w te sosny, aż do samej skały. W pięciometrowych odstępach. Niech wezmą latarki. Potem drugą grupę pięćset metrów w stronę obozu, samochodem. Wy pojedziecie z nimi, sierżancie. Również mają się rozstawić aż do skały. Niech się spotkają. I śpieszyć się.

Ukryty za sosnowym pnem Schaffer spojrział w zamyśleniu na Smitha.

– Masz u mnie plus, szefie. Dobrze, że nie zawróciliśmy od razu do wsi. Diabelnie chytra z niego sztuka, co?

– Jak w takim razie nazwiesz mnie? – mruknął Smith.

– Dobra, masz drugi plus.

Upłynęło pięć minut. Przez, zbity gąszcz sosnowych gałęzi przedostawało się stosunkowo niewiele śniegu i co jakiś czas obaj widzieli wyraźnie błyski latarek, w miarę jak znajdująca się bliżej nich linia żołnierzy odsuwała się na południe w poszukiwaniu dwóch zbiegów, kierując światła za pnie i powalone przez wiatr drzewa. Pułkownik Weissner z głową pochyloną, jakby był zatopiony w myślach, przechadzał się powoli tam i z powrotem obok swojego wozu, od czasu do czasu sprawdzając godzinę. Smith widział, jak podchodzi do ocalałej części płotu, zatrzymuje się i spogląda w dół ku powierzchni Blau See.

Stopniowo do ich uszu dobiegał daleki dźwięk stłumionych głosów i w przeciągu minuty w świetle reflektorów samochodu dowódcy pojawił się sierżant, który podszedł do pułkownika Weissnera i zaszalutował.

– Najmniejszego śladu, panie pułkowniku.

Weissner wyprostował się i odwrócił.

– Nie mogło być – rzekł ponuro. – Właśnie zobaczyłem, że po wodzie pływa czapka. Nędzny koniec spotkał tych dzielnych ludzi, sierżancie. Nędzny koniec.

Wagonik kolejki wysunął się powoli z dolnej stacji rozpoczynając długą wspinaczkę do zamku. Niewykonalny wjazd, pomyślała Mary, niewykonalny i niebezpieczny. Wyglądając przez okno rozróżniła wśród rzadko syjącego śniegu zarys pierwszego słupa. Drugi i trzeci słup były niewidoczne, lecz przeświecająca chwilami wiązka światła, zawieszona niewiarygodnie wysoko na niebie, wyraźnie wskazywała cel ich podróży. Innym już to się udawało, pomyślała tępo, więc pewnie i nam się uda. Czuła się jednak tak, jakby grunt usuwał jej się spod nóg – nie dbała specjalnie, czy jej się uda, czy nie.

Przeznaczony dla dwunastu pasażerów wagonik pomalowany był z zewnątrz jaskrawoczerwoną farbą i jasno oświetlony w środku. Nie było w nim siedzeń, tylko poręcze biegnące wzdłuż dwóch ścian. Ich niezbędność wyszła na jaw bezzwłocznie i w niepokojąco oczywisty sposób. Bardzo silny teraz wiatr rozkołysał wagonik w kilka sekund po opuszczeniu przez niego schronienia dolnej stacji.

Oprócz dwóch żołnierzy i jakiegoś rzekomego cywila jedynymi pasażerami byli von Brauchitsch, Mary i Heidi, ubrana teraz w papachę i gruby wełniany płaszcz narzucony na zwykłe ubranie. Von Brauchitsch trzymając się jedną ręką poręczy, drugą obejmował Mary. Uścisnął ją pokrzepiająco i uśmiechnął się.

– Przestraszona? – zapytał.

– Nie – odparła zgodnie z prawdą, była bowiem zbyt zobojętniała, żeby się bać. Ale nawet nie mając najmniejszej nadziei musiała pamiętać, jaki jest jej zawód. – Nie, nie jestem przestraszona. Jestem przerażona! Jest mi niedobrze. Czy... czy ta lina się czasem zrywa?

– Nigdy. – Von Brauchitsch był wcieleniem otuchy. – Proszę się tylko trzymać mnie, a wszystko będzie dobrze.

– Kiedyś tak mówił do mnie – rzekła zimno Heidi.

– Fräulein, jestem nieprzeciętnie utalentowany, ale nie udało mi się jeszcze zdobyć trzeciej ręki – wyjaśnił cierpliwie von Brauchitsch. – Goście mają pierwszeństwo.

Schaffer, z papierosem osłoniętym dłonią, oparty o podstawę słupa telefonicznego, spoglądał w skupieniu przed siebie. Były powody i dla ukrywania papierosa, i dla zamyślanej miny. O niecałe sto metrów od siebie, na skraju pasa sosen graniczącego z drogą biegnącą wzdłuż brzegów jeziora, w jasnym świetle umieszczonych wysoko lamp widział strażników kręcących się zwawo w pobliżu bramy koszar. Za nimi widać było zamazane kontury baraków.

Schaffer zmienił pozycję i spojrzał w górę. Śnieg już prawie nie padał, księżyc groził

wyściem zza chmur, tak że nie miał najmniejszych trudności z dostrzeżeniem postaci Smitha, który siedział okrakiem na najniższej poprzecznej belce słupa.

Pracował tam pilnie za pomocą specjalnie zaprojektowanego komandoskiego noża, mającego obok innych nadzwyczajnych zalet szczypce do cięcia drutu, z których ostrożnie i metodycznie robił właśnie użytek. Osiem kolejnych cięć i osiem kolejnych drutów opadło na ziemię. Smith zamknął nóż, wsunął go do kieszeni, wyswobodził nogi z poprzeczki, objął rękami słup, zsunął się na ziemię i wyszczerzył w uśmiechu zęby.

– Każdy drobiazg ma swoje znaczenie – powiedział.

– Na jakiś czas powinno to ich zatrzymać – przyznał Schaffer.

Ponownie zebrali broń i ruszyli na wschód, znikając w graniczącym z tyłami koszar sosnowym lesie.

Wagonik kołysał się coraz bardziej zatrważająco. Rozpoczął właśnie ostatni, prawie pionowy odcinek podróży. Mary, której ramiona ciągle otaczała ręka von Brauchitscha, przyciskała twarz do przedniej szyby spoglądając w górę na wyniosłe, białe jak sypiący śnieg blanki i myśląc, że sięgają niemal samych chmur. Gdy tak patrzyła, skłębione chmury rozstały się i cały baśniowy zamek stanął skąpany w jasnym księżycowym świetle. W jej oczach pojawił się lęk, zwilżyła wargi i mimowolnie zadrżała. Nic nie umknęło czujnej spostrzegawczości von Brauchitscha. Znowu, chyba po raz dwudziesty w ciągu tej krótkiej podróży, uściskał jej ramiona uspokajającym gestem.

– Proszę się nie bać, Fräulein. Wszystko będzie dobrze.

– Mam nadzieję. – Jej głos był cieniem szeptu.

To samo niespodziewane wyłonienie się księżycaomal nie zdradziło Smitha i Schaffera. Przeszli właśnie przez tory kolejowe i sunęli ukradkiem w kierunku przechowalni bagażu. Ale nie wyszli jeszcze z cienia wystającego dachu stacji. Wcisnęli się więc w głąb tego cienia i spojrzeli wzdłuż torów i ponad hydrauliczne odboje wyznaczające koniec torowiska. Wyraźnie widzieli dwa zarysowane jaskrawo, niby w pełnym świetle dziennym, odcinające się czerwienią od bieli wagoniki – jeden zbliżał się do dolnej stacji, drugi pokonywał ostatnie metry pionowego odcinka, jaki dzielił go od górnej stacji – a ponad nim oślepiający kontur Schloss Adler połyskujący pod jasnym księżycem.

– To nam sprzyja – powiedział gorzko Schaffer. – To nam bardzo sprzyja.

– Na niebie jest jeszcze dużo chmur – odparł łagodnie Smith. Schylił się do dziurki od klucza w drzwiach przechowalni bagażu, otworzył je wytrychem i wszedł do środka. Schaffer podążył za nim zamykając drzwi.

Smith odnalazł plecaki, uciął ze zwoju kawał liny i obwiązawszy się nią w pasie, zaczął upychać do płóciennej torby ręczne granaty i materiały wybuchowe. Słyszając nieśmiało chrząknięcie Schaffera, podniósł głowę.

– Szefie? – Towarzyszyło temu pełne obawy spojrzenie w okno.

– Mhm?

– Szefie, czy przyszło ci na myśl, że pułkownik Weissner pewnie już wie o naszej kryjówce? Chodzi o to, że wkrótce możemy mieć gości.

– Pewnie, że tak – przyznał Smith. – Dziwne, gdyby było inaczej. Dlatego właśnie odciąłem ten kawałek liny z dużego zwoju i zabieram granaty i plastik tylko z naszych plecaków. Zwój jest bardzo duży, a nikt nie wie, co jest w naszych pakunkach. Więc nie sposób stwierdzić, że czegoś brak.

– Ale radio...

– Jeżeli będziemy nadawali stąd, mogą nas przyłapać. A jeżeli zabierzemy je i stwierdzą, że zniknęło, będą wiedzieli, że samochód na dnie Blau See jest pusty. Czy nie tak?

– Mniej więcej.

– Więc pójdziemy na kompromis. Zabierzemy radio, ale przyniesiemy je z powrotem, po tym jak nadamy z bezpiecznego miejsca.

– Co rozumiesz przez „bezpieczne miejsce”? – spytał Schaffer żałośnie. Jego ciemna, posępna twarz była nieszczęśliwa. – Nie ma takiego w całej Bawarii.

– Jest takie miejsce, niecałe dwadzieścia metrów stąd. Ostatnie, gdzie by zajrzeli. – Rzucił Schafferowi pęk wytrychów. – Byłeś kiedyś w bawarskiej toalecie dla pań?

Schaffer złapał klucze, wytrzeszczył oczy na Smitha, potrząsnął głową i wyszedł. Szybko przeszedł wzdłuż torów, raz po raz pobłyskując latarką, aż wreszcie jej światło spoczęło na drzwiach, nad którymi widniał napis „*Damen*”.

Schaffer przyjrzał mu się, ściągnął wargi, wzruszył ramionami i zajął się zamkiem.

Powoli, z ogromnym, jak się zdawało, wysiłkiem wagonik pokonał ostatnie metry podjazdu i wjechał pod dach górnej stacji w Schloss Adler. Zatrzymał się ze wstrząsem, przednie drzwi otworzyły się i pasażerowie wysiedli. Ze stacji, wbudowanej w północno-zachodnią podstawę zamku, ruszyli w górę stromym siedmioipółmetrowym tunelem, zamkniętym z obu końców potężnymi bramami pilnowanymi przez strażników. Przekroczywszy górną bramę, wyszli na dziedziniec z masywnymi okutymi żelazem wrotami, strzeżonymi przez uzbrojonych po zęby żołnierzy i dobermany. Dziedziniec był jasno oświetlony przez dziesiątki wychodzących na niego nie osłoniętych okien. Na środku stał helikopter, który tego ranka przywiózł do Schloss Adler marszałka Rosemeyera. Przy

silniku pod osłoną z grubego brezentu, chwilowo zbędną, gdyż śnieg przestał padać, pracowała w świetle małej, lecz silnej lampy łukowej jakaś postać w drelichu, chyba pilot.

Mary zwróciła się ku von Brauchitschowi, ciągle trzymającemu jej ramię w zdobywczym uścisku, i uśmiechnęła się smutno.

– Tylu żołnierzy. Tylu mężczyzn... i na pewno bardzo mało kobiet. Co się stanie, jeżeli zechcę uciec przed rozpasanym żołdactwem?

– To proste. – Mary pomyślała tępo, że von Brauchitsch naprawdę uśmiecha się niezwykle czarująco. – Skok przez okno sypialni, sto metrów w dół i proszę bardzo: jest pani wolna!

Damska toaleta na stacji kolejowej miała charakter nieokreślony. Na jej przygnębiające wyposażenie składały się ławy o twardych oparciach, krzesła, sosnowe stoły i zapadająca się drewniana podłoga. Nawet Spartanie kręciliby na nią nosem, ubóstwo zaś dekoracyjnego polotu mogło iść o lepsze tylko z angielskim. W czarnym, emaliowanym piecu tliły się słabo dogasające resztki ognia. Smith siedział przy środkowym stole mając obok siebie radio. Zaglądał do małego notesu w świetle osłoniętej latarki i pisał coś na skrawku papieru. Sprawdził to, co napisał, wyprostował się i wręczył notes Schafferowi.

– Spal go. Kartka po kartce.

– Kartka po kartce? Wszystko? – Posepna twarz Schaffera wyrażała zaskoczenie. – Nie będziesz już tego potrzebował?

Smith potrząsnął przecząco głową i zaczął kręcić korbką radia.

W sali operacyjnej w Whitehallu płonął o wiele mocniejszy ogień, ogień z sosnowych kłód dziarsko strzelający dorodnymi płomieniami. Lecz dwaj mężczyźni siedzący po obu stronach kominka byli o wiele mniej ożywieni niż dwaj inni, siedzący przy dogasającym żarze pieca w Alpach Bawarskich. Admirał Rolland i pułkownik Wyatt-Turner, szczerze mówiąc, drzemali z zamkniętymi oczami, bliżsi snu niż jawy. Ale rozbudzili się całkowicie i wyprostowali gwałtownie niemal natychmiast po tym, jak z dużego nadajnika w drugim końcu sali, obsługiwanego przez radiotelegrafistę w cywilu, rozległ się długo oczekiwany sygnał wywoławczy. Wymienili spojrzenia i dźwignęli się z głębokich foteli.

– Szabla wzywa Danny Boya. – Głos w odbiorniku był słaby, lecz wyraźny. – Szabla wzywa Danny Boya. Słyszycie mnie? Odbiór.

– Słyszemy cię. Odbiór – przemówił do swojego mikrofonu radiotelegrafista w cywilu.

– Szyfruję. Gotowi? Odbiór.

– Gotowi. Odbiór.

Rolland i Wyatt-Turner stali już przy radiotelegrafistę z oczami utkwionymi

w ołówek, którym zaczął dokonywać natychmiastowej transkrypcji nic nie znaczących zbitek liter napływających przez radio. Szybko odszyfrowany meldunek brzmiał: TORRANCE-SMYTHE ZAMORDOWANY THOMAS CHRISTIANSEN I CARRACIOLA SCHWYTANI.

Oczy Rollanda i Wyatt-Turnera podniosły się, jakby uruchomił je niesłyszalny sygnał, i spotkały. Twarze mieli napięte i ponure. Ich oczy znów zwróciły się na drgający ołówek.

WRÓG PRZEKONANY SCHAFFER I JA ZGINELIŚMY – brzmiał dalej meldunek. – WCHODZIMY PRZED UPŁYWEM GODZINY PROSZĘ O TRANSPORT GOTÓW ZA DZIEWIĘDZIESIĄT MINUT ODBIÓR.

Admirał Rolland odebrał mikrofon radiotelegraficznie.

– Szabla! Szabla! Poznajesz, kto mówi, Szabla?

– Tak jest, poznaję. Odbiór.

– Wycofajcie się, Szabla. Wycofajcie się. Ratujcie siebie. Odbiór.

– Pan... chyba... żartuje. – Słowa wypowiedane były powoli, po każdym następowała przerwa. – Odbiór.

– Słyszałeś? – Rolland mówił prawie tak samo wolno i wyraźnie. – Słyszałeś? To był rozkaz, Szabla.

– Mary jest już w środku. Odbiór, wyłączam się.

Nadajnik zamilkł.

– Już go nie ma, panie admirale – rzekł cicho radiotelegrafista.

– Już go nie ma – powtórzył mechanicznie Rolland. – Mój Boże, już go nie ma.

Pułkownik Wyatt-Turner odszedł i usiadł ciężko w swoim fotelu przy kominku. Jak na tak potężnego i krzepkiego mężczyznę, wydawał się dziwnie stłamszony i skurczony. Kiedy admirał Rolland opadł na sąsiedni fotel, pułkownik tępo podniósł wzrok.

– To wszystko moja wina – powiedział ledwo dosłyszalnie. – Moja wina.

– Nasza wina, pułkowniku. Zrobiliśmy, co musieliśmy zrobić. Pomysł był mój. – Admirał wpatrywał się w ogień. – A teraz to... na domiar wszystkiego.

– Nasz czarny dzień – przyznał ciężkim głosem Wyatt-Turner. – Nasz najczarniejszy dzień. Może jestem za stary.

– Może wszyscy jesteśmy za starzy. – Prawym palcem wskazującym Rolland zaczął odliczać na palcach lewej ręki. – Kwatera Główna Dowódcy w Portsmouth. Ktoś uruchomił tajny alarm. Nic nie brakuje.

– Nic nie zabrano – przytaknął znużonym głosem Wyatt-Turner.

– Ale kontrolne płytki z emulsją wykazują, że zrobiono fotostatyczne kopie.

– Dwa, Southampton. Brak drugich egzemplarzy planów tras łodzi. Trzy, Plymouth. Mechanizm zegarowy zabezpieczający zamek w Sztapie Marynarki Wojennej nie działa.

Nie wiemy, co to oznacza.

– Możemy się domyślać.

– Możemy się domyślać. Dover. Kopia części planów Mulberry Harbour znikła. Błąd? Niedbalstwo? Nigdy się nie dowiemy. Pięć, zaginiony sierżant, wartownik w sztabie Bradleya. To może coś oznaczać.

– To może oznaczać wszystko. Są tam plany ruchów wszystkich oddziałów na plaży Omaha w Operacji Overlord.

– I wreszcie, siedem dzisiejszych ściśle tajnych raportów. Francja, Belgia, Niderlandy. Cztery bezwzględnie fałszywe, pozostałe trzy nie do sprawdzenia.

Przez długą chwilę panowało przygniatające, pełne poczucia klęski milczenie, które przerwał w końcu Wyatt-Turner.

– Jeśli kiedykolwiek były jakieś wątpliwości, to teraz nie ma żadnych. – Mówił nie podnosząc oczu tępo zapatrzonych w ogień. – Niemcy penetrują nas tu prawie całkowicie, a my ich prawie wcale na kontynencie. I teraz jeszcze to... myślę o Smithie i jego ludziach.

– O Smithie i jego ludziach – powtórzył jak echo Rolland. – Smithie i jego ludziach. Możemy postawić na nich krzyżyk.

Wyatt-Turner ściszył głos i mówił tak cicho, że radiotelegrafista nie mógł go podsłuchać.

– A Operacja Overlord, panie admirale?

– Operacja Overlord – mruknął Rolland. – Tak, na niej też możemy postawić krzyżyk.

– Wywiad jest prawą ręką nowoczesnej wojny – powiedział z goryczą Wyatt-Turner. – A może już ktoś tak kiedyś powiedział?

– Nie ma wywiadu, nie ma wojny. – Admirał Rolland nacisnął guzik telefonu wewnętrznego. – Proszę sprowadzić mój samochód. Jedzie pan, pułkowniku? Na lotnisko?

– I o wiele dalej. Jeżeli otrzymam pańskie zezwolenie.

– Już to omówiliśmy – wzruszył ramionami Rolland. – Rozumiem, co pan czuje. Niech się pan zabija, skoro pan musi.

– Nie mam zamiaru. – Wyatt-Turner podszedł do szafki, wyjął z niej pistolet maszynowy sten, obrócił się do Rollanda i uśmiechnął. – Możemy napotkać nieprzyjaciół, panie admirale.

– Bez wątplenia. – W odpowiedzi na twarzy admirała nie zagościł uśmiech.

– Słyszałeś, co powiedział ten człowiek? – Smith wyłączył nadajnik, złożył antenę i popatrzył na Schaffera. – Możemy się teraz wycofać.

– Wycofać się? Wycofać się teraz!? – Schaffer był wściekły. – Czy nie zdajesz sobie sprawy, że jeżeli to zrobimy, dobiorą się do Mary w ciągu dwunastu godzin? – Zamilkł

znacząco, upewniając się, że Smith słucha go z całą uwagą. – A jeżeli dobiorą się do niej, to w dziesięć minut potem z pewnością dobiorą się do Heidi.

– Daj spokój – zaprotestował Smith. – Widziałeś ją tylko raz, i to przez pięć minut.

– I co z tego? – Schaffer wyglądał zdecydowanie wojowniczo. – Ile razy Parys widział Helenę Trojańską? Ile razy Antoniusz widział Kleopatrze? Ile razy Romeo... – Urwał, po czym dodał wyzywająco: – I nie obchodzi mnie to, czy jest zdrajczynią szpiegującą własny naród.

– Urodziła się i wychowała w Birmingham – powiedział Smith ze znużeniem.

– Co to kogo obchodzi? Nie spasuję przed niczym. Nawet jeżeli to twoja rodaczka. – Umilkł. – Jest Angielką?

– Chodź – powiedział Smith. – Odnieśmy radio. Wkrótce możemy mieć gości.

– Nie wolno nam za bardzo ich dziwić – zgodził się Schaffer.

Odnieśli radio, zamknęli na klucz przechowalnię bagażu i właśnie ruszali w kierunku wyjścia stacji, kiedy zatrzymał ich warkot ciężarówek i zawodzenie syreny. Gdy reflektory oświetliły wjazd na stację, przywarli do ściany. Pierwsza ciężarówka zatrzymała się z poślizgiem nie dalej niż dziesięć metrów od nich.

Schaffer spojrział na Smitha.

– Przeworność, prawda?

– I to jaka. Za kasą biletową.

Obydwaj przemknęli wzdłuż torów i skryli się w głębokim cieniu za kasą biletową. Jakiś sierżant, ten sam, który organizował poszukiwania nad Blau See, wbiegł głównym wejściem wiodąc czterech żołnierzy, odszukał przechowalnię bagażu, szarpnął klamkę, odwrócił pistolet maszynowy i zaczął nim bezskutecznie walić w zamek. Znów odwrócił broń, przestrzelił zamek i wszedł do środka z latarką w ręku. Prawie natychmiast pojawił się z powrotem.

– Powiedz kapitanowi, że nie kłamali. Ekwipunek Anglików jest tutaj! – Jeden z żołnierzy oddalił się, a sierżant zwrócił się do trzech pozostałych: – Dobra. Wyciągnijcie ich rzeczy i załadujcie.

– Oto jak znika ostatnia para moich bawełnianych skarpetek – wymamrotał Schaffer z udręką na widok wnoszonych plecaków. – Nie mówiąc już o szczoteczce do zębów i...

Urwał, bo Smith chwycił go za rękę. Sierżant zatrzymał żołnierza niosącego radio, wziął je od niego, położył na nim dłoń i znieruchomiał. Stał akurat pod jedną z małych wiszących lamp elektrycznych i widać było wyraźnie, jak na jego twarzy odbija się kolejno zakłopotanie, niedowierzanie i wreszcie wstrząs całkowitego zrozumienia.

– Panie kapitanie! – krzyknął. – Panie kapitanie! W bramie wejściowej pojawił się biegnący oficer.

– Radio, panie kapitanie! Jest ciepło, bardzo ciepło! Używano go najdalej przed pięcioma minutami.

– Przed pięcioma minutami? Niemożliwe! – Oficer utkwiał wzrok w sierżancie. – Chyba że...

– Tak, panie kapitanie. Chyba że oni żyją.

– Otoczyć stację – krzyknął oficer. – Przeszukać wszystkie pomieszczenia.

– O Boże! – jęknął Schaffer. – Dlaczego nie mogą zostawić nas w spokoju?

– Szybko – powiedział cicho Smith. Chwycił Schaffera pod ramię i ruszyli poprzez głębokie cienie, aż dotarli do damskiej toalety. Ostrożnie, żeby nie brzęknąć wytrychami, w ciągu paru sekund Smith uporał się z drzwiami. Weszli do środka zamykając je za sobą na klucz.

– Nie będzie to najlepiej wyglądało w moim nekrologu – rzekł Schaffer ze smutkiem. W od niechcenia wypowiedzianych słowach wyczuwało się napięcie.

– Co?

– „Oddał życie za ojczyznę w damskim szalecie w górnej Bawarii”. Jak może człowiek „odpoczywać w pokoju” śpiąc na wieki z taką myślą?... Co tam mówi nasz przyjaciel za drzwiami?

– Jeżeli się zamkniesz, to może usłyszemy.

– Kiedy mówię wszędzie, to znaczy wszędzie! – Niemiecki kapitan wyszczebiwał rozkazy według najlepszych defiladowych wzorów. – Zamknięte drzwi, wyłamać! Nie można wyłamać, przestrzelić zamek! A jeśli nie chcecie zginąć w ciągu najbliższych pięciu minut, pamiętajcie cały czas: są gwałtowni i ogromnie niebezpieczni, prawie na pewno uzbrojeni w skradzione schmeissery, a do tego we własną broń. Nie próbujcie nawet ich łapać. Na ich widok strzelajcie, i to celnie!

– Słyszałeś? – spytał Smith.

– Niestety, tak. – Wyraźny trzask obwieścił, że Schaffer odbezpieczył pistolet.

Stali ramię w ramię wśród ciemności przysłuchując się odgłosom poszukiwań, wołaniom, uderzeniom kolb w drzewo, trzeszczeniu ustępujących drzwi i rzadkim krótkotrwałym wybuchom ognia z broni maszynowej, prawdopodobnie wtedy, gdy jakieś drzwi opierały się bardziej konwencjonalnym metodom perswazji. Odgłosy poszukiwań były już bardzo blisko.

– Ciepłej, ciepłej – wymamrotał Schaffer, ale nie docenił wysokości temperatury.

Akurat kiedy skończył mówić, niewidzialna dłoń pochwyciła klamkę z drugiej strony drzwi i wściekle nimi załomotała. Smith i Schaffer przesunęli się bezgłośnie i zajmwszy miejsce po obu stronach drzwi przycisnęli się do ściany.

Łomotanie ustało; na drzwi spadło z trzaskiem ciężkie uderzenie i zatrzęsło nimi

w posadach. Za drugim podobnym uderzeniem drewniana framuga zaczęła pękać koło zamka. Wystarczająco jeszcze dwa, pomyślał Smith, tylko dwa!

Ale nie było następnych.

– *Gott im Himmel, Hans!* – W głosie za drzwiami brzmiała, a może tak się tylko wydawało, mieszanina konsternacji i oburzenia. – Co ci przyszło do głowy?! Nie umiesz czytać?

– Nie umiem?... – Drugi głos umilkł nagle, a kiedy znów się odezwał, brzmiał w nim usprawiedliwiający, pojednawczy ton. – *Damen! Mein Gott! Damen!* – Nastąpiła przerwa. – Gdybyś spędził na rosyjskim froncie tyle lat, co ja... – Głos mówiącego cichł, w miarę jak żołnierze się oddalali.

– Dzięki ci Boże za nasze wspólne anglosaskie dziedzictwo – wymamrotał gorliwie Schaffer.

– O czym ty mówisz? – spytał Smith. Rozluźniwszy dłonie, w których trzymał schmeissera, uświadomił sobie, że zwilgotniały.

– O źle ulokowanym poczuciu przyzwoitości – wyjaśnił Schaffer.

– A ja o doskonale ulokowanym i wysoko rozwiniętym instynkcie samozachowawczym – rzekł sucho Smith. – Chciałbyś może wziąć udział w poszukiwaniu dwóch zdeklarowanych zabójców, takich jak my, wiedząc, że ten, kto nas znajdzie, zostanie prawdopodobnie przecięty na pół ogniem z pistoletu maszynowego? Postaw się na ich miejscu. Myślisz, że jak czują się ci ludzie? Jak ty byś się czuł?

– Czuję się bardzo nieszczęśliwy – odparł szczerze Schaffer.

– Więc i oni tak się czują. I chwytają się każdego sensownego wykrętu, żeby nie szukać. Nasi dwaj przyjaciele, którzy właśnie sobie poszli, nie mają zielonego pojęcia, czy jesteśmy tu w środku, czy nie, i co więcej, ostatnią rzeczą, której pragną, jest przekonać się o tym.

– Skończ ten psychologiczny wykład. Liczy się tylko to, że Schaffer jest uratowany. Uratowany!

– Jeżeli w to wierzysz – rzekł krótko Smith – to zasługujesz, żeby skończyć z opaską na oczach.

– O co znowu chodzi? – spytał Schaffer z obawą.

– Ty i ja nie jesteśmy jedynymi, którzy potrafią się postawić na miejscu poszukujących – zaczął cierpliwie wyjaśniać Smith. – Możesz założyć się o własną głowę, że kapitan i przynajmniej sierżant też to potrafią. Sam widziałeś, jak szybko złapał za to przekłete radio. Jeszcze trochę i albo jeden, albo drugi przejdzie obok, a kiedy zobaczy te zamknięte i nie naruszone drzwi, wścieknie się i uprze, żeby kilku swoim żołnierzom dać okazję do zasłużenia na pośmiertny Żelazny Krzyż. A to znaczy, że Schaffer jeszcze nie jest

uratowany.

– Co robimy, szefie? – spytał Schaffer cicho. – Już mi nie jest tak wesoło.

– Dostarczymy im rozrywki. Masz tu wytrychy. Ten wsadź do zamka i trzymaj, żebyś go mógł w każdej chwili przekreślić. Będziemy stąd wychodzić w pośpiechu. Z żołnierzy tego kalibru niedługo można robić durniów.

Sięgnął do plecaka, wyciągnął ręczny granat, przeszedł z toalety do umywalni i w niemal całkowitych ciemnościach wymacał drogę tam, gdzie powinno znajdować się tylne okno. Wreszcie dostrzegł je dzięki przeświecającej przez nie słabej poświacie. Przycisnął nos do szyby, ale nic nie zobaczył. Zaklął po cichu uświadamiając sobie, że okno umywalni jest z pewnością zawsze oszronione, a potem wymacawszy rygiel, powoli otworzył je na oścież. Bezgranicznie ostrożnie, centymetr po centymetrze, wolno wysunął głowę.

Nikt mu jej nie odstrzelił. Co prawda natychmiast zobaczył uzbrojonych i gotowych do strzału żołnierzy, ale nie patrzyli w jego stronę. Było ich pięciu i stali rozciągnięci łukiem może piętnaście metrów od stacyjnego wyjścia, mierząc w nie pistoletami maszynowymi. Czekają, aż spłoszą się zajaczki, pomyślał.

O wiele bardziej godna uwagi była pusta ciężarówka zaparkowana zaledwie metr od okna, za którym się znajdował. To właśnie dzięki odbiciu jej bocznych świateł mógł je odszukać. Mając nadzieję, że jest zbudowana według tradycyjnych zasad, odbezpieczył granat, odliczył do trzech, rzucił go pod tylne koła ciężarówki i przykucnął chroniąc się za ścianą.

Dwa wybuchy – granatu i zbiornika z benzyną – rozległy się niemal równocześnie, tak że nie sposób było je rozróżnić. Strzaskane szkło posypało mu się na głowę, a bliskość fali uderzeniowej i huk sprawiły, że bębniuszki uszu zabolowały go gwałtownie. Smith nie próbował nawet sprawdzać, jakie wyrządził szkody, nie tyle z pilnej potrzeby opuszczenia tego miejsca, co z tej prostej przyczyny, że szczątki ciężarówki stały w płomieniach i wysunięcie głowy ponad parapet równałoby się szybkiemu samobójstwu w ogniu, które zresztą i tak mogło mu się przydarzyć, gdyż miotane wiatrem płomienie zaczynały już lizać strzaskane okno. Przemknął na czworakach przez umywalnię i nie podniósł się, aż dopadł toalety. Schaffer, który trzymał rękę na kluczu i uchylił już drzwi o centymetr, odwrócił się ku niemu.

– W góry, szefie? – spytał.

– W góry.

Jak należało oczekiwać, od strony torów stacja była wyludniona. Ci, którzy nie pobiegli odruchowo, żeby zbadać przyczynę wybuchu, równie odruchowo musieli przyjąć, że wiąże się on w jakiś sposób z próbą ucieczki lub oporem ze strony ściganych. Tak czy

owak, wynik był równie korzystny.

Pobiegli torami aż do odbojów na końcu torowiska, obeszli je i nadal biegnąc schronili się między domami rozrzuconymi na stromo wznoszącym się zboczu wzgórza po wschodniej stronie wsi. Tu zatrzymali się dla złapania tchu i spojrzeli za siebie tam, skąd przyszli.

Stacja paliła się, jeszcze nie gwałtownie, ale wznoszące się na dwa, dwa i pół metra płomienie i czarny dym buchający w nocne niebo świadczyły, że nie było już nadziei na jej ugaszenie.

– Zadowoleni to oni nie będą – odezwał się Schaffer.

– Też tak sądzę.

– Chodzi o to, że teraz naprawdę zaczną nas ścigać. Czym się da. Na zamku mają dobermanów i nie wątpię, że w obozie również. Wystarczy, że przyprowadzą je na stację, dadzą do powąchania nasz ekwipunek, oprowadzą po terenie, a one złapią trop i koniec: Smith i Schaffer rozszarpani na strzępy. Wezmę na siebie przeważającą liczbę strzelców alpejskich, ale pasuję przed dobermanami, szefie.

– Zdawało mi się, że się boisz koni? – powiedział łagodnie Smith.

– Konie, dobermanów, co tylko zechcesz. Boję się tego wszystkiego. Wystarczy, żeby miało cztery nogi. – Spojrzał ponuro na płonąca stację. – Kiepski byłby ze mnie weterynarz.

– Nie martw się – pocieszył go Smith. – Nie będziemy tu aż tak długo, żeby któryś z twoich czworonożnych kumpli zaczął ci się naprzykrzać.

– Tak? – Schaffer spojrział podejrzliwie.

– Zamek – rzekł cierpliwie Smith. – On jest naszym celem. Zapomniałeś?

– Nie zapomniałem. – Płomienie na stacji strzelały już na dziesięć, dwanaście metrów w górę. – Zniszczyłeś całkiem dobrą stację, wiesz o tym?

– Po pierwsze, jak sam byś powiedział, to nie była nasza stacja – przypomniał mu Smith. – Chodź, musimy złożyć wizytę. A potem pójdziemy zobaczyć, jakie przyjęcie szykują nam w Schloss Adler.

W tej właśnie chwili Mary Ellison dowiadywała się, jak przyjmują w Schloss Adler. W jej przypadku nie było to przyjęcie najprzyjemniejsze. Mając u boku von Brauchitscha i Heidi rozglądała się po olbrzymim zamkowym przedsionku, po kamiennych murach i płytach, po ciemnym dębowym sklepieniu. Drzwi na końcu przedsionka otworzyły się wreszcie i podeszła do nich dziewczyna. Była w niej jakaś arogancja i szorstka władczość – bardziej maszerowała, niż szła.

Mary musiała jednak przyznać w duchu, że jest bardzo piękna – wysoka, jasnowłosa

i błękitnooka. W Trzeciej Rzeszy mogła być ideałem dziewczęcej urody. Tyle że w tym momencie błękitne oczy były bardzo zimne.

– Dobry wieczór, Anne-Marie – odezwał się von Brauchitsch głosem, któremu wyraźnie brakowało serdeczności. – To jest ta nowa dziewczyna, Fräulein Maria Schenk. Mario, przedstawiam pani sekretarkę komendanta zamku, której podlega cały żeński personel.

– Nie śpieszyłaś się tu za bardzo, co, Schenk? – Jeżeli głos Anne-Marie był miękki, śpiewny i słodki jak miód, to w tej chwili nie wysilała się, żeby z niego skorzystać. Obróciła się w stronę Heidi i zmierzyła ją od stóp do głów lodowatym spojrzeniem. – A ty tu po co? To, że pozwalamy ci usługiwać przy stole, kiedy pan pułkownik ma gości...

– Heidi jest kuzynką Marii – przerwał jej szorstko von Brauchitsch. – A poza tym ma moje pozwolenie. – Zimna aluzja, że powinna się ograniczyć do swoich obowiązków, była niewątpliwa. Anne-Marie utkwiała w nim wzrok, lecz nie podjęła żadnych prób, żeby postawić na swoim. Bardzo niewiele by to zrobiło. Po prostu von Brauchitsch taki już był.

– Tutaj, Schenk. – Anne-Marie wskazała głową boczne drzwi. – Mam do ciebie parę pytań.

Mary spojrzała na Heidi, potem na von Brauchitscha, który wzruszył ramionami i powiedział:

– Normalna procedura, Fräulein. Niestety, musi pani usłuchać.

Mary weszła pierwsza, Anne-Marie za nią i drzwi starannie zamknięto. Heidi i von Brauchitsch wymienili spojrzenia. Heidi zacisnęła usta, a grymas, który przemknął przez jej twarz, niemal dorównywał temu, z którym obnosiła się Anne-Marie. Von Brauchitsch wykonał stary jak świat gest bezsilności, wznosząc wysoko ramiona i odwracając dłonie spodem do góry.

W ciągu pół minuty przyczyna tej bezradności stała się jasna. Zza drzwi dobiegł ich najpierw podniesiony głos, później odgłosy krótkiej szamotaniny i wreszcie ostry krzyk bólu. Von Brauchitsch wymienił z Heidi jeszcze jedno pełne rezygnacji spojrzenie, a potem słysząc za sobą ciężkie kroki odwrócił się. Zbliżający się mężczyzna był krzepki, ogorzały, w średnim wieku i ubrany po cywilnemu, lecz nawet bez munduru można w nim było nieomylnie rozpoznać oficera armii. Masywne wygolone szczęki, byczy kark, krótko przystrzyżone włosy i przenikliwe niebieskie oczy czyniły zeń niemal karykaturę oficera pruskiej kawalerii z pierwszej wojny światowej. Ale kiedy von Brauchitsch zwrócił się do niego z wyraźnym respektem, stało się zupełnie oczywiste, że nie był on w żadnym razie zabytkiem, na jaki wyglądał.

– Dobry wieczór, panie pułkowniku.

– Dobry wieczór, kapitanie. Dobry wieczór, Fräulein. – Pułkownik Kramer miał

nieoczekiwanie łagodny i uprzejmy głos. – Zdaje się, że państwo na coś czekacie?

Zanim któreś mogło odpowiedzieć, otworzyły się drzwi i weszły Anne-Marie i Mary. Mary wyglądała tak, jakby wypchnięto ją do pokoju, natomiast Anne-Marie miała lekkie rumieńce i dość ciężko Oddychała, lecz poza tym była sobą – aryjską pięknnością. Ubranie Mary było w nieładzie, włosy rozczochrane i widać było, że płakała. Jej policzki nosiły jeszcze ślady łez.

– Z nią nie będzie już żadnych kłopotów – obwieściła Anne-Marie z satysfakcją. Spozregła Kramera i ton jej głosu wyraźnie się zmienił. – Przeprowadzam rozmowy z nowo zatrudnioną, panie pułkowniku.

– We właściwy sobie kompetentny sposób, jak widzę – powiedział sucho pułkownik Kramer i potrząsnął głową. – Kiedy się nauczysz, że panienki z dobrych domów nie lubią, jak się je siłą rewiduje i sprawdza, czy ich bielizna pochodzi z Piccadilly czy z ulicy Gorkiego.

– Przepisy bezpieczeństwa – broniła się Anne-Marie.

– Tak, tak. – Głos Kramera brzmiał szorstko. – Ale są inne sposoby. – Odwrócił się zniecierpliwiony. Zatrudnianie żeńskiego personelu nie było zmartwieniem zastępcy szefa niemieckiego wywiadu. Podczas gdy Heidi pomagała Mary doprowadzić do ładu ubranie, zwrócił się do von Brauchitscha:

– Małe poruszenie we wsi dziś wieczór?

– Dla nas nic ciekawego. – Von Brauchitsch wzruszył ramionami. – Dezerterzy.

Kramer uśmiechnął się.

– Tak właśnie poleciłem powiedzieć pułkownikowi Weissnerowi. Przypuszczam, że nasi przyjaciele są brytyjskimi agentami.

– Co!?

– W sprawie Carnaby'ego, co nie dziwi – rzekł niedbale Kramer. – Spokojnie, kapitanie. Już po wszystkim. Trzech z nich zjawi się tu w ciągu godziny na przesłuchanie. Chciałbym, żeby pan był obecny. Sądzę, że uzna pan to za niezwykle interesujące i... kształcące.

– Było ich pięciu, panie pułkowniku. Widziałem to na własne oczy, kiedy zrobiono na nich obławę w „*Zum Wilden Hirsch*”.

– Było. Ale już nie ma – sprostował pułkownik Kramer. – Dwaj z nich, przywódca i jakiś drugi, są na dnie Blau See. Zdobyli przemocą samochód i zwalili się w przepaść.

Mary, która stała tyłem do mężczyzn i Anne-Marie, wygładziła sukienkę i powoli wyprostowała się. Twarz miała jak porażoną. Anne-Marie odwróciła się i spostrzegła jej dziwnie nieruchomą pozę. Kiedy zaciekawiona ruszyła ku niej, Heidi ujęła Mary pod rękę i powiedziała szybko:

– Moja kuzynka źle się czuje. Czy mogę ją zaprowadzić do jej pokoju?

– Dobrze. – Anne-Marie odprawiła ją krótkim ruchem ręki. – Do tego, z którego sama korzystasz, kiedy tu jesteś.

Pokój był ponury, klasztorny, podłogę miał wyłożoną linoleum i oprócz zasłanego żelaznego łóżka, krzesła, malutkiej toaletki i wiszącej szafki nie było w nim nic. Heidi zamknęła drzwi na klucz.

– Słyszałaś? – spytała głucho Mary. Jej twarz, podobnie jak głos, pozbawiona była życia.

– Słyszałam... i nie wierzę w to.

– Po co mieliby kłamać?

– Oni w to wierzą. – Heidi mówiła niecierpliwym, niemal szorstkim tonem. – Czas, żebyś przestała kochać, a zaczęła myśleć. Tacy jak major Smith nie zwalają się w przepaść.

– Mówić jest łatwo, Heidi.

– Tak samo jak rezygnować. Ja wierzę, że on żyje. A jeżeli żyje i przyjedzie, a ty stąd odjedziesz albo nie będziesz czekała z pomocą, to wiesz, co się z nim stanie? – Mary nie odpowiedziała i tylko wpatrywała się w twarz Heidi pustym wzrokiem. – Zginie. Zginie, ponieważ sprawisz mu zawód. A on by ciebie zawiódł?

Mary w milczeniu potrząsnęła głową.

– A więc – ciągnęła z ożywieniem Heidi – proszę bardzo. – Najpierw sięgnęła pod spódnicę, potem za dekolt bluzki i położyła na stole kilka przedmiotów. – Automatyczny liliput kaliber 5,33, dwa zapasowe magazynki, kłębek sznurka, ołowiany ciężarek, plan zamku i instrukcje. – Przeszła w kąt pokoju, uniosła obluzowaną deskę w podłodze, umieściła pod nią wszystkie przedmioty i ułożyła deskę z powrotem. – Tu będą wystarczająco bezpieczne.

Mary przyglądała się jej przez dłuższą chwilę i po raz pierwszy od godziny w jej oczach błysnęło zainteresowanie.

– Wiedziałaś, że ta deska jest obluzowana – powiedziała wolno.

– Oczywiście. Sama ją obluzowałam dwa tygodnie temu.

– Wiedziałaś... wiedziałaś od tak dawna?

– Jakżeby inaczej? – powiedziała Heidi z uśmiechem. – Powodzenia, kuzynko.

Po jej wyjściu Mary opadła na łóżko i siedziała nieruchomo przez dziesięć minut. Potem wstała z wysiłkiem i podeszła do okna. Wychodziło na północ. Widziała więc słupy kolejki, światła wsi i dalej, za nimi, pociemniałe wody Blau See. Ale tym, co dominowało w całej scenerii, były strzelające czerwono płomienie i przewalające się kłęby czarnego dymu, które unosiły się nad jakimś płonącym budynkiem na drugim końcu wsi. W promieniu stu metrów wokół niego noc przemieniła się w dzień i jeżeli nawet byłaby

pod ręką miejscowa straż ogniowa, to strażacy w żaden sposób nie zdołaliby zbliżyć się do ognia. Po jego wygaśnięciu mogło pozostać tylko dymiące pogorzelisko. Mary zastanawiała się, co oznacza ten pożar.

Otworzyła okno i wychyliła się ostrożnie, bo zbyt mocne wychylenie się nie kusilo nawet kogoś tak przygnębionego jak ona. Mury zamku i wulkaniczny czop biegły pionowo w dół prawie dziewięćdziesiąt metrów. Poczowała lekki zawrót głowy.

Poniżej okna, na lewo, wagonik kolejki opuścił górną stację i zaczął się zsuwać w dolinę. Stała w nim Heidi wychylając się przez częściowo otwarte okienko i machając z nadzieją, ale oczy Mary znów zaszyły łzami i jej nie dostrzegła. Zamknęła okno, odwróciła się, położyła ciężko na łóżku i ponownie zaczęła rozmyślać o Johnie Smithie, czy jeszcze żyje czy zginął. Nie przestawała się też zastanawiać, co może oznaczać pożar w dolinie.

Smith i Schaffer obchodzili tyły domów, sklepów i szynków po wschodniej stronie ulicy, trzymając się w miarę możliwości głębokiego cienia. Smith pomyślał, że te środki ostrożności są w znacznej mierze zbyteczne. Tej nocy niewątpliwym ośrodkiem zainteresowania była płonąca stacja. Na prowadzącej do niej ulicy tłoczyły się setki żołnierzy i wieśniaków. Pożar musiał być spory, bo chociaż nie widzieli już samego ognia, tylko czerwoną lunę na niebie, to mimo że byli od niego trzysta metrów i wiał przeciwny wiatr, wyraźnie słyszeli huk i trzaskanie płomieni. Jak na rozrywkę, był to oszołamiający sukces.

Dotarli wreszcie do jednego z niewielu kamiennych budynków wsi, przypominającego wielką stodołę i zaopatrzonego z tyłu we wrota. Podwórze sąsiadujące z tylnym wejściem wyglądało na złomowisko. Poniewierało się tu z pół tuzina starych samochodów, w większości bez opon, kilka zardzewiałych silników, dziesiątki drobnych, bezużytecznych części samochodowych oraz wznosiła się mała górka pustych misek olejowych. Posuwając się ostrożnie wśród tego rumowiska doszli do wrót.

Schaffer puścił w ruch wytrychy i przed upływem piętnastu sekund znaleźli się w środku. Zdążyli jeszcze zamknąć za sobą wrota i zapalić latarki.

Jedną stronę garażu przeznaczono na rozmaite tokarki i obrabiarki, resztę miejsca zajmowały najróżniejsze pojazdy, w większości starej daty. Jednakże tym, co natychmiast zwróciło i przykuło uwagę Smitha, był duży żółty autobus zaparkowany tuż przed frontową bramą. Był to typowy alpejski autobus pocztowy z bardzo długim wystającym tyłem, ułatwiającym pokonywanie ostrych górskich wiraży. Tyłne koła miał bardzo przesunięte do przodu, że znajdowały się niemal pośrodku podwozia, a do maski przyśrubowany ogromny spiczasty pług śnieżny, co jest zimą normalne u takich

autobusów. Smith spojrział na Schaffera.

– Wygląda obiecująco, nie sądzisz?

– Gdybym był aż takim optymistą, żeby wierzyć w powrót tutaj, powiedziałbym, że bardzo obiecująco – odparł kwaśno Schaffer. – Wiedziałaś o nim?

– A co ty myślisz? Że ja wykrywam autobusy różdżką? Oczywiście, że wiedziałem.

Smith wdrapał się na fotel kierowcy. Kluczyki tkwiły w stacyjce. Przekręcił je i patrzył, jak wskaźnik ilości paliwa podnosi się do połowy. Potem odnalazł przełącznik reflektorów i zapalił je. Działały. Nacisnął guzik rozrusznika i silnik od razu zaskoczył. Smith zgasił go natychmiast. Schaffer z zaciekawieniem obserwował poczynania szefa.

– Szefie – zagadnął – chyba wiesz, że do prowadzenia takiego wozu trzeba mieć specjalne prawo jazdy.

– Mam nawet takie. Zostaw połowę materiałów wybuchowych z tyłu autobusu. I pośpiesz się. Heidi może zjeżdżać najbliższym wagonikiem.

Smith zsunął się z fotela kierowcy, podszedł do frontowych drzwi, odryglował je na górze i na dole i popchnął delikatnie. Ustąpiły o parę centymetrów i zatrzymały się.

– Kłódka – rzekł zwięźle.

Schaffer obejrzał masywny pług śnieżny z przodu autobusu i ze smutkiem potrząsnął głową.

– Biedna kłódeczka – powiedział.

Śnieg przestał padać, ale wiejący z zachodu wiatr znacznie przybrał na sile. Było przenikliwie zimno. Poszarpane masy ciemnych chmur pędziły po niebie, a cała dolina na zmianę to pogrążała się w najgłębszym cieniu, to kąpała w oślepiającym świetle, zależnie od księżycy, to chowającego się za chmurami, to znów przeświecającego przez sunące pomiędzy nimi wyłomy. Ale na odległym krańcu wsi nie było tej przemienności światła i cienia, stacja płonęła nadal z taką furją, że na nic się zdały najusilniejsze starania księżycy.

Wagonik zjeżdżał powoli doliną w dół i znajdował się właśnie nie więcej niż sto metrów od dolnej stacji. Popychany przez silnie dmący wiatr kołysał się dziko i przerażająco pod nocnym niebem. Lecz kiedy zbliżał się do końca swojej podróży, kołysanie szybko zmniejszyło się, a kiedy znalazł się blisko stacji, ustało całkowicie.

Wreszcie wagonik zatrzymał się z szarpnięciem i jego jedyna pasażerka, Heidi, wysiadła. Wyglądała dość blado, co było zupełnie zrozumiałe. Kiedy zeszła po schodkach na tyłach stacji i znalazła się na ziemi, stanęła jak wryta słysząc cicho gwizdane pierwsze taktę „Lorelei”. Okręciła się dookoła, a potem wolno zbliżyła się do dwóch całkowicie na biało ubranych postaci, które stały skulone z boku stacji.

– Tacy jak major Smith nie zwalają się w przepaść – powiedziała cicho. Umilkła i zrobiwszy nagły krok do przodu szybko uściśnęła obu mężczyzn i ucałowała w policzki.

– Trochę się o was martwiłam tam na górze.

– Martw się tylko tak dalej – powiedział Schaffer. – Chociaż nim nie ma się co przejmować.

Heidi wskazała ręką na drugi kraniec wsi. Ze stacji kolejki położonej na niższych partiach zboczy roztaczał się wspaniały, choć odległy widok na pożar.

– Czy to wasza sprawka? – zapytała.

– Przez pomyłkę – wyjaśnił Smith.

– Tak – dodał Schaffer. – Zadrżała mu ręka.

– Wy dwaj powinniście spróbować sił w wodewilu – powiedziała sucho. I nagle poważniejąc, dodała: – Mary myśli, że obaj zginęliście.

– Weissner jest przeciwnego zdania – powiedział Smith. – Samochód spadł w przepaść pusty. Ścigają nas.

– Nic dziwnego – mruknęła. – Chyba że nie zauważyliście rozmiarów pożaru. – Urwała, po czym przygnębionym tonem ciągnęła: – Nie tylko oni was ścigają. Kramer wie, że jesteście brytyjskimi agentami poszukującymi generała Carnaby'ego.

– No, no, no – zamyślił się Smith. – Ciekaw jestem, co za ptaszek ćwierka mu do ucha. W każdym razie musi mieć donośny głosik.

– O czym pan mówi?

– O niczym. To nieważne.

– Nieważne! Czy wy nie rozumiecie? – Jej głos był błagalny, niemal zrozpaczony. – Oni wiedzą... albo lada chwila się dowiedzą, że żyjecie. Oni wiedzą, kim jesteście. Będą na was czekać.

– Och, pomijasz pewne subtelności, droga Heidi – wtrącił Schaffer. – Oni za to nie wiedzą, że my oczekujemy, że będą na nas czekać. Chyba to chciałem powiedzieć.

– Pan się pociesza, poruczniku. I jeszcze jedno, wasi koledzy lada chwila zostaną sprowadzeni na zamek.

– Na przesłuchanie? – spytał Smith.

– Nie sądzę, żeby zaproszono ich na herbatkę – powiedziała Heidi lodowatym tonem.

– Niby słusznie – zgodził się Smith. – Zabierzemy się z nimi na górę.

– Tym wagonikiem? – Słowa Heidi nie kwestionowały zdrowych zamysłów Smitha, kwestionował je ton głosu i wyraz twarzy.

– Nie wagonikiem, ale na wagoniku. – Smith zerknął na zegarek. – Autobus pocztowy w garażu Suiza. Bądź tam za osiemdziesiąt minut. Aha... i przynieś ze dwie skrzynki butelek po piwie.

– Ze dwie... no, dobrze. – Potrząsnęła głową z przekonaniem. – Obaj powariowaliście.

– Widać to w każdym naszym słowie i geście – przyznał Schaffer, a potem nagle poważniejąc dodał: – Zmów za nas modlitwę, skarbie. A jeżeli nie znasz żadnej, ściskaj kciuki, aż cię palce zabolą.

– Tylko wróćcie, proszę – powiedziała. Głos jej zdrzął. Zawahała się chcąc coś dodać, ale zaraz odwróciła się i szybko odeszła. Schaffer patrzył za nią z podziwem, jak idzie ulicą.

– Oto idzie przyszła pani Schaffer – oznajmił. – Może trochę drażliwa i cięta. – Zastanowił się. – Dziwne, ale wydało mi się, że pod koniec była bliska płaczu.

– Może ty też byłbyś drażliwy, cięty i skłonny do płaczu, gdybyś przeżył tyle co ona przez ostatnie dwa i pół roku – rzekł kwaśno Smith.

– Może byłaby mniej drażliwa i skłonna do płaczu, gdyby trochę więcej wiedziała, co się dzieje.

– Nie mam czasu każdemu wszystkiego tłumaczyć.

– Powtórz to jeszcze raz, szchwany szefie. „Szczwany” – to słowo do ciebie pasuje.

– Być może. – Smith spojrział na zegarek. – Modłę się, żeby się pośpieszyli.

– Mów za siebie. – Schaffer urwał. – Kiedy... to znaczy, jeżeli... stąd uciekniemy, czy ona z nami pojedzie?

– Kto?

– Heidi, oczywiście!

– Heidi? Oczywiście. Jeżeli nam się uda... a może się udać tylko dzięki Mary, skoro więc Mary została przedstawiona przez...

– Starczy. – Schaffer zapatrzył się w oddalającą się postać i potrząsnął głową. – Zrobi sensację w „Savoy Grillu” – powiedział rozmarzonym głosem.

Sekundy wlokły się i stawały się minutami, a minuty piętrzyły się ze ślimaczą powolnością, aż upłynął prawie kwadrans. Jasne światło księżyca i kontrastujące z nim niemal całkowite ciemności wymieniały się ze dwadzieścia razy pod postrzępionymi czarnymi chmurami szybującymi nisko nad doliną, a mróz spotężniał tak, że dobierał się do szpiku kości dwóch czuwających w cieniu mężczyzn. Wciąż czekali. Czekali, bo musieli; nie mogli dostać się do Schloss Adler bez towarzystwa, a towarzystwu nie śpieszyło się z przybyciem.

Czekali więc w milczeniu, każdy sam ze swoimi myślami. Smith nie był w stanie zgadnąć, o czym myśli Schaffer. Prawdopodobnie z błogością wyobrażał sobie liczne zbiegowiska, jakie wywoła w niektórych z bardziej znanych lokali londyńskiego West Endu. Myśli Smitha były za to o wiele bardziej praktyczne i dotyczyły wyłącznie najbliższej przyszłości. Zaczynał się niepokoić, i to poważnie, dotkliwym zimnem i tym, jak ono zaważy na ich szansach dojechania na górę bez szwanku. Choćby nie wiem jak przytupywali nogami i zabijali rękoma, z każdą upływającą minutą paraliżujący mróz chwycił ich coraz mocniej w swoje kleszcze. To, czego mieli wkrótce dokonać, wymagało pełni sił fizycznych i refleksu, a pod wpływem lodowatego zimna szybko tracili i jedno, i drugie. Przez krótką chwilę zastanawiał się ponuro, ile by postawił rozsądny bukmacher na ich szansę dotarcia na zamek, ale odrzucił tę myśl, zanim się na dobre uformowała. Skoro nie było wyboru, nie było też sensu obliczać szans, a zresztą mieli je wkrótce poznać – długo wyczekiwane towarzystwo było już na miejscu.

Dwa samochody dowódcze strzelców alpejskich – pierwszy z wyciem syreny i błyskającymi reflektorami – pędziły właśnie pod górę wiejską ulicą; dostrzegli je, kiedy raz jeszcze księżyc przedarł się przez kłęb pędzących chmur i zalał dolinę światłem. Smith i Schaffer utkwili w nim oczy, spojrzeli jeden na drugiego, a potem bez słowa cofnęli się i jeszcze głębiej wcisnęli w cienie po zachodniej stronie dolnej stacji. Zdawało im się, że dwa metaliczne szczęknięcia odbezpieczanych schmeisserów brzmią nienaturalnie głośno.

Silniki ucichły, a reflektory pociemniały i zgasły prawie natychmiast po zatrzymaniu się obu samochodów przed schodami stacji. Żołnierze, którzy z nich wypadli, szybko ustawili się w rzędzie i jeden za drugim wspięli się po schodach. Jak obliczył Smith, było ich w sumie dwunastu: oficer, ośmiu strażników, Carraciola, Thomas i Christiansen. Pistolety ósemki strażników były gotowe do strzału, co wyglądało na zbyteczny środek ostrożności, ponieważ trzech jeńcy mieli ręce skute na plecach kajdankami. A więc przeznaczeniem broni nie było strzec więźniów, ale przeszkodzić Smithowi i Schafferowi w próbie ich odbicia. Smith skrzywił się w duchu na myśl, że on i Schaffer musieli sobie

wyrobić niezłą markę. Mimo wszystko był to jednak pocrzepiający widok. Gdyby Niemcy znali prawdziwą przyczynę jego obecności w Bawarii, wiedzieliby również, że nawet mając za jedyną obronę najzwyczajniejsze pukawki bez przeszkód dowiozą swoich jeńców na zamek.

Kiedy ostatni z dwunastki wszedł do budynku stacji, Smith dotknął ramienia Schaffera. Zarzuciwszy schmeissery na ramię wdrapali się szybko, lecz po cichu na oblodzony i stromy dach stacji i zachowując ciszę z niemałym trudem poczołgali się naprzód w górę ku jego przedniej krawędzi, spod której miał wyjechać wagonik, rozpoczynając długą wspinaczkę na zamek. Smith wiedział, że mimo ubiorów maskujących było ich świetnie widać, i wystarczyło, żeby przypadkowy przechodzień zerknął w górę, a zostaliby nieuchronnie wykryci. Na szczęście nie było żadnych przypadkowych przechodniów. Darmowe przedstawienie, jakiego dostarczała płonąca stacja, przyciągnęło komplet widzów. A poza tym kiedy lina drgnęła, księżyc skrył się za chmurami.

Czekając w napięciu na pojawienie się przodu wagonika, przewiesili nogi przez krawędź dachu, odczekali, aż przesunie się pod nimi ramię zaczepowe, sięgnęli do liny, pozwolili jej ściągnąć się z dachu, rzucili się na nią i opuszczając się delikatnie dotknęli stopami dachu wagonika.

Mary szła cicho skąpo oświetlonym, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzem odliczając po drodze drzwi. Przed piątymi z kolei zatrzymała się, przyłożyła do nich ucho, schyliła się, zerknęła przez dziurkę od klucza, lekko zapukała i zaczęła na odpowiedź. Nie było żadnej. Zapukała jeszcze raz, mocniej, lecz z tym samym skutkiem. Nacisnęła więc klamkę i stwierdziła, że drzwi są zamknięte na klucz. Z małej torebki wyciągnęła zestaw wytrychów. Kiedy drzwi ustąpiły, wśliznęła się szybko do środka, zamknęła je i zapaliła światło.

Pokój przedstawiał się znacznie lepiej niż ten, który jej przydzielono, choć było w nim to samo regulaminowe żelazne łóżko. Podłogę miał starannie wyłożoną dywanem i szczycił się posiadaniem dwóch foteli. Na niewielkim krześle wisiał mundur oberleutnanta, stała tam też wielka szafa ubraniowa i komoda, gdzie na szklanej płycie spoczywały pas z futerałem na broń, pistolet i lornetka.

Mary zamknęła drzwi na klucz, wyjęła go z zamka, przeszła przez pokój, podsunęła dolne skrzydło okna i spojrzała w dół. Znajdowała się bezpośrednio nad opadającym bardzo stromo dachem stacji kolejki linowej, którego górny brzeg wpuszczony był w sam zamkowy mur. Cofnęła głowę, wyciągnęła z torebki kłębek sznurka z umocowaną do jednego końca ciężką śrubą, położyła go na łóżku, wzięła do ręki połowę lornetkę i zajęła stanowisko przy oknie. Drząc na dokuczliwym zimnym wietrze nastawiła ostrość lornetki

i przesunęła nią w dół wzdłuż wiszących lin kolejki. I nagle zobaczyła, niewyraźnie, lecz na pewno, w połowie drogi między dolnym a środkowym słupem, pękaty czarny kontur wagonika, który kołysał się dziko i alarmująco pod niebem w porywach silnego wiatru.

Smith i Schaffer leżeli rozplaszczeni na wagoniku uchwyciwszy się rozpaczliwie ramienia kolejki, jedyne go dostępne punktu zaczepienia. Na dachu pokrytym jednolitą białą warstwą lodu nie było gdzie oprzeć nóg i ich ciała ślizgały się bezwolnie we wszystkie strony w zgodzie z gwałtownym dygotaniem pojazdu. Czysto fizyczne napięcie dłoni, rąk i ramion było gorsze, niż Smith się obawiał, a przecież najgorsze było dopiero przed nimi.

Schaffer wykręcił się i spojrział w dół. Roztaczający się tam widok przyprawiał o zawrót głowy i był prawdziwie przerażający. Cała dolina zdawała się kołysać po czterdziestopięciostopniowym łuku. W jednej sekundzie miał przed oczami pasmo sosen okalające zachodnie zbocze doliny, następnie przemykało pod nimi jej dno, a w parę sekund później spoglądał na pasmo sosen ciągnące się po wschodniej stronie. Zadarł głowę, ale i w górze sprawy nie przedstawiały się lepiej. Światła Schloss Adler pędziły dziko po tym samym zawrotnym łuku. Miał wrażenie, że znajduje się jednocześnie w karkołomnej kolejce, wielkim młynie i urwanym diabelskim kole. Z tą godną odnotowania różnicą, pomyślał ponuro, że wszystkie te trzy urządzenia wyposażone są w pasy bezpieczeństwa i inne środki ostrożności, służące temu, żeby pasażer nie rozstał się ze swoim wehikułem. Między linami a ramieniem zaczepowym wagonika wiatr zawodził swoją podniebną pieśń żalobną. Schaffer odwrócił wzrok, zacisnął powieki, opuścił głowę między naprężone ramiona i jęknął.

– Nadal uważasz konia za najgorszy na świecie środek lokomocji? – spytał Smith. Jego usta znajdowały się tuż przy uchu Schaffera.

– Dajcie mi buty i siodło – powiedział Schaffer i dodał jeszcze bardziej zrozpaczony: – Och, nie! Tylko nie to!

Ponownie bez żadnego ostrzeżenia wyjrzał księżyc zalewając obu bladym, zimnym światłem. Wyczuwając moment kiedy napięcie rąk było najmniejsze, naciągnęli głęboko na twarz maskujące kaptury usiłując jeszcze bardziej rozplaszczyc się na dachu.

Dzikiej wspinaczce wagonika, oświetlonego w tej chwili jaskrawo światłem księżyca, przyglądało się z zamku dwoje ludzi. Mary przez lornetkę połową wyraźnie rozróżniła rozciągnięte na dachu dwie ludzkie postacie. Przez pół minuty nie zdejmowała z nich szkieł, a potem wolno odwróciła się. Twarz miała pozbawioną wyrazu, a oczy szeroko rozwarłe, niemal wytrzeszczone. Piętnaście metrów ponad jej głową wartownik patrolujący

zamkowe blanki z przewieszonym przez ramię karabinem zatrzymał się i popatrzył w dół na wspinający się nad doliną wagonik. Nie przyglądał się jednak długo. Choć był dobrze obuty, w rękawicach i okutany po same uszy, trząśniętym się z zimna. Ta noc nie sprzyjała gnuśnej obserwacji. Odwrócił obojętnie wzrok i szybkim krokiem podjął obchód.

Obojętność była tym, czego wyraźnie brakowało atmosferze panującej na dachu wagonika. Pokonywał on w tej chwili ostatni odcinek drogi pomiędzy ostatnim słupem a górną stacją. Wkrótce chwila prawdy – pomyślał Smith. Za minutę obaj mogą równie dobrze leżeć nie na wagoniku, a na skałach sześćdziesiąt metrów niżej, z połamanymi kośćmi, martwi.

Zadarł głowę. Zimny księżyc nadal żeglował po czystym kawałku nieba, ale zbliżał się szybko ku następnemu spiętrzeniu chmur. Smith miał wrażenie, że blanki zamku, u którego podstawy była stacja, wznoszą się niemal pionowo nad jego głowę. Ostatni odcinek wspinaczki był tak stromy, że wagonik dzieliły od wulkanicznego czopu najwyżej cztery metry. Podążył wzrokiem w dół ściany, aż dotarł do jej podnóża. Na zboczach w dole patrolujący strażnicy z dobermanami przypominali żuki.

– Pasuje do niej, prawda? – odezwał się nagle Schaffer. W jego głosie pobrzmiwały chrapliwe tony wysiłku, a twarz miał napiętą i zrozpaczoną. – Śliczne imię.

– O czym ty mówisz? – spytał Smith.

– O Heidi.

– O mój Boże! – westchnął Smith i spojrział w górę na szybko zbliżającą się stację. – Ma na imię Ethel.

– Nie musiałeś mi tego mówić. – Schaffer próbował przybrać zasmucony ton, ale nie bardzo mu to wyszło. Podążył za wzrokiem Smitha i po długim milczeniu powiedział bardzo wolno: – Chryste! Popatrz, jaki spadek ma ten przeklęty dach!

– Zauważyłem. – Smith wysunął nóż z pochwy i szybko chwycił się ramienia zaczepowego, które omal nie wyrwało mu się z drugiej ręki, kiedy wagonik wyjątkowo gwałtownie się zakołysał. – Naszykuj nóż. I na miłość boską, nie zgub go.

Księżyc wsunął się za czarny strzęp chmury i dolina zatoneła w ciemnościach. Powoli i ostrożnie, w miarę jak wagonik zbliżał się do górnej stacji i kołysanie ustawało, Smith i Schaffer przesunęli się na jego tył, z jeszcze większą ostrożnością, lecz szybko podnieśli się i wolnymi dłońmi chwycili za linę, próbując jednocześnie znaleźć na zdradziecko oblodzonym dachu choćby niepewne oparcie dla nóg.

Przód wagonika wsunął się już pod skraj dachu górnej stacji. Kiedy w chwilę później podążyło za nim ramię zaczepowe, Smith odbił się i rzucił całym ciałem naprzód. Prawą ręką uderzył w dach i ostrze noża przeszło przez lodową pokrywą wbijając się mocno

w znajdujące się pod spodem drewno. W niespełną sekundę później wylądował obok niego, Schaffer, wbijając z zamachem nóż w lód dokładnie w tej samej chwili co on.

Ostrze ułamało się przy rękojeści. Schaffer otworzył dłoń, wypuścił trzonek i zaczął rozpaczliwie drapać palcami po lodzie. Osuwające się paznokcie ryły skorupę lodową nie będąc w stanie go przytrzymać. Sięgnął lewą ręką do ust, zerwał rękawicę i z całych sił wbił w lód obie dłonie. Zwolnił, ale niewystarczająco. Jego szperające stopy nie mogły znaleźć żadnego oparcia. Wiedział, że zsuwa się poza krawędź dachu i że gdyby spadł, to zatrzymałby się dopiero na skalnym rumowisku siedemdziesiąt pięć metrów niżej, u podnóża wulkanicznej skały.

Upadek na dach w przykry sposób pozbawił Smitha tchu. Upłynęło kilka sekund, zanim zorientował się, że Schaffer nie leży tam, gdzie powinien, obok niego. Obrócił się i zobaczył białą plamę jego napiętej i zrozpaczonej twarzy. Miał niejasne wrażenie, że Schaffer ośmioma paznokciami znaczy ślad na lodzie, podczas gdy jego ciało, wychylone już do połowy ud nad przepaścią, zsuwa się nieubłaganie poza krawędź dachu. Błyskawicznie wyrzucił rękę z taką szybkością i siłą, że Amerykanin nie zważając na okoliczności jęknął z bólu, kiedy dłoń Smitha zacisnęła się jak imadło na przegubie jego prawej ręki.

Parę sekund leżeli rozpostarci nieruchomo na spadzistym dachu, a ich życie wisiało na cienkim, wbitym w lód ostrzu noża. Wreszcie Schaffer, ponaglony drzeniem lewej ręki Smitha, zaczął centymetr po centymetrze pełznąć w górę. Po trzydziestu sekundach zrównał się z towarzyszem.

– Mam tylko nóż, a nie czekam – powiedział Smith chrapliwie. – Wytrzyma niewiele dłużej. Masz drugi nóż?

Schaffer potrząsnął przecząco głową. Chwilowo nie był w stanie wydobyć głosu.

– Hak?

Ten sam przeczący ruch.

– Latarkę?

Schaffer skinął głową, sięgnął lewą ręką pod krępujący ruchy strój maskujący i w końcu udało mu się wysupłać latarkę.

– Odkręć denko – powiedział Smith. – I wyrzuć je. Baterie też.

Schaffer przysunął lewą rękę do prawej, uwięzionej przez Smitha, usunął denko i baterie, splaszczyl nieznacznie opróżnioną cylindryczną obsadkę, schwycił ją z przeciwnej strony, zahaczył kantem o lód i pociągnął do siebie. Poruszył prawą ręką i Smith rozluźnił chwyt. Schaffer pozostał tam, gdzie był. Smith uśmiechnął się i powiedział:

– Teraz ty spróbuj mnie potrzymać.

Kiedy Schaffer schwycił go za przegub lewej ręki, Smith na próbę puścił trzonek noża, trzymając w pogotowiu zgiętą dłoń. Wbita w lód latarka ani drgnęła. Zrazu ostrożnie, później z rosnącą pewnością siebie, w miarę jak ostry nóż wgryzał się w pokrywę lodową, Smith wyciął bezpieczny uchwyt w drewnianym dachu stacji, podał nóż Schafferowi, wywikłał się ze stroju maskującego, odwinął parę zwojów liny, którą był okręcony w pasie, i zabezpieczył Amerykanina przywiązując mu do paska jej swobodny koniec.

– Jak myślisz, z nożem i latarką dasz sobie radę? – spytał.

– Czy dam radę? – Schaffer wypróbował nóż i latarkę i uśmiechnął się, wprawdzie z dość znacznym wysiłkiem, ale po raz pierwszy od jakiegoś czasu. – Po tym, co przeżyłem... ha, widziałeś kiedyś, jak małpa wchodzi na palmę kokosową?

Piętnaście metrów ponad ich głowami Mary cofnęła się od okna i odłożyła lornetkę na komodę. Trzęsły jej się ręce i metalowa oprawka lornetki zaklekotała o szklaną płytę jak kastaniety. Wróciła do okna i zaczęła spuszczać przez nie obciążony sznurek.

Zabezpieczony końcem liny Smith pokonał ostatnie kilkadziesiąt centymetrów stromizny, pochwyił dłoń Schaffera, stanął wyprostowany na płaskiej, środkowej części dachu i natychmiast zaczął odwijać resztę liny, którą był owinięty w pasie. Schaffer, mimo że temperatura było grubo poniżej zera, otarł czoło jak człowiek w czasie fali upałów.

– Bracie! – Znów otarł czoło. – Jeżeli kiedykolwiek będę mógł coś dla ciebie zrobić, powiedzmy pożyczyc ci na bilet tramwajowy...

Smith uśmiechnął się szeroko, klepnął go po ramieniu, sięgnął ręką w ciemność nad głową, złapał obciążony koniec zwisającego sznurka i szybko związał go z nylonową liną. Dwukrotnie pociągnął za niego łagodnie i lina powędrowała w górę – Mary zaczęła ją wciągać przez okno. Oczekał, aż kolejne dwa łagodne pociągnięcia zasygnalizują w odpowiedzi, że lina jest bezpiecznie umocowana, i zaczął się wspinać.

Był w połowie drogi do okna, kiedy zaświecił księżyc. Zdawał sobie sprawę, że w mundurze strzelca alpejskiego idealnie odcina się od połyskliwej bieli zamkowych murów. Zawisł więc nieruchomo do tego stopnia bojąc się poruszyć, że nie odważył się nawet zerknąć w górę ani w dół, żeby nie ściągnąć tym na siebie uwagi wroga.

Siedem i pół metra pod nim Schaffer wyjrzał ostrożnie przez krawędź dachu górnej stacji. Strażnicy z psami nadal patrolowali teren wokół wulkanicznej skały. Wystarczyłoby jedno przypadkowe spojrzenie w górę i odkrycie Smitha byłoby nieuniknione. Nagle jakiś szósty zmysł sprawił, że Schaffer spojrział w górę i całkowicie znieruchomiał. Stał tam, ukończywszy obchód blanków, wartownik. Szeroko rozstawione ręce miał oparte na parapecie i rozglądał się po dolinie, patrząc być może na dogasający już pożar spalonej

stacji. Wystarczyło, żeby odrobinę spuścił oczy, i byłoby po wszystkim. Powoli prawą ręką Schaffer wydobył lugera z długim dziurkowanym tłumikiem przykręconym do wylotu lufy i oparł go według najlepszych policyjnych wzorów na przegubie lewej ręki. Nie wątpił, że mógłby jednym strzałem zabić tego człowieka, pozostawała tylko kwestia, kiedy najlepiej to zrobić, jak wyważyć wszystkie możliwości. Gdyby czekał, aż tamten ich spostrzeże, wartownik mógłby wydać ostrzegawczy okrzyk lub rzucić się w tył i schować, zanim Schaffer zdążyłby go zabić. Gdyby go zastrzelił, zanim by ich zauważył, wówczas nie byłoby mowy o krzyku czy ucieczce. Istniała jednakże możliwość, że wartownik zachwieje się do przodu, spadnie z blanków, odbije się od dachu stacji i zleci w dolinę tuż przy patrolujących żołnierzach i psach. Istniała taka możliwość, uznał Schaffer, ale nie prawdopodobieństwo: impet uderzenia pocisku prawie na pewno spowodowałby upadek ciała do tyłu. Schaffer nigdy jeszcze nie zastrzelił człowieka z zaskoczenia, lecz tym razem przygotowywał się do tego z zimną krwią. Skierował świecący celownik na mostek pod szyją wartownika i zaczął naciskać spust.

Księżyc skrył się za chmurą.

Powoli, sztywnym ruchem Schaffer opuścił broń. Raz jeszcze otarł pot. Miał przecucie, że na dziś jeszcze nie koniec z ocieraniem czoła.

Smith dotarł do okna, wdrapał się na parapet, pociągnął dwukrotnie za linę dając Schafferowi znak do rozpoczęcia wspinaczki i przedostał się do pokoju. Panowały tu niemal całkowite ciemności, i ledwo zdążył rozpoznać kształt żelaznego łóżka, które przyciągnięto do okna jako zakotwiczenie liny, gdy dwoje rąk oplotło mu szyję i ktoś zaczął mu coś bez związku mruczeć do ucha.

– Nie tak ostro, nie tak ostro – zaprotestował. Nadal ciężko oddychał i brakowało mu powietrza, ale zebrał się w sobie, schylił się i pocałował ją. – Na dodatek z punktu widzenia zawodowego zachowanie karygodne. Ale tym razem o tym nie doniosę.

Milczała już, choć ciągle była do niego przytulona, kiedy pojawił się Schaffer, z trudem wciągnął się na parapet i opadł na żelazne łóżko. Oddychał rzeczywiście bardzo ciężko i wyglądał na kogoś, kto wiele przeszedł.

– Czy w tej dziurze nie mają wind? – spytał. Żeby wydobyć z siebie te słowa, musiał dwa razy odetchnąć.

– Brak formy – rzekł Smith bez współczucia. Podeszedł do drzwi, zapalił światło i pośpiesznie je zgasił. – Cholera! Wciągnij linę i zasuń zasłony.

– W taki sposób traktowano ludzi na rzymskich galerach – powiedział Schaffer z goryczą. Jednakże w dziesięć sekund później lina była już w środku, a zasłony zasunięte. W czasie gdy Smith manewrował łóżkiem ustawiając je na poprzednim miejscu, Schaffer wpychał linę do płóciennego worka, zawierającego oprócz ich ubiorów maskujących

i schmeisserów pęk ręcznych granatów i zapas materiałów wybuchowych. Właśnie skończył go zawiązywać, kiedy w zamku zachrobotał klucz.

Smith gestem nakazał Mary pozostać tam, gdzie stoi, a sam szybko zajął miejsce za drzwiami. Schaffer wbrew rzekomemu wyczerpaniu rozpląszczył się na podłodze za łóżkiem bezszelestnie i zwinnie jak kot. Drzwi otworzyły się, do pokoju wkroczył młody oberleutnant i na widok Mary trzymającej dłoń przy ustach stanął jak wryty. Na jego twarzy odbiło się zdumienie, które niemal natychmiast zastąpił pełen oczekiwania półuśmiech. Ręka Smitha opadła i młody oficer wyrzucił oczami.

Kiedy Smith studiował podsunięte mu przez Mary plany zamku, Schaffer związał oberleutnanta nylonową liną, zakneblował taśmą i złożonego wpół wepchnął na dno szafy, a potem na wszelki wypadek przyciągnął do niej łóżko.

– Jestem gotów w każdej chwili, szefie.

– Już. Zorientowałem się, gdzie co jest. Najpierw w lewo, potem schodami w dół i trzecie drzwi na lewo. Złota komnata. Tam, gdzie pułkownik prowadzi rozprawę. Niczego nie brak, nawet galerii minstreli.

– A co to jest galeria minstreli? – chciał wiedzieć Schaffer.

– Galeria przeznaczona dla minstreli. Potem następny korytarz w prawo prowadzi nas do wschodniego skrzydła. Znów na dół, drugie drzwi na lewo. Centrala telefoniczna.

– Czemu tam? – spytał Schaffer. – Przecież już przecięliśmy przewody.

– Ale nie te pomiędzy zamkiem a koszarami. Chciałbyś, żeby tu zaprosili cały pułk strzelców alpejskich? Helikopter jeszcze jest? – zwrócił się do Mary.

– Był, kiedy przyjechałam.

– Helikopter? – Schaffer wyglądał na zdumionego. – A co nam szkodzi ten wiatraczek?

– To nam szkodzi, że mogą nim wywieźć stąd Carnaby'ego... zdenerwowani tym, że jesteśmy na wolności... albo użyć go do uniemożliwienia nam ucieczki.

– Jeżeli uciekniemy.

– To też. Znasz się cokolwiek na unieruchamianiu helikopterów, Schaffer? W twoich papierach jest napisane, że byłeś obiecującym kierowcą samochodów wyścigowych i biegłym mechanikiem, zanim zaczęli dobierać się do wszystkich i ciebie w to wciągnęli.

– Zgłosiłem się na ochotnika – powiedział Schaffer z godnością. – Co do biegłości, nie wiem. Ale dajcie mi tylko dwukilowy młot, a mur-beton unieruchomię wszystko od buldożera do roweru.

– A bez młota? To nie jest zjazd producentów kotłów.

– Znany byłem z finezji.

– Skąd możemy zobaczyć tę maszynę? – spytał Smith Mary.

– Pięć kroków w tamtą stronę. – Wskazała na drzwi. – Tutaj wszystkie okna w korytarzach wychodzą na dziedziniec.

Smith otworzył drzwi, zerknął w obie strony korytarza i podszedł do okna naprzeciwko. U jego boku znalazł się Schaffer.

Pojawianie się i znikanie księżycy ani trochę nie wpływało na stan oświetlenia dziedzińca Schloss Adler. Dwie duże wiszące lampy łukowe płonęły przy ciężkiej okutej bramie wjazdowej. Trzecia paliła się na przeciwległym krańcu dziedzińca przed głównym wejściem do zamku. Oprócz tego na wschodniej i zachodniej ścianie mocowano na wysokości mniej więcej trzech metrów cztery szczelne lampy sztormowe. Światło padało również z kilkunasto okien wschodniego i północnego skrzydła. Jednak najjaśniej ze wszystkich płonęła lampa łukowa, którą zamontowano nad helikopterem stojącym pod tymczasową osłoną z rozpiętego brezentu. Przy silniku pracowała jakaś postać w zielonym kombinezonie i czapce z długim daszkiem. Smith dotknął ramienia Schaffera i obaj wycofali się do pokoju, gdzie oczekująca ich Mary zamknęła za nimi drzwi.

– Wygląda na nieskomplikowaną operację – powiedział Schaffer. – Mówię o urządzeniu tej maszynki tak, żeby już nie pofrunęła. Podchodzę do głównej bramy, obezwładniam czterech wartowników, duszę cztery dobermany pinczery, unieszkodliwiam parę innych uzbrojonych typów, którzy, zdaje się, patrolują bez przerwy plac, obezwładniam około dwudziestu żołnierzy, którzy, zdaje się, popijają sobie vis à vis piwko w czymś w rodzaju kantyny, pozbywam się gościa, który pracuje nad silnikiem, i wtedy dopiero zabieram się do helikoptera. A już samo unieruchomienie maszyny to żaden problem, no nie?

– Coś wymyślimy – powiedział uspokajająco Smith.

– Jasne, że coś wymyślisz – odparł Schaffer zachmurzony. – Tego się właśnie obawiam.

– Szkoda czasu. Nie będziemy już tego potrzebować.

Smith złożył plan zamku, wręczył go Mary, a kiedy wkładała go do torebki, zmarszczył brwi.

– Nie jesteś przecież głupia. Liliput! Powinnaś nosić go przy sobie, nie w torebce. Masz. – Wręczył jej mausera, którego zabrał pułkownikowi Weissnerowi. – To do torebki. A liliputa schowaj pod ubraniem.

– Schowam go już u siebie w pokoju – odrzekła ściągając usta.

– Ach ci pożądlivi jankescy porucznicy, których wszędzie pełno – powiedział Schaffer ze smutkiem. – Bogu dzięki, że jestem odmienionym człowiekiem.

– Jego dusza skłania się ku wyższym rzeczom – wyjaśnił Smith. Spojrzał na zegarek. – Daj nam trzydzieści minut.

Wyśliznąwszy się ostrożnie przez drzwi poszli różnym i pewnym krokiem korytarzem, wcale nie próbując się kryć. Smith wywijał niedbale torbę ze schmeisserami, liną, granatami i materiałami wybuchowymi. Minęli żołnierza w okularach niosącego plik papierów, dziewczynę z zastawioną tacą, ale żadne nie zwróciło na nich najmniejszej uwagi. Na końcu korytarza skręcili w prawo, doszli do krętych schodów i zeszli trzy piętra w dół, docierając na poziom dziedzińca. Krótkie, szerokie przejście z dwoma parami drzwi po każdej stronie zawiodło ich do głównego wyjścia na dziedziniec.

Smith otworzył drzwi i wyrżał. Dziedziniec wyglądał właśnie tak, jak to z przejściem opisał Schaffer. Kręciło się tam stanowczo za dużo uzbrojonych strażników i psów policyjnych, żeby można było zachować spokój duszy. Mechanik w kombinezonie nadal pracował przy silniku helikoptera. Smith zamknął cicho drzwi na dziedziniec i przeniósł uwagę na najbliższe drzwi po prawej stronie korytarza. Były zamknięte na klucz.

– Stań przy końcu przejścia i miej oczy otwarte – powiedział do Schaffera.

Schaffer odszedł. Gdy tylko zajął wyznaczone miejsce, Smith wyciągnął wytrychy. Trzeci z kolei pasował i drzwi ustąpiły za naciśnięciem klamki. Dał znak Schafferowi, żeby wrócił.

Zamknawszy za sobą drzwi na klucz, rozejrzeli się po pomieszczeniu. Było słabo, lecz dla ich celów wystarczająco oświetlone poświatą wpadającą z dziedzińca przez nie osłonięte żaluzjami okno. Najwyraźniej była to siedziba zamkowej służby przeciwpożarowej. Na ścianach wisiały zwoje węży, azbestowe ubrania, hełmy i toporki strażackie, a na podłodze sporo miejsca zajmowały ręczne pompy na kołach, gaśnice śniegowe i najrozmaitsze mniejsze gaśnice do gaszenia pożarów ropy lub elektrycznych.

– Idealnie – mruknął Smith.

– Trudno o coś lepszego – zgodził się Schaffer. – A o czym mówisz?

– Jeżeli kogoś tu zostawimy, to prawdopodobnie nie znajdą go, chyba że naprawdę wybuchnie pożar – wyjaśnił Smith. – Zgadza się? Więc tak. – Ujął Schaffera pod ramię i podprowadził do okna. – Ten młodzian przy helikopterze jest mniej więcej twojego wzrostu, zgodzisz się?

– Skąd mogę wiedzieć – rzekł Schaffer. – Ale jeżeli masz na myśli to, co podejrzewam, to wcale nie chcę o tym wiedzieć.

Smith zaciągnął żaluzję, podszedł do drzwi i zapalił górne światło.

– Masz lepszy pomysł?

– Daj mi trochę czasu – powiedział Schaffer z wymówką.

– Nie mogę dać ci czegoś, czego nie mamy. Ściągaj bluzę i stawaj z lugerem wycelowanym w drzwi. Zaraz wracam.

Smith opuścił pokój zamykając drzwi, ale nie na klucz. Wyszedł przez drzwi

z korytarza na dziedziniec, zrobił kilka kroków, zatrzymał się u stóp drabinki prowadzącej do helikoptera i spojrzał w górę na pracującego tam człowieka, wysokiego, długonogiego mężczyznę o szczupłej, inteligentnej twarzy i ponurej minie. Przyszło mu na myśl, że gdyby on sam pracował z gołymi rękami na takim mrozie używając metalowych narzędzi, to też miałby ponury wyraz twarzy.

– Pan jest pilotem? – zapytał.

– Nie spodziewałby się pan, prawda? – rzekł z goryczą mężczyzna w kombinezonie. Odłożył klucz i chuchnął w dłonie. – W Tempelhof mam dwóch mechaników do tej maszyny, jeden to parobek ze Szwabii, a drugi jest pomocnikiem kowala z Harzu. Jeżeli chcę się utrzymać przy życiu, to muszę sam sobie być za mechanika. Czego pan sobie życzy?

– Nie ja. Marszałek Rosemeyer. Telefon.

– Marszałek? – Pilot był zaskoczony. – Rozmawiałem z nim nie dalej jak przed kwadransem.

– Dzwoniono właśnie z Kancelarii Rzeszy w Berlinie. Zdaje się, że to pilne. – Smith postarał się, żeby w jego głosie zabrzmiała nutka zniecierpliwienia. – Niech się pan pośpieszy. Główne drzwi, potem pierwsze na prawo.

Odsunął się, żeby przepuścić schodzącego pilota, i rozejrzał się niedbale dookoła. Ze sześć metrów od nich stał strażnik z dobermanem na smyczy, ale wcale się nimi nie interesował. Sinawą, ściągniętą mrozem twarz wcisnął głęboko w postawiony kołnierz, a ręce wepchnął do kieszeni płaszcza. Para, którą wydychał, wisiała gęsto w powietrzu, a on sam był zbyt zajęty rozważaniem własnych niedoli, żeby mieć jeszcze czas na niedorzeczne podejrzenia. Smith odwrócił się, podążył za pilotem przez główne wejście, dyskretnie wydobyl z futerału lugera i chwycił go za lufę.

Nie zamierzał powalać pilota kolbą pistoletu, ale nie miał innego wyjścia. Ledwo pilot przekroczył boczne drzwi i ujrzał Schaffera celującego lugerem w jego pierś z odległości półtora metra, uniósł ramiona, jednakże Smith wiedział, że nie jest to zapowiedź ataku czy oporu, tylko wołania o pomoc. Gdy pilot padał, Schaffer złapał go i ułożył na podłodze.

Szybko ściągnęli kombinezon z nieprzytomnego mężczyzny, związali go, zakneblowali i zostawili leżącego w kącie. Nie można powiedzieć, żeby kombinezon świetnie leżał na Schafferze, ale w końcu kombinezony mało na kim świetnie leżą. Zamieniwszy swoją czapkę na czapkę pilota Schaffer nacisnął ją głęboko na oczy i wyszedł.

Smith zgasił światło, odsłonił okno, zamknął jego dolne skrzydło i z lugerem w dłoni cofnął się na tyle, żeby nie być widocznym z zewnątrz. Schaffer wspinał się po drabince do helikoptera. Strażnik znajdował się teraz zaledwie metr od jej stóp. Nie trzymał już rąk

w kieszeniach, tylko zabijał nimi, próbując się rozgrzać.

Pół minuty później Schaffer zszedł po drabince trzymając w lewym ręku jakieś części mechanizmu. Stał na ziemi, podniósł jedną z nich, żeby jej się lepiej przyjrzeć, potrząsnął głową z obrzydzeniem, uniósł prawą rękę niby to pozdrawiając obojętnego niemieckiego strażnika i skierował się z powrotem do głównego wejścia. Zanim doszedł do magazynu przeciwpożarowego, Smith zdążył zasunąć żaluzje i zapalić światło.

– Szybko – powiedział z uznaniem.

– Strach dodał mu skrzydeł, jak powiadają – odparł kwaśno Schaffer. – Zawsze jestem szybki, kiedy się denerwuję. Widziałeś, jakie zębiska miał ten wielki zaśliniony potwór? – Uniósł przyniesioną część, żeby ją zademonstrować, upuścił na podłogę i zgniótł obcasem. – Kopuszka rozdzielacza. Założę się, że nie mają drugiej takiej w całej Bawarii. Nie do tego silnika. A teraz pewnie chcesz, żebym poszedł i wcielił się w telefonistę.

– Nie. Nie chcielibyśmy całkiem wyczerpać twoich tepsiańskich mocy.

– Mojego czego? – spytał podejrzliwie Schaffer. – To brzmi jak słony kawał.

– Twoich aktorskich możliwości. Zagrasz dziś jeszcze tylko jedną rolę, rolę porucznika Schaffera z amerykańskiego wywiadu prostodusznego Amerykanina za granicą.

– To nie powinno być zbyt trudne – rzekł Schaffer z goryczą. Ułożył dopiero co zdjęty kombinezon na nieprzytomnym pilocie. – Zimna noc – wyjaśnił. – A zatem, do centrali telefonicznej.

– Zaraz. Najpierw chciałbym sprawdzić, do czego doszli z naszym Carnaby-Jonesem. Chodźmy zobaczyć.

Dwa piętra wyżej, w połowie górnego korytarza, Smith zatrzymał się przed jakimiś drzwiami. Skinął głową i Schaffer sięgnął do kontaktu. Na korytarzu, z wyjątkiem słabej poświaty po obu jego końcach, zapanowały ciemności. Smith delikatnie nacisnął klamkę i cicho uchylił drzwi. Czterdzieści centymetrów, nie więcej. Obaj prędko wśliznęli się przez wąską szparę i Smith szybko i bezgłośnie zamknął drzwi.

Salon, jeśli można nazwać salonem tak ogromną salę, miał co najmniej dwadzieścia metrów długości i dziesięć szerokości. W porównaniu z jego przeciwnym końcem, oświetlonym jasno ciepłym światłem trzech wielkich żyrandoli, ten, w którym się znajdowali, spowijały niemal całkowite ciemności. Nie stali na samej podłodze, ale na podwyższeniu wznoszącym się na kilka metrów. Była to masywna groteskowo rzeźbiona dębowa galeria dla minstreli, ciągnąca się w tym końcu sali przez całą szerokość i biegnąca jeszcze wzdłuż bocznych ścian chyba do jednej czwartej ich długości. Po jednej stronie drzwi, przez które weszli, stały rzędy drewnianych ław i organy, a po drugiej bateria organowych piszczałek. Ktokolwiek projektował to wnętrze, z pewnością lubił ów

instrument i chóralny śpiew, a może tak mu się tylko zdawało. Z przodu, pośrodku galerii, naprzeciw tylnych drzwi znajdowały się schody z balustradą o misternie spiralnie rzeźbionych balaskach prowadzące w dół, niewątpliwie do złotej komnaty.

Smith pomyślał, że to trafna nazwa. W komnacie wszystko było ze złota, złotego koloru albo pozłacane. Olbrzymi ścielący się od ściany do ściany dywan był ciemnozłoty, a na widok jego puszystości zzieleniałby z zazdrości polarny niedźwiedź. Ciężkie, barokowe meble, całe w poskręcanych węzłach i głowach maskaronów, były pozłacane, a wielkie kanapy i fotele obite matowozłotą lamą. Pozłacane były też żyrandole, a ponad olbrzymim, białym, wykładanym złożonymi płytkami kominkiem, na którym płonęły z trzaskiem sosnowe kłody, wisiało niemal równie olbrzymie, białe, pozłacane lustro. Wielkie, ciężkie zasłony sprawiały wrażenie nabitych złotem. Tylko sięgająca sufitu dębowa boazeria była nieporozumieniem, ponieważ wciąż uparcie wyglądała na dębową boazerię; być może starła się pokrywająca ją wcześniej złota farba. Smith doszedł do wniosku, że w sumie jest to sala, której projekt mógł się zrodzić tylko w głowie szalonego bawarskiego monarchy, ale pewnie nawet on w niej nie mieszkał.

Wokół dużego kominka rozsiadło się wygodnie trzech mężczyzn. Wszystko wskazywało na to, że odbywali przyjacielską pogawędkę po kolacji, przy kawie i koniaku, które na nieuchronnie złotej tacy serwowała im Anne-Marie. Anne-Marie, podobnie jak boazeria, nie spełniała oczekiwań, rozczarowywała: zamiast złotej kreacji z lamy miała na sobie długą, białą, obcisłą jedwabną suknię, która, trzeba przyznać, świetnie pasowała do jej blond włosów i opalenizny. Wyglądała, jakby właśnie wybierała się do opery.

Smith nie znał odwróconego plecami mężczyzny, ale ponieważ natychmiast rozpoznał, kim są pozostali, wiedział, że musi to być pułkownik Paul Kramer, zastępca szefa niemieckiej służby wywiadowczej, uważany przez Anglików za człowieka o najbłyskotliwszym i najpotężniejszym umyśle w całym niemieckim wywiadzie. Wiedział też, że jest to człowiek, przed którym trzeba się mieć na baczności i którego należy się bać. Opowiadano o Kramerze, że nigdy nie popełnia dwa razy tego samego błędu, a także, że nikt nie może sobie przypomnieć, kiedy ostatnio popełnił jakiś nowy.

Kiedy Smith mu się przyglądał, pułkownik Kramer drgnął, dolał sobie trochę koniaku ze stojącej obok butelki napoleona i najpierw spojrzął na siedzącego po jego lewej ręce wysokiego, podstarzałego, lecz nadal przystojnego mężczyznę w mundurze marszałka Wehrmachtu, którego twarz była właśnie mocno zachmurzona, a potem na siedzącą naprzeciw szpakowatą i bardzo dystyngowaną wyglądającą postać w mundurze generała porucznika armii Stanów Zjednoczonych. Bez liczydła pod ręką trudno było orzec, który z dwóch wysokich oficerów jest obficie udekorowany.

Kramer przełknął koniak i rzekł znużonym głosem:

– Bardzo mi pan utrudnia sprawę, generale Carnaby. Naprawdę bardzo.

– Sam pan stworzył wszystkie trudności, drogi pułkowniku – rzekł swobodnie Cartwright Jones. – Pan i obecny tu generał Rosemeyer... W rzeczywistości żadnych trudności nie ma. Czy mógłbym prosić o jeszcze trochę tego wyśmienitego koniaku, moja droga – zwrócił się z uśmiechem do Anne-Marie. – Daję słowo, czegoś takiego próżno szukać w naszym naczelnym dowództwie. Możecie sobie być odcięci od świata w waszej alpejskiej reducie, ale umiecie sobie dogadzać.

W mrocznej głębi galerii minstreli Schaffer szturchnął Smitha łokciem.

– Co im z tego, że stary Carnaby-Jones żłopie napoleona? – zamruczał oburzony. – Dlaczego nie obraca się na różnie albo nie śpiewa po zastrzyku skopolaminy?

– Szszsz! – Szturchnięcie Smitha było o wiele mocniejsze i bardziej autorytatywne niż Schaffera.

Jones podziękował uśmiechem, gdy Anne-Marie dołała mu koniaku, łyknął trochę, westchnął zadowolony i mówił dalej:

– A może zapomniał pan, generale Rosemeyer, że Niemcy są również sygnatariuszami konwencji haskiej?

– Nie zapomniałem – powiedział Rosemeyer wymuszonym tonem – i gdyby to ode mnie zależało... Mam związane ręce, panie generale. Otrzymałem w Berlinie rozkazy.

– Więc może pan powiedzieć w Berlinie wszystko to, co mają prawo wiedzieć – powiedział gładko Jones. – Nazywam się George Carnaby. Jestem generałem... generałem porucznikiem Armii Stanów Zjednoczonych.

– A także głównym koordynatorem planów Drugiego Frontu – dodał ponuro Rosemeyer.

– Drugiego Frontu? – spytał z zaciekawieniem Jones. – A co to jest?

– Panie generale – powiedział ciężkim głosem i z całą powagą Rosemeyer. – Zrobiłem wszystko, co mogłem. Musi mi pan wierzyć. Od trzydziestu sześciu godzin powstrzymuję Berlin. Przekonywałem... usiłowałem przekonać naczelne dowództwo, że sam fakt schwytania pana zmusi aliantów do zmiany wszystkich planów inwazji. Ale to, jak widać, nie wystarczyło. Po raz ostatni, czy mógłbym prosić...

– Nazywam się George Carnaby – przerwał spokojnie Jones. – Jestem generałem Armii Stanów Zjednoczonych.

– Niczego innego nie oczekiwałem – przyznał zmęczonym głosem Rosemeyer. – Jak mógłbym się spodziewać innej postawy po wyższym oficerze armii? Obawiam się, że decyzja w pańskiej sprawie należy teraz do pułkownika Kramera.

Jones znów łyknął trochę koniaku i obrzucił Kramera zamyślonym spojrzeniem.

– Zdaje się, że pan pułkownik również nie jest tym zachwycony.

– Nie jestem – przyznał Kramer. – Ale decyzja w tej sprawie nie należy także do mnie. Ja też mam swoje rozkazy. Anne-Marie zajmie się resztą.

– Ta czarująca młoda dama? – zdziwił się grzecznie Jones. – Maestro zginięcia palców?

– Strzykawki – rzekł krótko Kramer. – Była kiedyś wykwalifikowaną pielęgniarką. – Na dźwięk dzwonka podniósł znajdującą się obok słuchawkę. – Tak? Ooo! Oczywiście zostali zrewidowani? Świetnie. Natychmiast. – Spojrzał na Jonesa. – No, no, no, spodziewamy się interesującego towarzystwa, panie generale. Naprawdę bardzo interesującego. Spadochroniarze. Pańska ekipa ratownicza. Jestem przekonany, że z radością się poznacie.

– Doprawdy nie potrafię sobie wyobrazić, o czym pan mówi – powiedział leniwie Jones.

– Ekipę ratowniczą już widzieliśmy – wymruczał Smith do Schaffera. – I z pewnością wkrótce odnowimy stare znajomości. Chodź.

– Jak to? Teraz? – Schaffer gwałtownie wskazał kciukiem w stronę Jonesa. – Akurat kiedy mają zamiar się do niego dobrać?

– Brak ci obycia, Schaffer – szepnął Smith. – To są ludzie cywilizowani. Najpierw skończą koniak. Potem zaczną działać.

– Wszystko się zgadza – powiedział Schaffer. – Jestem z Montany.

Obaj wyszli tak cicho, jak przyszli, i równie cicho zamknęli za sobą drzwi. Światło mającące po obu stronach korytarza pozwoliło im stwierdzić, że nie ma tu nikogo. Smith włączył oświetlenie. Poszli spiesznie korytarzem, zlecieli po schodach piętro niżej, skęcili w lewo i stanęli przed drzwiami z napisem „*Telefon Centrale*”

– Centrala telefoniczna – powiedział Schaffer.

Smith potrząsnął z podziwem głową, przyłożył ucho do drzwi, przyklął na jedno kolano, zerknął przez dziurkę od klucza i nie zmieniając pozycji delikatnie nacisnął klamkę. Jeżeli zrobił przy tym jakiś hałas, to zagłuszył go stłumiony głos kogoś rozmawiającego przez telefon. Drzwi były zamknięte na klucz. Smith powoli puścił klamkę, wyprostował się i potrząsnął głową.

– Banda podejrzliwych drani – powiedział z goryczą Schaffer. – Wytrychy?

– Telefonista mógłby nas usłyszeć. Sąsiednie drzwi.

Sąsiednie drzwi nie były zamknięte na klucz. Ustąpiły, kiedy Smith nacisnął klamkę. Znajdujący się za nimi pokój był zupełnie ciemny i wyglądał na pusty.

– *Moment, bitte!* – rozległ się za nimi zimny głos.

Szybko, lecz nie za szybko, Smith i Schaffer odwrócili się. Metr dalej stał żołnierz, trzymając poziomo pistolet maszynowy i z wyraźną podejrzliwością przenosząc oczy z obu

mężczyzn na torbę z ekwipunkiem w rękę Smitha. Smith wlepił w żołnierza wzrok i rozkazującym gestem unióśł palec do ust.

– *Dummkopf!* – przemówił cichym wściekłym szeptem przez zaciśnięte zęby. – *Silenz! Engländer!*

Odwrócił się ze zniecierpliwieniem i zajął w napięciu przez uchylone drzwi. Ponownie władczo podniósł dłoń nakazując ciszę. Po kilku sekundach wyprostował się zaciskając usta, spojrzał znacząco na Schaffera i odsunął się nieco na bok. Schaffer zajął jego miejsce i teraz on z kolei zaczął zerkać do środka. Smith zauważył, że podejrzliwość na twarzy żołnierza ustępuje miejsca ciekawości.

– Mój Boże, co mamy robić – spytał Schaffer cicho prostując się.

– Nie wiem – wyszeptał Smith zmartwionym tonem. – Pułkownik Kramer powiedział, że chce ich żywych. Ale...

– O co chodzi? – zapytał żołnierz równie cicho jak oni. Wzmianka o pułkowniku Kramerze rozwiła resztki jego podejrzeń. – Kto tam jest?

– Jeszcze tu jesteś? – zirytował się Smith. – No dobrze, dalej, zajrzyj sobie. Ale szybko!

Żołnierz z twarzą i oczami płonącymi wielką ciekawością a także czymś, co mogło być marzeniem o szybkim awansie, przesunął się na palcach i zajął miejsce, które uprzejmie zwolnił Schaffer, żeby dać mu zajrzeć. Dwa wbijające się jednocześnie w jego skronie lugery skutecznie położyły kres wszelkim marzeniom o szybkim awansie, które być może pieścił przez krótką chwilę. Wepchnięto go potykającego się do pokoju i zanim zdążył się podnieść i odwrócić, drzwi były zamknięte, światło zapalone, a oba pistolety wycelowane w jego głowę.

– To, co widzisz na naszych pistoletach, to tłumiki – powiedział cicho Smith. – Nie ma bohaterstwa, nie ma strzelania. Inna rzecz umrzeć za ojczyznę, a całkiem inna, i to bardzo głupia, umrzeć niepotrzebnie i bez powodu. Zgadzasz się?

Żołnierz spojrzał na nich, rozważył swoje szanse, przyjął do wiadomości, że nie ma żadnych, i potaknął skinieniem głowy. Schaffer wyciągnął kawałek liny i powiedział:

– Jesteś być może zbyt gorliwy, synu, ale nie głupi. Połóż się i weź ręce do tyłu.

Smith stwierdził, że mały, obstawiony metalowymi półkami i kartotekami pokój jest czymś w rodzaju magazynu urzędowych akt. Możliwość, że ktoś tu przyjdzie, była niewielka, ale i tak musieli podjąć ryzyko. Smith odczekał, aż Schaffer zwiąże i zaknebluje jeńca, odłożył lugera, pomógł przywiązać żołnierza do dwóch metalowych prętów podtrzymujących półki, obrócił się ku oknu, podsunął dolne skrzydło i wyjrzał.

Przed nim ku północy rozciągała się dolina, a przez bardzo łagodnie sypiący śnieg widać było światła wsi i dymiące zgliszczka stacji kolejowej. Spojrzał w prawo. Oświetlone

okno centrali telefonicznej znajdowało się w odległości zaledwie półtora metra. Wychodził przez nie i opadał po zamkowym murze w ciemność gruby kabel w ołowianej osłonie przymocowany do prawie równie grubego drutu.

– To ten? – Schaffer stał już przy Smithie.

– Ten. Podaj linę.

Wsunąwszy nogi w podwójną pętlę i wyczołgawszy się przez parapet Smith ostrożnie opuścił się na długość rąk, a Schaffer, który stał przy oknie z liną owiniętą wokół stojaka podpierającego półki, wziął na siebie jego ciężar. Kiedy Smith oderwał się od parapetu, Schaffer spuścił go, podrygującego na linie, ze trzy, trzy i pół metra. Z pomocą wolnej ręki i obu nóg Smith odbijał się od ściany rozhuśtując się wzdłuż muru, a Schaffer pomagał mu z góry nabrać rozmachu. Za piątym razem udało mu się zahaczyć palcami lewej ręki o ołowiany kabel i drut. Schaffer zmniejszył naciąg liny. Smith objął kabel dłońmi i wspinając się szybko przebył odległość dzielącą go od okna. Był prawie pewien, ale tylko prawie, że ołowiany kabel, którego się trzyma, to zbiorcza linia telefoniczna; nie miał ochoty przecinać nożem przewodów wysokiego napięcia.

Ostrożnie zapuścił wzrok za parapet i zobaczył, że siedzący na wprost niego telefonista jest zwrócony plecami do okna i z ożywieniem rozmawia przez telefon. Uniósł się jeszcze o piętnaście centymetrów i dostrzegł kabel, na oko dokładnie tej samej grubości jak ten, który miał w ręku. Biegł on wzdłuż listwy podłogowej do jakiegoś punktu za centralą i tam znikał. Opuściwszy się o metr Smith lewą ręką chwycił mocno kabel i drut, kilka centymetrów niżej włożył pomiędzy nie czubek noża i zaczął piłować. Kilkanaście silnych pociągnięć i kabel był przecięty.

Smith wsunął nóż do pochwy, znów podciągnął się w górę i jeszcze raz zajrzał przez okno. Telefonista nadal był ożywiony, ale tym razem nic nie mówił, tylko zaciekle kręcił korbką z boku centrali. Po kilku sekundach tej nieopłacalnej gimnastyki dał za wygraną i po prostu siedział gapiąc się na łącznicę telefoniczną i potrząsając w zdumieniu głową. Smith dał znak Schafferowi, puścił kabel i zakołysał się przy murze.

Po raz dziesiąty w ciągu niespełna dziesięciu minut Mary spojrzała na zegarek, nerwowo zgasła wypalonego do połowy papierosa, wstała z krzesła, otworzyła torebkę, sprawdziła, czy mauser jest zabezpieczony, zamknęła torebkę i przeszła przez pokój. Właśnie nacisnęła klamkę i zaczęła otwierać drzwi, gdy ktoś zapukał. Zawahała się, spojrzała na torebkę i z dzikim wyrazem oczu rozejrzała się po pokoju szukając miejsca, w którym mogłaby ją ukryć. Ale było za późno, żeby ukryć cokolwiek. Drzwi otworzyły się i stanął w nich radośnie uśmiechnięty von Brauchitsch.

– Ach, Fräulein! – Spojrzał na torebkę i znów się uśmiechnął. – Ależ ze mnie

szczęściarz! Zjawiam się w samą porę, żeby odprowadzić panią, dokądkolwiek pani się wybiera.

– Odprowadzić... – Urwała i uśmiechnęła się. – Moja sprawa jest całkiem bez znaczenia. Może poczekać. Chciał pan się ze mną zobaczyć, kapitanie?

– Naturalnie.

– W związku z czym?

– Ona się pyta, w związku z czym! Z niczym, i tyle. Chyba że niczym nazywa pani siebie. Po prostu, żeby się z panią zobaczyć. Czy to zbrodnia? Najładniejsza dziewczyna, jaką tu widzieliśmy... – Ten wiecznie uśmiechający się człowiek znowu się uśmiechnął i ujął ją pod rękę. – Idziemy na kawę. Taka odrobina bawarskiej gościnności. Mamy tutaj zbrojownię, którą przerobiono na najprzedniejszą *Kaffeestube*...

– A co... z moimi obowiązkami? – spytała Mary niepewnie. – Muszę się zobaczyć z sekretarką pułkownika...

– A, z nią! Niech poczeka! – Głos von Brauchitscha był wyraźnie pozbawiony serdeczności. – Pani i ja mamy sobie dużo do powiedzenia.

– Naprawdę? – Nie sposób było oprzeć się zaraźliwemu uśmiechowi i nie odpowiedzieć tym samym. – Na przykład?

– O Düsseldorfie.

– O Düsseldorfie?

– Oczywiście. To jest także moje rodzinne miasto.

– Także pana rodzinne miasto! – Znów się uśmiechnęła i leciutko uścisnęła jego ramię. – Jaki ten świat mały. Ach, jak mi będzie miło.

Idąc przy nim zastanawiała się mgliście, jak można ciągle się uśmiechać, mając wewnątrz grobowy chłód.

Po raz drugi w ciągu kwadransa Smith i Schaffer zatrzymali się przed drzwiami złotej komnaty wiodącymi na galerię minstreli, zgasili światło w korytarzu, odczekali chwilę nasłuchując i cicho wśliznęli się do środka. Tym razem jednak Smith sięgnął przez szparę w uchylonych drzwiach na korytarz i ponownie zapalił światło. Przewidywał, że nie będzie już wtedy wchodził ani tej, ani żadnej innej nocy, a nie pragnął wzbudzać choćby najmniejszych podejrzeń. Ich życie zależało bowiem od nieskończonego dokładnego rozważenia wszystkich możliwych niebezpieczeństw, bez względu na to, jak odległe mogły się wydawać.

Tym razem Smith i Schaffer nie zatrzymali się w głębi galerii. Posuwając się wolno doszli do szczytu szerokich schodów biegnących w dół ku podłodze złotej komnaty i usiedli w pierwszym rzędzie dębowych ław, po przeciwnych stronach przejścia. Zatopieni w głębokim mroku, byli nadal całkowicie niewidoczni z dołu.

Smith pomyślał, że zapasy ekstra koniaku pułkownika Kramera tej nocy zdecydowanie mocno ucierpiały. Do pułkownika, marszałka Rosemeyera, Jonesa i Anne-Marie przyłączyły się bowiem trzy inne osoby: Carraciola, Thomas i Christiansen. Ci trzej nie byli już skuci kajdankami ani pod liczną strażą. Wprost przeciwnie, nie było śladu po strażnikach, a cała trójka zupełnie rozluźniona siedziała na jednej z masywnych, obitych złotą lamą kanap, trzymając w dłoniach kieliszki napelnione, i to hojnie, koniakiem. Nawet Anne-Marie miała kieliszek. Wyglądało na to, że nadarzyła się wyjątkowa okazja do świętowania.

Kramer uniósł swój kieliszek w stronę trzech mężczyzn na kanapie.

– Wasze zdrowie, panowie. Wasze zdrowie. – Zwrócił się do marszałka Rosemeyera. – Trzech spośród najlepszych w całej Europie.

– Przypuszczam, że są niezbędni – rzekł z niechęcią zrezygnowany Rosemeyer. – Przynajmniej ich odwaga nie ulega wątpliwości. Wasze zdrowie, panowie.

– Wasze zdrowie, panowie – powtórzył z goryczą Jones. Nie wstając z fotela wychylił się naprzód i rzucił swój kieliszek w ogień. Szkło roztrzaskało się i na krótko, gdy zapalił się koniak, wystrzela język płomienia. – Oto w jaki sposób piję zdrowie podwójnych agentów.

Schaffer przechylił się ponad przejściem i szepnął:

– Zdawało mi się, że mówiłeś, że on źle gra?

– Nigdy dotąd nie dostał dwudziestu pięciu kawałków za jeden wieczór – odparł Smith z sarkazmem.

– Ho, ho, generale. Najlepsze weneckie szkło. – Kramer z dezaprobatą potrząsnął

głową, a potem uśmiechnął się. – Jednakże jest to zrozumiały przyływ rozdrażnienia. Skoro pańscy bohaterscy wybawcy okazują się, cóż... ptaszkami w cudzych piórkach.

– Podwójni agenci! – Wyrażając swoją pogardę Jones niemal wypluł te słowa.

Kramer ponownie uśmiechnął się wyrozumiale i zwrócił się do trójki na kanapie.

– A podróż powrotna, panowie? Równie dobrze zorganizowana jak przejazd w tę stronę?

– To właściwie jedyna rzecz, o której ten milczek nam powiedział – rzekł Carraciola z niejaką goryczą. – Ma przylecieć po nas bombowiec Mosquito. Do Salen, małej wioski na północ od Frauenfeld w Szwajcarii. Tuż na północ od Salen znajduje się małe cywilne lotnisko.

Schaffer znów pochylił się ponad przejściem i szepnął z podziwem:

– Rzeczywiście jesteście strasznym kłamcą.

– A więc z Salen – mówił właśnie Kramer. – Dobrze je znamy. Szwajcarzy świetnie potrafią odwracać oczy, kiedy to im odpowiada. Ale mamy swoje powody, dla których jest nam wygodniej zbyt ostro nie protestować. Dziwne rzeczy dzieją się w Salen... No cóż. Krótki meldunek do Londynu. Ustalenie godzin kontaktów radiowych i tak dalej. Następnie helikopterem do granicy – o ileż to łatwiej niż piechotą, panowie – pontonem przez Ren, a potem krótki spacer. Ani się obejrzyjecie, jak będziecie z powrotem w Whitehallu meldując przewiezienie generała Carnaby'ego do Berlina.

– Z powrotem w Londynie? – Thomas wolno potrząsnął głową i rzekł z naciskiem: – Za żadne skarby, pułkowniku. Przecież Smith i ten jankes są jeszcze na wolności. A co, jeżeli dowiedzą się prawdy? A co, jeżeli nie zostaną schwytani? A co, jeżeli zawiadomią Londyn...?

– Za kogo pan nas ma? – powiedział Kramer ze znużeniem. – Zameldujecie też oczywiście o nieszczęśliwym zgonie waszego dowódcy. Kiedy natrafiliśmy w przechowalni bagażu na to jeszcze ciepłe radio, natychmiast spuściliśmy psy gończe z koszar. Ostatni posługiwał się nim wasz major Smith i pozostawił całkiem wyraźny ślad. Psy poszły jego tropem wschodnią stroną wsi aż do garażu, a potem do dolnej stacji *Luftseilbahn*.

– Kolejki linowej? – spytał Thomas ze szczerym niedowierzaniem.

– Kolejki linowej. Nasz major Smith jest albo bardzo lekkomyślnym, albo bardzo niebezpiecznym człowiekiem. Muszę przyznać, że nic nie wiem na jego temat. I tam, przy dolnej stacji, psy straciły trop. Przewodnicy okrążyli ją z nimi, a potem wprowadzili je do wagonika. Ale trop był słaby. Wydawało się, że nasza zwierzyna rozplynęła się w powietrzu. I właśnie wtedy jeden z poszukujących wpadł na oryginalny pomysł przeszukania owego, żeby tak rzec, powietrza. Wspiął się na dach stacji, obejrzał go i – co

za niespodzianka – znalazł tam bezsporne ślady na śniegu i lodzie wskazujące, że przed nim było już tam dwóch ludzi. Stąd jedynym logicznym posunięciem było zbadanie dachu samego wagonika i jak należało oczekiwać...

– Są na zamku! – wykrzyknął Carraciola.

– I już się stąd nie wydostaną. – Pułkownik Kramer rozparł się wygodnie w fotelu. – Nie obawiajcie się, panowie. Wszystkie wyjścia są obstawione, łącznie z górną stacją kolejki. Podwoiliśmy strażę wokół zamku, a reszta żołnierzy zaczęła właśnie przeszukiwać piętro po piętrze.

W mrokach galerii minstreli Smith i Schaffer wymienili pełne namysłu spojrzenia.

– Sam nie wiem – powiedział niepewnie Thomas. – To jest pomysłowy drań...

Kramer uniósł rękę.

– Piętnaście minut. Wynik gwarantowany. – Przeniósł wzrok na Jonesa. – Nie udaję, że sprawia mi to przyjemność, panie generale, ale czy możemy podać panu... hmm... lekarstwo?

Jones wlepił oczy w Carraciolę, Christiansena i Thomasa i powiedział bardzo wolno i wyraźnie:

– Wy... cholerne... świnię!

– To wbrew wszelkim moim zasadom, generale Carnaby – odezwał się z wysiłkiem Rosemeyer. – Ale gdybyśmy tylko mogli Uniknąć użycia siły...

– Zasadom?! Niedobrze mi się robi od pańskich zasad! – Jones wstał i z gardła dobyły mu się zduszone dźwięki. – Do diabła z wami wszystkimi! Konwencja haska! Zasady! Oficerowie i dżentelmeni cholerniej Trzeciej Rzeszy! – Zerwał z siebie bluzę munduru, podwinął rękaw i usiadł z powrotem.

Na krótko zapanowała niezręczna cisza, po czym Kramer skinął na Anne-Marie, a ta odstawiła swój kieliszek i podeszła do bocznych drzwi. Dla każdego było oczywiste, że Anne-Marie nie czuje się ani trochę nieswojo. Półuśmiechem wyrażała tyle przyjemnego wyczekiwania, na ile mogła sobie pozwolić w obecności Kramera i Rosemeyera.

Smith i Schaffer ponownie wymienili spojrzenia, tym razem nie zamyślane, lecz spojrzenia ludzi, którzy wiedzą, co robić i są na to zdecydowani. Ostrożnie, po cichu, wysunęli się z przeznaczonych dla chóru stali, poprawili rzemienie przy zarzuconych na ramię schmeisserach, tak że znalazły się w pozycji poziomej, a potem zaczęli wolno schodzić po schodach w znacznym od siebie odstępach i jak najbliżej swoich poręczy, aby do minimum zmniejszyć niebezpieczeństwo skrzyknięcia.

Byli w połowie schodów i zaczęli właśnie wyłaniać się z mroków galerii, kiedy do komnaty powróciła Anne-Marie niosąc małą tackę z nierdzewnej stali. Na tacce leżały szklana fiolka, ampułka zawierająca jakiś bezbarwny płyn i strzykawka. Postawiła tackę na

podręcznym stoliku obok Jonesa i przełamała ampułkę, wlewając jej zawartość do fiolki.

Smith i Schaffer dotarli do podnóża schodów i posuwali się właśnie ku grupie siedzącej wokół kominka. Wyłonili się już zupełnie z cienia i byli widoczni dla każdego, kto by odwrócił głowę. Ale nikt taki się nie znalazł; wszyscy w złotej komnacie pochłonięci byli rozgrywającą się przed nimi sceną, obserwując z różnym stopniem fascynacji, jak Anne-Marie ostrożnie napełnia strzykawkę i podnosi ją dla sprawdzenia pod światło. Smith i Schaffer ciągle posuwali się naprzód stąpając bezszelestnie po przepysznie długim włosie złotego dywanu.

Ostrożnie, z zawodową sprawnością, wciąż ze śladem uśmiechu na ustach, Anne-Marie przetarła miejsce na przedramieniu Jonesa zmoczoną w alkoholu watką i – tu widzowie pochylili się nieświadomie w swoich siedzeniach – jedną ręką ujęła go za przegub, a drugą wzięła strzykawkę. Strzykawka zawisała nad przetartym miejscem i Anne-Marie odnalazła właściwą żyłę.

– Szkoda dobrej skopolaminy, moja droga – powiedział Smith. – Nic z niego nie wydobędziecie.

Po chwili martwej i pełnej niedowierzania ciszy strzykawka upadła bezgłośnie na dywan, a potem wszyscy odwrócili się nagle i wbili wzrok w dwie postacie, które zbliżały się z łagodnie kołyszącymi się pistoletami. Jak było do przewidzenia, pierwszy przyszedł do siebie i zareagował na najście pułkownik Kramer. Jego dłoń niemal niedostrzegalnym ruchem zaczęła przesuwać się w stronę guzika znajdującego się na płycie obok fotela.

– Guzik, pułkowniku – powiedział niedbale Smith. Powoli i niechętnie dłoń Kramera cofnęła się.

– Chociaż czemu nie? – ciągnął Smith serdecznym tonem. – Proszę bardzo, jeżeli pan sobie życzy.

Kramer spojrział zaskoczony i zmrużył podejrzliwie oczy.

– Przekona się pan, pułkowniku, że nie mierzę w pana – podjął Smith. – Mój pistolet mierzy w niego... – Broń zakołysała się w kierunku Carracioli. – W niego. – Przesunęła się na Thomasa. – W niego. – Wskazała Christiansena. – I w niego! – Obrócił się gwałtownie i wbił lufę schmeissera Schafferowi w zębra. – Rzuć broń! Ale już!

– Rzucić broń? – Schaffer wytrzeszczył na niego oczy wstrząśnięty, zmieszany i osłupiały. – Co jest, jak Boga... – Smith szybko postąpił naprzód i nie zmieniając chwytu gwałtownie podniósł lufę do góry i władował kolbę pistoletu Amerykaninowi w żołądek. Schaffer jęknął głucho, zgiął się wpół, chwycił obiema rękami za brzuch, a po paru sekundach zaczął się powoli prostować, z widocznym bólem. Wpatrując się w Smitha ciemnymi, dziko świecącymi oczami, zsunął z ramienia ramię i schmeisser upadł na dywan.

– Siadaj tam. – Smith lufą pistoletu wskazał fotel znajdujący się w połowie drogi pomiędzy fotelem Rosemeyera a kanapą, na której siedziała trójka mężczyzn.

– Ty przekłety, parszywy, wredny, kłamliwy... – Schaffer mówił wolno, zbolalym głosem.

– Tak właśnie o mnie mówią. Nie jesteś nawet oryginalny. – Pogarda w głosie Smitha ustąpiła groźbie. – Na tamten fotel, Schaffer.

Schaffer usiadł z trudem, gdzie mu rozkazano, i masując splot słoneczny powiedział:

– Ty... jeżeli dożyję stu lat...

– Jeżeli dożyjesz stu lat, nic mi nie zrobisz – powiedział Smith z lekceważeniem. – Wyrażając się twoim stylem, Schaffer, jesteś gnojek i to z gatunku nędznych. – Smith usadowił się wygodnie w fotelu obok pułkownika Kramera. – Łatwowierny Amerykanin – wyjaśnił niedbale. – Wziąłem go ze sobą dla urozmaicenia.

– Rozumiem – powiedział Kramer. Widać było jednak wyraźnie, że nic nie rozumie. – Gdybyśmy mogli usłyszeć wyjaśnienie... – ciągnął niepewnym tonem.

Smith uciszył go niedbałym gestem.

– Wszystko w swoim czasie, drogi pułkowniku, wszystko w swoim czasie. Jak już mówiłem, droga Anne-Marie...

– Skąd pan wie, że ma na imię Anne-Marie? – spytał ostro Kramer.

Smith uśmiechnął się tajemniczo i całkowicie ignorując pytanie mówił dalej;

– Jak już mówiłem, skopolamina to strata czasu. Da tylko to, jak wszyscy świetnie wiecie, że wyjdzie na jaw prawda o naszym przyjacielu, która brzmi, że nie jest on generałem porucznikiem George'em Carnabym, głównym koordynatorem planów Drugiego Frontu, tylko niejakim Cartwrightem Jonesem, amerykańskim aktorem, który za okrągłą sumę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów wcielił się w generała. – Spojrzał na Jonesa i skłonił się. – Gratuluję, panie Jones. Ta rola przynosi panu wielką chlubę. Szkoda, że resztę wojny będzie pan musiał spędzić w obozie koncentracyjnym.

Kramer i Rosemeyer zerwali się na równe nogi, a pozostała trójka wychyliła się mocno do przodu na kanapie; na wszystkich twarzach malował się niemal identyczny wyraz niedowierzania. Gdyby Cartwright Jones był pierwszym na ziemi gościem z kosmosu, w żadnym razie nie mógłby wzbudzić większej nieufności i konsternacji.

– Proszę, proszę – powiedział Smith z zaciekawieniem. – Co za niespodzianka, co za niespodzianka. – Postukał Kramera w ramię i wskazał gestem Carraciolę, Thomasa i Christiansena. – Dziwne, przyzna pan, pułkowniku. Wydają się równie zdumieni jak pan.

– Czy to prawda? – spytał chrapliwie Jonesa Rosemeyer. – To, co mówi ten człowiek? Czy zaprzecza pan...

– Skąd... skąd... na Boga... kim pan jest? – powiedział Jones niemal szeptem,

– Nieznajomym nocną porą – Smith pomachał mu ręką. – Można powiedzieć, że wpadłem przelotem. Może alianci dadzą panu te dwadzieścia pięć tysięcy po wojnie. Jednakże nie liczylibym na to. Jeżeli prawo międzynarodowe pozwala zastrzelić schwytanego nieprzyjacielskiego żołnierza przebranego po cywilnemu, być może odnosi się to także do odwrotnej sytuacji. – Przeciągnął się i grzecznie osłonił usta tłumiąc ziewnięcie. – A teraz, Anne-Marie, chętnie napiłbym się, za pańskim pozwoleniem, drogi pułkownika, tego wyśmienitego napoleona. Czepianie się dachów wagoników diabelnie źle wpływa na moje krążenie.

Dziewczyna zawahała się, spojrzała na Kramera i Rosemeyera, nie widząc jednak ani zachęty, ani sprzeciwu wzruszyła ramionami, naląła koniak do kieliszka i podała go Smithowi, który z aprobatą wciągnął bukiet, upił troszkę i znów skłonił się w stronę Jonesa.

– Gratuluję. Jest pan prawdziwym koneserem. – Znów łyknął, obrócił się ku Kramerowi i rzekł ze smutkiem: – I pomyśleć, że marnowaliście tak wyśmienity napój częstując wrogów Trzeciej Rzeszy.

– Niech pan go nie słucha, panie pułkowniku! Niech pan go nie słucha! – krzyknął dziko Carraciola. – To blef! On po prostu usiłuje...

Smith wycelował broń w pierś Carracioli i rzekł ze spokojem:

– Cicho bądź, bo sam cię uciszę, przeklęty zdrajco. I ty będziesz miał sposobność się wypowiedzieć... a wtedy zobaczymy, kto blefuje. – Opuścił pistolet na kolana i ciągnął zmęczonym tonem: – Pułkowniku Kramer, nie uśmiecha mi się mówić przez cały czas celując pistoletem w to niesympatyczne trio. Czy ma pan strażnika, któremu może pan ufać? To znaczy człowieka, który nie będzie potem mówił?

Zagłębił się w fotelu popijając koniak i nie zwracając uwagi na wrogie spojrzenia swoich czterech byłych towarzyszy. Kramer przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, a potem skinął w zamyśleniu głową i sięgnął do telefonu.

Dobrze harmonizująca z resztą zamku zbrojownia Schloss Adler, obecnie zamieniona w *Kaffeestube*, wyglądała w zależności od gustów i upodobań patrzącego, jakby wyjęto ją ze snu o średniowieczu albo z nocnego koszmaru. Była to duża sala z ogromnymi grubo ciosanymi i poczerniałymi od dymu belkami pod sufitem, wyłożona ciemną boazerią i wybrukowana kamiennymi płytami. Na ścianach wisiały stare, zardzewiałe zbroje, stara, zardzewiała broń wszystkich rodzajów oraz dziesiątki herbów, z których część mogła być autentyczna. Pod ścianami ciągnęły się trójboczne łóżka, a w poprzek pomieszczenia stało rzędem z pół tuzina klasztornych stołów refektarskich z kamiennymi blatami, obstawionych z obu stron masywnymi dębowymi ławami. Naftowe lampy, zwieszające się

z sufitu na żelaznych łańcuchach, paliły się niskim płomieniem przydając wnętrzu atmosfery intymności albo ponurej grozy, zależnie od nastroju wchodzącego. Mary nie miała wątpliwości, jakie są jej wrażenia. Odprowadziła spojrzeniem sześciu ciężko uzbrojonych żołnierzy w wysokich butach za kolana, którzy właśnie opuszczali zbrojownię, i z ociąganiem przeniosła wzrok na mężczyznę siedzącego tuż przy niej w narożnej łoży.

– A nie mówiłem? – powiedział wylewnie von Brauchitsch. – Kawa godna otoczenia.

Kawa godna otoczenia miałyby smak cykuty, pomyślała Mary.

– Czego chcieli ci żołnierze? Zdaje się, że kogoś szukali – powiedziała.

– Proszę o nich zapomnieć i skupić uwagę na von Brauchitschu.

– Ale pan z nimi rozmawiał. Czego chcieli?

– Twierdzili, że na zamku są szpiegzy! – Von Brauchitsch odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się rozkładając ręce dłońmi do góry. – Proszę sobie wyobrazić! Szpiegzy w Schloss Adler! Szefostwie Gestapo! Musieli chyba wlecieć na miotłach. Dowódca wojskowy to stara baba. Mniej więcej raz na tydzień ma tu szpiegów. Zaraz, zaraz, ale co to ja mówiłem o Düsseldorfie? – Urwał widząc, że jej filiżanka jest pusta. – Proszę mi wybaczyć, droga Fräulein. Pani pozwoli, jeszcze trochę kawy.

– Nie, naprawdę. Muszę już iść.

Von Brauchitsch znów się zaśmiał i położył rękę na jej dłoni.

– Iść, dokąd? W Schloss Adler nie ma dokąd iść. Nonsens. – Nie wstając obrócił się i zawołał: – Fräulein! Jeszcze dwie kawy. Tym razem ze sznapssem.

Kiedy składał zamówienie, Mary szybko zerknęła na zegarek i przez jej twarz przemknął wyraz rozpacz, ale w chwili gdy się ku niej obracał, już się słodko uśmiechała.

– Mówił pan o Düsseldorfie... – przypomniała.

Towarzystwo w złotej komnacie powiększyło się o jedną osobę. Był nią wysoki sierżant o surowej twarzy i twardym spojrzeniu, dzierżący w dwóch silnych dłoniach, wyglądających na bardzo sprawne, pistolet maszynowy. Stał za kanapą, na której siedzieli Carraciola, Thomas i Christiansen, i nie spuszczał z nich oka, jeśli nie liczyć częstych spojrzeń na Schaffera. Otaczała go atmosfera pokrzepiającej fachowości.

– To już mi się bardziej podoba – stwierdził Smith z aprobatą.

Zostawiwszy schmeissera na podłodze wstał, podszedł do karafki z koniakiem stojącej na komodzie, nalał sobie ponownie i skierował się w stronę kominka, gdzie na gzymsie postawił swój kieliszek.

– To zajmie zaledwie kilka minut – powiedział cichym i złowróżbnym głosem. – Anne-Marie, proszę przynieść jeszcze trzy ampułki skopolaminy. – Uśmiechnął się do niej.

– Pani nie muszę przypominać o strzykawkach.

– Pułkowniku Kramer! – rzekł Carraciola z rozpaczą. – To szaleństwo! Czy zamierza pan pozwolić...

– Strażnik! – Głos Smitha brzmiał szorstko. – Jeżeli ten człowiek znów się odezwie, proszę go uciszyć!

Strażnik szturchnął Carraciolę w plecy lufą pistoletu i to wcale nielekkko. Carraciola siadł wściekły zaciskając pięści tak mocno, aż zbieleły.

– Za kogo bierzesz marszałka Rosemeyera i pułkownika Kramera? – spytał ostro Smith. – Za łatwowiernych głupców? Małe dzieci? Imbecylów twojego pokroju, którzy wyobrażają sobie, że uda im się ta kretyńska maskarada? Użyjemy skopolaminy po tym, jak przedstawię własne dowody tożsamości, a obalę wasze. Anne-Marie?

Anne-Marie uśmiechnęła się i odmaszerowała. Nie co dzień zdarzała jej się gratka zrobienia trzech zastrzyków skopolaminy. Kiedy Smith ponownie ją zawołał, zatrzymała się i odwróciła unosząc pytająco brwi.

– Chwileczkę, Fräulein. – Z kieliszkiem koniaku w dłoni wpatrywał się niewidzącym wzrokiem w przestrzeń i wszyscy widzieli, jak na jego twarzy pojawia się powoli uśmiech, uśmiech zwiastujący najwyraźniej narodziny nowej myśli, i to takiej, z której jest bardzo zadowolony. – To jest myśl, to jest myśl – powiedział cicho. – I proszę też przynieść trzy notesy, dobrze, moja droga?

– Trzy notesy? – Pułkownik mówił obojętnym tonem, ale oczy miał czujne. – Trzy ampułki? Dał pan do zrozumienia, że mamy tu czterech wrogów Rzeszy.

– Tylko trzech, którzy się liczą – odparł Smith cierpliwym i znużonym tonem. – Ten Amerykanin? – Sam fakt, że nie zadał sobie trudu, aby spojrzeć na Schaffera, i że nie pozwolił sobie nawet na nutę pogardy, w oczywisty sposób świadczył, co o nim sądzi. – On nie wie nawet, jaki dziś dzień tygodnia. A zatem... – Z inkrustowanego drzewem pudełka wyjął cygareto, zapalił je i łyknął koniaku. – Bądźmy sprawiedliwi i ustalmy najpierw moje racje. Zaczynając od wskazówek, a kończąc dowodami. Zgodnie z najlepszymi zasadami sądowymi.

– Po pierwsze, dlaczego zaprosiłem jeszcze jednego strażnika i odłożyłem własną broń? – Urwał, po czym wyjaśnił z ironią: – To oczywiste! Ponieważ chciałem zwiększyć wasze szanse. Po drugie, dlaczego wcześniej tego wieczora, zakładając, że jestem wrogiem Trzeciej Rzeszy, nie zabiłem pułkownika Weissnera i jego ludzi, kiedy byli zdani na moją łaskę? Mogę wam wyjawić, że miałem nieco trudności z powstrzymaniem naszego młodego zawadiaki ze Stanów od wzięcia na siebie roli jednoosobowego plutonu egzekucyjnego. O tak, był bardzo agresywny.

– Cholernie łatwo mogę ci to wytłumaczyć – rzekł zjadliwie Carraciola. – Ponieważ

wiedziałaś, że ktoś usłyszy strzały!

Smith westchnął, odchylił połę munduru, wydobyl pistolet i strzelił. Głuche uderzenie kuli o kanapę kilka centymetrów od ramienia Carracioli zostało całkowicie zdominowane przez trzask samego pistoletu. Smith niedbałym ruchem rzucił lugera z tłumikiem na stojący obok wolny fotel i uśmiechnął się zagadkowo do Carracioli.

– Nie wiedziałaś, że go mam, co? Nie zabiłem pułkownika Weissnera, ponieważ Niemiec nie zabija Niemca.

– Jest pan Niemcem? – Oczy Kramera nadal patrzyły czujnie, lecz ton głosu był chyba odrobinę mniej obojętny.

– Johann Schmidt, do pańskich usług. – Towarzyszył temu lekki ukłon i trzaśnięcie obcasami. – Kapitan John Smith z Black Watch.

– Z Nadrenii, sądząc po akcencie?

– Z Heidelbergu.

– Ależ to jest moje rodzinne miasto.

– Doprawdy? – Smith wyraził uśmiechem zainteresowanie. – Wobec tego mamy wspólnego przyjaciela.

Na chwilę wzrok Kramera stał się roztargniony.

– Kolumny Karola Wielkiego – rzekł cicho, pozornie bez związku.

– Ach, i fontanny na dziedzińcu kochanego Friedrichsbau – powiedział z nostalgią Smith. Spojrzał na Kramera i nostalgia ustąpiła miejsca niby to gorzkiej wymówce. – Jak pan mógł, drogi pułkowniku? Ale do rzeczy. Dlaczego... chyba po trzecie... dlaczego więc wyreżyserowałem tak starannie ten wypadek samochodowy? Ponieważ wiedziałem, że ci trzej oszuści nie ośmielą się ujawnić, dopóki nie uznają, że zginąłem. Tak czy owak, gdybym to ja był oszustem, czy wróciłbym wiedząc, że wszystko się wydało? A zresztą, po co miałbym wracać? – Uśmiechnął się ze znużeniem i skinął na Jonesa. – Żeby ratować jeszcze jednego oszusta?

– Muszę przyznać – powiedział Kramer w zamyśleniu – że zaczynam z niecierpliwością oczekiwać, co mają do powiedzenia nasi trzej przyjaciele.

– Zaraz panu, do cholery, powiem, co mam do powiedzenia! – Christiansen zerwał się na nogi, nie zwracając uwagi na pistolet strażnika, i mówił trzęsącym się z wściekłości głosem. – On robi z pana głupca, on z nas wszystkich robi głupców. To cholerny kłamca, a wy jesteście tak piekielnie głupi, że nie widzicie, jak wam mydli oczy. Stek... bzdur, od początku do końca.

– Wystarczy! – Kramer podniósł rękę. Spoglądał ponuro i mówił lodowatym tonem. – Sami wydajecie na siebie wyrok tym co mówicie. Każde stwierdzenie, jakie dotąd padło z ust tego oficera, jest dającą się udowodnić prawdą. Sierżancie Hartmann zwrócił się do

strażnika – jeżeli któryś z tych ludzi znowu się odezwie, czy, waszym zdaniem, potraficie go uciszyć nie uciszając na zawsze?

Hartmann wydobyl z bluzy małą pałkę z plecionej skóry i założył na rękę rzemiennej pętlę.

– Pan wie, że potrafię, panie pułkowniku.

– Dobrze. Proszę mówić dalej, kapitanie Schmidt.

– Dziękuję. Jeszcze nie skończyłem. – Smith miał ochotę nalać sobie jeszcze jeden, okolicznościowy, kieliszek koniaku lub zamiast tego przypiąć Christiansenowi medal za tak bezbłędne, chociaż nieświadome ujawnienie rysy w ochronnym pancerzu Kramera, odsłonięcie jego zranionej intelektualnej próżności, ugodzonej dumy zawodowej człowieka o błyskotliwym umyśle, któremu o tym, że można go nabrać, przypomina jeden z tych, którzy właśnie tego dokonali. – Z tego samego świetnego powodu przyjechałem na dachu kolejki: oni by się nigdy nie ujawnili wiedząc, że jestem tu... żywy. Nawiasem mówiąc, czy nie przyszło panu na myśl, panie pułkowniku, że wejście do Schloss Adler z dachu górnej stacji bez pomocy liny i kogoś wewnątrz jest niemożliwe?

– Niech mnie diabli! – Pytanie Smitha, które nastąpiło zaraz po tym, jak Christiansen przypomniał mu o jego omyłności, mocna zachwiało pewnością siebie Kramera. – Nie myślałem...

– Von Brauchitsch – powiedział niedbale Smith. – Dostał rozkazy bezpośrednio z Berlina. – Postawił kieliszek na gzymsie kominka, przeszedł parę kroków i stanął przed trzema szpiegami. – Powiedzcie, skąd wiedziałem, że Jones jest oszustem? Dlaczego wy o tym nie wiedzieliście? A jeżeli nie jestem tym, za kogo się podaję, to co, na miłość boską, w ogóle tutaj robię? Zechcielibyście może wyjaśnić?

Cała trójka wlepiła w niego wzrok milcząc złowrogo.

– Może rzeczywiście by zechcieli – powiedział z powagą Kramer. Podeszedł i stanął obok Smitha spoglądając na trzech mężczyzn oczami dziwnie pozbawionymi wyrazu, co było bardziej niepokojące niż okazany w jakikolwiek sposób gniew. – Kapitanie Schmidt, to mi w zupełności wystarczy – powiedział po dłuższym milczeniu.

– Jeszcze nie skończyłem.

– Już nic więcej mi nie potrzeba – upierał się Kramer.

– Obiecałem dać panu dowody, a to były jedynie wskazówki. Dowody zadowalające zastępcę szefa niemieckiego wywiadu. A jest ich trzy. Proszę łaskawie odpowiadać „tak” lub „nie”, pułkowniku. Czy nazwisko naszego pierwszego człowieka w Wielkiej Brytanii jest panu znane, czy nie? – Kramer potaknął skinieniem głowy. – Więc może spytamy ich?

Trójka na kanapie spojrzała po sobie, a potem na Smitha. Spojrzeli w milczeniu. Thomas zwilżył wysuszone wargi, co nie uszło uwagi Kramera. Smith wyciągnął

z kieszeni munduru mały czerwony notes, ściągnął z niego gumkę, wyrwał środkową kartkę, potem ostrożnie naciągnął gumkę z powrotem na notes i wsunął go do kieszeni. Napisawszy coś na wyrwanej kartce, wręczył ją Kramerowi, który zerknął na nią i skinął potakująco głową. Smith wziął od niego kartkę, podszedł do ognia i spalił ją.

– A zatem – powiedział. – Ma pan tutaj najsilniejszy nadajnik w całej Europie Środkowej...

– Jest pan wyjątkowo dobrze poinformowany, kapitanie Schmidt – rzekł Kramer z przekąsem.

– Smith. Żyję jak Smith. Oddycham jak Smith. Ja jestem Smith! Proszę się połączyć z kwaterą główną feldmarszałka Kesselringa w północnych Włoszech. I poprosić do telefonu szefa jego wywiadu wojskowego.

– Czy to jest ten wspólny przyjaciel, o którym pan wspomniał? – odezwał się Kramer łagodniejąc.

– Dawny wychowanek uniwersytetu w Heidelbergu – potwierdził Smith. – Pułkownik Wilhelm Wilner. – Uśmiechnął się. – Willi-Willi.

– Zna pan to przezwisko? A zatem nie ma potrzeby z nim rozmawiać.

– Admirał Canaris wolałby, żeby pan to zrobił.

– Zna pan także mojego szefa? – Głos Kramera jeszcze bardziej złagodniał.

– Miłość własna każe mi powiedzieć tak... ale skromność i sama prawda zmuszają mnie do przyznania się, że nie – odparł Smith rozbijając. – Po prostu dla niego pracuję.

– Już jestem przekonany, przekonany ponad wszelką wątpliwość – powiedział Rosemeyer. – Ale proszę spełnić życzenie majora, pułkownika.

Kramer zastosował się do polecenia. Połączył się z radiostacją, odłożył słuchawkę i cierpliwie czekał. Smith, wcielenie bez troski i pewności siebie, rozparł się w fotelu z koniakiem w jednej ręce i cygarem w drugiej. Jeśli Schaffer i trzej mężczyźni na kanapie byli bez troski lub pewni siebie, to w ogóle nie było tego po nich znać. Za ich plecami strażnik z nadzieją obserwował swoich czterech podopiecznych, jak gdyby gorąco pragnął okazać biegłość w posługiwaniu się pałką. Jeżeli zaś Rosemeyer czy Jones cokolwiek sobie myśleli, to myśli te pozostawały ukryte. Anne-Marie, nie rozumiejąc co się dzieje, kręciła się niezdecydowanie, wciąż jeszcze z wyczekującym uśmiechem. Wśród powszechnego oczekiwania była jedyną osobą, która się poruszała, i to tylko dlatego, że Smith kiwnąwszy na nią palcem wskazał swój pusty kieliszek. Przewaga, którą zdobył, była tak zdecydowana, że bez wahania usłuchała jego niemego rozkazu, przyniosła hojną porcję koniaku i z ujmującym uśmiechem postawiła ją przy nim na stoliku. Smith posłał jej w odpowiedzi równie ujmujący uśmiech. Jednakże podczas tego niekończącego się oczekiwania nikt się nie odezwał ani słowem,.

Zadzwonił telefon.

Kramer podniósł słuchawkę i po wstępnej krótkiej wymianie zdań, prawdopodobnie z telefonistami, powiedział:

– Pułkownik Wilhelm Wilner? Drogi Willi-Willi, jak się pan ma? – Skończywszy wymianę obowiązkowych grzeczności rzekł: – Mamy tu agenta, który twierdzi, że pana zna. Niejaki John Smith. Czy pan... ach, więc pan go zna? Świetnie, świetnie! – Przerwał, po czym spytał: – Czy mógłby pan go opisać? – Słuchając uważnie głosu trzeszczącego w słuchawce przyglądał się Smithowi. Nagle skinął na niego. Smith podniósł się i zbliżył. – Lewa ręka – powiedział Kramer i ujął rękę Smitha w swoją, a potem przemówił do słuchawki. – Tak, nie ma koniuszka małego palca... a na prawym przedramieniu jest co? – Smith nie czekając obnażył prawe przedramię. – Tak, tak, dwie równoległe blizny, jedna od drugiej trzy centymetry... Co, co...? Powiedzieć mu, że jest zdrajcą?

– A jemu proszę powiedzieć, że jest renegatem – rzekł z uśmiechem Smith.

– A pan jest renegatem – powiedział Kramer do słuchawki. – Chambertin, powiada pan. Ach! Dziękuję, dziękuję. Do widzenia, stary przyjacielu. – Kramer odłożył słuchawkę.

– Obaj wolimy francuskie wino – wyjaśnił Smith przeproszającym tonem.

– Nasz najlepszy podwójny agent w basenie Morza Śródziemnego – powiedział Kramer w zadumie. – A ja nawet o panu nie słyszałem.

– Może dlatego jest tym, kim jest – stwierdził sucho Rosemeyer.

– Miałem szczęście – powiedział Smith wzruszając ramionami i dodał z ożywieniem: – No tak, a moje listy uwierzytelniające?

– Nienaganne – powiedział Kramer. – Mój Boże, jakie nienaganne.

– A więc – powiedział Smith złowieszczo – kolej na listy uwierzytelniające naszych przyjaciół. Jak pan wie, Christiansen, Thomas i Carraciola, prawdziwi Christiansen, Thomas i Carraciola, w czasie kiedy pracowali dla...

– Do diabła, o czym pan mówi?! – krzyknął Christiansen i zerwał się na nogi czerwony z niekontrolowanego gniewu. – Prawdziwy Christiansen... – Pałka Hartmanna dosięgła go za uchem, wyrócił oczami i opadł na podłogę.

– Ostrzeżono go – powiedział ponuro Kramer. – Nie uderzyliście go za mocno, sierżancie?

– Dwuminutówka – zapewnił Hartmann.

– Dobrze. Myślę, drogi Schmidt, że teraz już nikt nie będzie panu przeszkadzał.

– Smith – poprawił Smith. – Jak właśnie mówiłem, kiedy nasi prawdziwi agenci pracowali dla brytyjskiego kontrwywiadu, nie tylko że spowodowali dogłębną infiltrację sieci wywiadu brytyjskiego we Francji i Niderlandach przez wywiad niemiecki, ale i w samej Anglii utworzyli wyborny łańcuch szpiegów – wyjątkowo udany zespół, o czym

dobrze wie admirał Canaris.

– To nie moja dziedzina – rzekł Kramer. – Ale oczywiście wiem o tym.

– Podnieść się, wy, oszuści, i siąść przy tamtym stole – powiedział zimno Smith. – Sierzancie, proszę pomóc temu na podłodze. Chyba odzyskuje przytomność.

Z nic nie rozumiejącymi i zakłopotanymi twarzami Carraciola i Thomas podeszli do stołu i usiedli. Wkrótce dołączył do nich roztrzęsiony i kiepsko wyglądający Christiansen. Sierżant pozostał przy nim tylko tyle czasu, ile wymagało upewnienie się, że nie spadnie z fotela, a potem odszedł trzy kroki w tył i znów trzymał ich pod celownikiem pistoletu.

Stojący z drugiej strony stołu Smith rzucił przed nich przyniesione właśnie przez Anne-Marie notesy, wyciągnął z kieszeni własny, ściągnięty gumką, i położył go na stoliku obok Kramera.

– Jeżeli są tymi, za których się podają – powiedział cicho – to logika nakazywałaby – prawda, drogi pułkowniku? – spodziewać się po nich, że potrafią wypisać nazwiska i adresy lub punkty kontaktowe naszych agentów w Anglii i tych brytyjskich agentów w Europie, których zastąpili nasi ludzie. – Urwał znacząco. – A potem porównać ich spisy z prawdziwym, który jest w moim notesie.

– Z pewnością tak – powiedział powoli Kramer. – I za jednym zamachem zyskamy dowód. Po mistrzowsku, drogi kapitanie Schmidt... Chciałem powiedzieć, Smith. – Uśmiechnął się blado. – Obawiam się, że nie jestem dziś w najlepszej formie. Ale proszę mi powiedzieć, kapitanie... – Dotknął leżącego przed nim notesu. – Ten spis agentów... a raczej fakt, że nosi go pan przy sobie. Czy nie jest to wbrew wszelkim naszym przepisom?

– Jak najbardziej. Przepisy wolno łamać tylko temu, kto je ustanowił. Sądzi pan, że nawet ja śmiałybym coś zrobić bez jego zezwolenia? Admirał Canaris powinien być teraz w swoim biurze w Berlinie. – Smith skinieniem głowy wskazał telefon.

– Za kogo pan mnie ma? – Kramer uśmiechnął się i zwrócił do trzech siedzących przy stole mężczyzn. – Tak więc słyszeliście.

– To jakieś straszne nieporozumienie... – zaczął z rozpaczą Carraciola.

– Istotnie – przerwał mu zimno Kramer.

– Nie wątpię w racje Smitha. – Carraciola cierpiał katusze. – Po tym wszystkim już nie. Ale zaszła jakaś fatalna pomyłka...

– To wyście ją popełnili – stwierdził krótko Smith.

– Piszcie – rozkazał Kramer. – Sierzancie Hartmann.

Sierżant Hartmann postąpił krok do przodu trzymając w gotowości pałkę na skórzanym pasku. Trzej mężczyźni pochylili głowy i zaczęli pisać.

W zbrojowni zrobiło się pusto. Jakiś czas temu weszło tu dwóch sierżantów, którzy przeszli pomiędzy stołami i wyciągnęli co najmniej dwudziestu złorzeczących żołnierzy do jakichś bliżej nie określonych obowiązków. Mary nie musiała zgadywać, czego dotyczyły. Zerknęła ukradkiem na zegarek, chyba po raz dwudziesty, zmęczonym ruchem potarła czoło, wstała i uśmiechnęła się blado do von Brauchitscha.

– Bardzo mi przykro, kapitanie. Muszę iść. Naprawdę muszę. Okropnie boli mnie głowa.

– To mnie jest przykro, droga Mario – powiedział. Jego zwykły uśmiech zastąpiła zakłopotana i skruszona mina. – Należało powiedzieć mi o tym wcześniej. Wcale pani dobrze nie wygląda. Długa podróż z Nadrenii, potem te wszystkie sznapsy...

– Obawiam się, że nie jestem do tego przyzwyczajona – powiedziała Mary żałośnie. – Poczuję się lepiej, kiedy się położę.

– Oczywiście, oczywiście. Chodźmy, moja droga. Pozwoli pani, że ją odprowadzę do pokoju.

– Nie, nie! – powiedziała i natychmiast zdała sobie sprawę, że odezwała się z niczym nie uzasadnioną gwałtownością. Uśmiechnęła się ponownie i dotknęła jego ręki. – Zaraz poczuję się lepiej. Naprawdę.

– Kapitan von Brauchitsch wie, co należy zrobić. – Twarz miał poważną, a jednak przyjazną, jego głos brzmiał stanowczo, a przecież przebijała przezeń nutka humoru i dlatego Mary wiedziała, że nie może mu odmówić. – Zdecydowanie nalegam. Chodźmy.

Włożył jej rękę opiekuńczo pod swoje ramię i wyszli. Ze zbrojowni połączonej z *Kaffeestube* poszli ramię w ramię korytarzem prowadzącym do głównej części zamku. Odwrotnie niż kiedy poprzednio tędy przechodzili, nie było tu żywego ducha i Mary skomentowała ten fakt.

– To te czarownice na miotłach. – Roześmiał się von Brauchitsch. – Komendant jeszcze ich nie złapał, ale dajmy mu jeszcze parę lat i kto wie. Wszyscy ci biedni chłopcy, których, jak pani widziała, wyciągnięto ze zbrojowni, w tej chwili pewnie myszkują po dachach i wspinają się na maszty flagowe. W dzisiejszych czasach nigdy nie wiadomo, gdzie wejdzie szpieg.

– Zdaje się, że pan dość lekceważąco traktuje tę możliwość – powiedziała Mary.

– Jestem oficerem Gestapo, szkolili mnie i płacą mi za to, żebym pracował głową, a nie rozgorączkowaną wyobraźnią – odparł sucho, a potem uściśnął jej rękę i przeprosił. – Przepraszam za ten ton, był skierowany pod innym adresem, nie do pani. – Zatrzymał się niespodziewanie, wyjrzał przez okno na dziedziniec i powiedział: – Coś mi to dziwnie

wygląda.

– Co?

– Tamten helikopter – odparł w zamyśleniu. – Regulaminy wojskowe głoszą, że helikoptery naczelnego dowództwa muszą być przez cały czas utrzymywane w pełnej gotowości. A temu brakuje części osłony silnika, a zamiast tego ma brezent. Trudno to nazwać pełną gotowością, jak pani sądzi?

– Przypuszczam, że helikopter też trzeba od czasu do czasu reperować, jak wszystkie maszyny. – Zaszło jej nagle w gardle i życzyła sobie w duchu, żeby von Brauchitsch nie trzymał jej tak blisko siebie. Musiał przecież zauważyć przyspieszone bicie serca. – Cóż w tym niezwykłego?

– Niezwykłe jest to, że prawie pół godziny temu, kiedy przechodziliśmy tędy pierwszy raz, nikt przy tej maszynie nie pracował – powiedział von Brauchitsch. – To niesłychane, żeby osobisty pilot marszałka Rzeszy poszedł sobie zostawiając nie dokończoną robotę.

– Czy byłoby niesłychane, gdyby pilot wziął fragment silnika i reperował go wewnątrz? – spytała słodko Mary. – A może nie spojrział pan dziś na termometr?

– Robię się podobny do komendanta z jego polowaniami na czarownice – rzekł ze smutkiem von Brauchitsch. Potrząsając głową ruszył dalej. – Ma pani przed sobą straszny przykład niebezpieczeństw wynikających ze zbyt długiej pracy w mojej branży. Oczywiście odpowiedź jest nazbyt oczywista dla intelektów przenikliwych i przebiegłych jak nasze. Dziś wieczór muszę o tym pamiętać.

– Zamierza pan dziś wieczór znów skorzystać z tego wspaniałego umysłu? – spytała od niechcienia Mary.

– Prawdę mówiąc, właśnie tu. – Von Brauchitsch skinął głową w stronę drzwi, które akurat mijali. – W złotej komnacie. – Spojrzął na zegarek. – Za dwadzieścia minut! Ależ ten czas leci! To dzięki pani czarującemu towarzystwu, Fräulein.

– Dziękuję miłemu panu. Jest pan... z kimś umówiony? – Serce Mary znów zaczęło wyprawiać stare sztuczki.

– Będzie to wieczór poświęcony muzyce. Nawet Gestapo ma swoją piękniejszą stronę. Będziemy słuchać śpiewu słowika. – Przyśpieszył kroku. – Przepraszam, Fräulein, ale właśnie sobie przypomniałem, że muszę przygotować parę raportów.

– Przykro mi, jeżeli przeszkodziłam panu w pracy, kapitanie – powiedziała skromnie. Ile on wie, myślała dziko, ile podejrzewa, co tak nagle postanowił zrobić? Tacy jak von Brauchitsch nie przypominają sobie o czymś ot tak sobie, a to z tego prostego powodu, że nigdy o niczym nie zapominają. – To bardzo miło z pana strony.

– Przyjemność była jednostronna – zaprotestował von Brauchitsch dwornie. – Moja, i tylko moja. – Zatrzymał się przed drzwiami jej pokoju, ujął dłoń Mary i uśmiechnął się. –

Dobranoc, droga Mario. Jest pani naprawdę czarująca.

– Dobranoc. – Odpowiedziała uśmiechem na uśmiech. – I dziękuję.

– Naprawdę musimy się lepiej poznać – powiedział na pożegnanie. Otworzył przed nią drzwi, uklonił się, pocałował w rękę, delikatnie zamknął drzwi i w zamyśleniu potarł podbródek. – Znacznie lepiej, moja droga Mario – powiedział do siebie cicho. – Znacznie, znacznie lepiej.

Carraciola, Thomas i Christiansen pochylili się nad notesami i zapamiętali bazgrali. A przynajmniej dwaj pierwsi. Christiansen nie doszedł jeszcze do siebie po uderzeniu w głowę i miał duże kłopoty z pisaniem. Kramer, który stał z boku ze Smithem i rozmawiał z nim przyciszonym głosem, spojrzał na nich z zaciekawieniem i odrobiną zakłopotania.

– Wygląda, jakby skądś obficie czerpali natchnienie – wyraził się ostrożnie.

– Widok otwartego grobu często pobudza do myślenia – rzekł cynicznie Smith.

– Obawiam się, że niezupełnie rozumiem.

– Czy wie pan, co się stanie z nimi za piętnaście minut, licząc od tej chwili?

– Jestem zmęczony – powiedział Kramer. I słychać to było w jego głosie. – Proszę, niech pan nie igra ze słowami, kapitanie Schmidt.

– Smith. Za piętnaście minut nie będą żyli. I wiedzą o tym. Walczą desperacko o dodatkowe minuty życia. Kiedy ma się tak mało czasu, jak oni, to nawet jedna minuta jest zdobyczą wyrwaną wieczności. Albo też jest to ostatnia desperacka próba zrujnowanego hazardzisty. Może pan to nazwać, jak się panu podoba.

– Wpada pan w liryzm, kapitanie – mruknął Kramer. Przez blisko minutę przechadzał się tam i z powrotem, nie zadając już sobie trudu, żeby obserwować piszących przy stole, a potem zatrzymał się i stanął twarzą w twarz ze Smithem. – No dobrze – powiedział ze znużeniem. – Wystarczająco długo trzyma mnie pan w niepewności. Przyznaję, że jestem zdezorientowany. Proszę zdradzić, na miłość boską, co się za tym wszystkim kryje.

– Prostota prawdziwego geniuszu, drogi pułkowniku. Admirał Rolland, szef angielskiego wywiadu. A on jest geniuszem, to rzecz pewna.

– No więc jest geniuszem – powiedział niecierpliwie Kramer. – I co?

– Carraciola, Thomas i Christiansen zostali schwytani trzy tygodnie temu. Zajmowali się oni, jak pan dobrze wie, tylko północno-zachodnią Europą i tutaj byli nie znani.

– Ich sława tu dotarła.

– Tak, tak. Ale tylko ona. Admirał Rolland obliczył, że jeżeli w naszych trzech schwytanych wcielią się po gruntownej odprawie trzej ich ludzie, których wyśle się tutaj dla jakiegoś absolutnie wiarygodnego powodu, to wówczas jako „personae gratae” o pewnym rozgłosie zostaną przez pana uznani za honorowych gości i w pełni zaakceptowani. A z

chwilą gdy ich pan zaakceptuje, staną się całkowicie bezpieczni i będą mogli działać wewnątrz zamku bez żadnych przeszkód i obaw.

– I?

– Jak to, nie rozumie pan? – Tym razem Smith się zniecierpliwił. – Rolland wiedział, że jeżeli generał Carnaby... – urwał i rzucił gniewne spojrzenie w stronę Jonesa – a raczej ten oszust paradujący jako generał Carnaby znajdzie się tutaj, to na rozmowę z nim wyśle się odpowiadającego mu rangą oficera armii niemieckiej. – Uśmiechnął się. – Nawet w Wielkiej Brytanii wiedzą, że to prorok musi przyjść do góry, a nie góra do proroka: to armia niemiecka odwiedza Gestapo, a nie na odwrót.

– Proszę mówić, proszę mówić!

– Szef sztabu Wehrmachtu, marszałek Rzeszy Julius Rosemeyer, byłby równie bezcenny dla aliantów jak generał Carnaby dla nas.

– Marszałek Rzeszy! – wyszeptał wstrząśnięty Kramer, a jego oczy powędrowały w stronę Rosemeyera. – Porwany!

– Przez tych pańskich wspaniałych zaufanych agentów – powiedział z pasją Smith. – I uszłoby im to na sucho.

– Mój Boże! Boże święty! To... to szatański pomysł!

– Prawda? – rzekł Smith. – Prawda, że tak?

Kramer zostawił go nagle, skierował się przez salę ku Rosemeyerowi i usiadł przy nim na krześle. Około dwóch minut rozmawiali ze sobą ściszymi głosami, co jakiś czas zerkając w stronę Smitha. Widząc, że mówi przede wszystkim Kramer, a Rosemeyer tylko reaguje, Smith pomyślał, że pułkownik musi to dobrze tłumaczyć. Wydrukowany wykres nie byłby bardziej czytelny, niż odbijające się kolejno na twarzy Rosemeyera zaniepokojenie, zaskoczenie, zdumienie i w końcu wstrząs zrozumienia. Po kilku sekundach milczenia obaj mężczyźni wstali i podeszli do Smitha. Spostrzegł wtedy, że marszałek jest nieco bledszy niż zwykle, a kiedy Rosemeyer przemówił, nie trzeba było specjalnie wrażliwego ucha ani wyobraźni, żeby uchwycić w jego głosie lekkie drżenie.

– To niewiarygodna historia, kapitanie Smith – powiedział. – Niewiarygodna! Ale nieunikniona. To pewne. Jedyne wyjaśnienie uwzględniające wszystkie fakty, dopasowujące do siebie wszystkie elementy łamigłówek. – Spróbował się uśmiechnąć. – By zmienić metaforę, muszę przyznać, że to wielki szok odkryć, że jest się brakującym kluczem do zawilego szyfru. Pozostaję na zawsze pańskim dłużnikiem, kapitanie Smith.

– Niemcy pozostaną na zawsze pańskim dłużnikiem – powiedział Kramer. – Wyświadczył pan ojczyźnie wielką przysługę. Nie zapomnimy o tym. Jestem pewien, że Führer będzie chciał osobiście uhonorować pana jakimś dowodem uznania.

– Jesteście zbyt uprzejmi, panowie – wymamrotał Smith. Wypełnienie obowiązku jest

dla człowieka wystarczającą nagrodą. – Uśmiechnął się słabo. – Może Führer udzieli mi dwóch lub trzech tygodni urlopu... moje dzisiejsze samopoczucie świadczy o tym, że nerwy mam już nie takie jak dawniej. Ale jeżeli panowie wybaczą... obecne zadanie nie jest jeszcze ukończone.

Odszedł i z kieliszkiem koniaku w ręku zaczął przechadzać się tam i z powrotem za plecami pochylonych nad stołem mężczyzn. Od czasu do czasu zaglądał do któregoś z notesów uśmiechając się cynicznie i ze zmęczeniem. Ani ten uśmiech, ani jego znaczenie nie mogły ująć uwagi nikogo z obecnych, z wyjątkiem trzech piszących. Znalazłszy się za Thomasem Smith zatrzymał się, z niedowierzaniem potrząsnął głową i powiedział:

– Coś podobnego!

– Skończmy już z tym – zażądał niecierpliwie Rosemeyer.

– Za pańskim pozwoleniem, panie marszałku, rozwiążmy tę szaradę aż do jej gorzkiego końca.

– Ma pan ku temu powody?

– Jak najbardziej.

Von Brauchitsch odszedł sprzed pokoju Mary energicznie, ale bez pośpiechu, jego kroki odbijały się donośnym echem w wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu. Ledwo skręcił za róg, rzucił się biegiem.

Wypadł na dziedziniec i podbiegł do helikoptera. Nie było przy nim nikogo. Szybko wspiął się po paru stopniach drabinki i zajrzał przez pleksiglasową kopułę kabiny pilota. Zszedł i przywołał najbliższego strażnika, który podbiegł potykając się i ciągnąc za sobą na smyczy dobermana.

– Szybciej – warknął von Brauchitsch. – Widziałeś pilota?

– Nie, panie majorze – odpowiedział nerwowo strażnik. Był starszym człowiekiem, mającym już dawno za sobą służbę na froncie, i żywił wielką obawę przed Gestapo. – Nie widziałem już dłuższy czas.

– Co to znaczy „dłuższy czas?” – spytał natarczywie von Brauchitsch.

– Nie wiem – odparł strażnik. – Chciałem powiedzieć, pół godziny – dodał pośpiesznie. – Więcej. Będzie ze trzy kwadranse, panie majorze.

– Do diabła! – zaklął von Brauchitsch. – Długo. Powiedz mi, czy jest tu gdzieś niedaleko takie miejsce, którego pilot może używać jako warsztatu?

– Tak, jest! – odparł skwapliwie strażnik, który gorąco pragnął udzielić pozytywnej informacji. – To tamte drzwi. Dawny magazyn zboża.

– Czy on tam teraz jest?

– Nie wiem, panie majorze.

– A powinieneś wiedzieć – powiedział zimno von Brauchitsch. – To twoje zadanie mieć oczy otwarte na wszystko. No, nie stój tak, niezdaro! Idź i sprawdź!

Strażnik oddalił się truchtem, a von Brauchitsch potrząsając głową, zły na siebie za niecierpliwość okazaną staremu żołnierzowi, przemierzył dziedziniec i wypytał strażników przy bramie, trzech twardych, doborowych młodych żołnierzy oddziałów szturmowych, za których, w przeciwieństwie do patrolującego strażnika, można było ręczyć, że wszystko zauważą. Ale otrzymał od nich te same przeczące odpowiedzi.

Idąc z powrotem ku helikopterowi przeciął drogę strażnikowi biegnącemu z dawnego magazynu zboża.

– Nikogo tam nie ma, panie majorze. – Strażnik był lekko zdyszany i przestraszony, że może być zwiastunem złych wieści. – Pusto.

– To było do przewidzenia. – Von Brauchitsch skinął głową, poklepał starego po ramieniu i uśmiechnął się. – Nie twoja wina, przyjacielu. Dobrze się starasz.

Niemal zupełnie się teraz nie śpiesząc skierował się ku głównemu wejściu do zamku, wyciągając po drodze komplet wytrychów. Odnalazł to, czego szukał, za pierwszymi drzwiami, które otworzył. Leżał tam ciągle jeszcze nieprzytomny pilot, a obok niego zmiażdżona kopułka rozdzielacza. Okrywający go kombinezon był niemym, lecz w zupełności wystarczającym wyjaśnieniem tego, w jaki sposób niepostrzeżenie usunięto z helikoptera zniszczoną część. Z biegnącej wzdłuż ściany półki von Brauchitsch wziął latarkę, przeciął pilotowi więzy, wyciągnął mu knebel i pozostawił go leżącego przy szeroko otwartych drzwiach. Korytarz był uczęszczany i należało sądzić, że ktoś wkrótce nadejdzie.

Von Brauchitsch wbiegł po schodach wiodących na korytarz, wzdłuż którego mieściły się sypialnie, zwolnił kroku, minął niedbale pokój Mary i zatrzymał się przy piątym z kolei drzwiach. Z pomocą wytrychów wszedł do środka zapalając jednocześnie światło. Przeszedł przez pokój, podsunął dolne skrzydło okna i pokiwał głową widząc, że prawie wszystek śnieg na parapecie został zmieciony lub starty. Wychylił się mocniej, zapalił latarkę i skierował w dół strumień światła. Dach górnej stacji znajdował się piętnaście metrów niżej, w prostej linii z oknem, a ślady i odciski stóp na śniegu wyraźnie świadczyły, co się tam wydarzyło:

Von Brauchitsch wyprostował się, popatrzył na dziwnie ustawione łóżko przed drzwiami szafy i odciągnął je. Na jego oczach drzwi szafy rozwarły się szeroko, a ze środka, nawet nie mrugnawszy okiem, wytoczyła się na podłogę związana i zakneblowana postać. Można to było dokładnie przewidzieć. Zduszone stęknięcia wyraźnie świadczyły, że ofiara odzyskuje przytomność. Von Brauchitsch uwolnił związanego, usunął knebel i wyszedł. Miał pilniejsze sprawy na głowie niż trzymanie za rękę młodych

oberleutnantów, chwytających się za głowę i z jękiem wracających do przytomności.

Przed pokojem Mary zatrzymał się, przyłożył ucho do drzwi i zaczął nasłuchiwać. Żadnego dźwięku. Przyłożył oko do dziurki od klucza i zajrzał. Żadnego światła. Zapukał. Żadnej odpowiedzi. Otworzył drzwi wytrychem i wszedł do środka. Ani śladu Mary.

– No, no, no – mruknął. – Niezwykle interesujące.

– Skończyliście? – zapytał Smith.

Thomas skinął głową, Christiansen i Carraciola spojrzeli spode łba, ale wszyscy trzej siedzieli prosto i było jasne, że naprawdę skończyli. Smith przeszedł za ich plecami i sięgając im przez ramię zebrał notesy, a potem przebył salę i położył je na stoliku przy fotelu Kramera.

– Chwila prawdy – powiedział cicho. – Jeden notes powinien wystarczyć.

Kramer prawie z niechęcią wziął leżący na wierzchu notes i zabrał się do czytania, wolno go kartkując. Smith opróżnił swój kieliszek i przeszedł beztrudnie przez pokój do karafki stojącej na komódce. Nalał sobie koniaku, starannie zakorkował karafkę, zrobił bez celu kilka kroków i przystanął. Znajdował się w odległości sześćdziesięciu centymetrów od strażnika z pistoletem.

Łyknął koniaku i odezwał się do Kramera:

– Wystarczy?

Kramer skinął głową.

– W takim razie proszę porównać tę listę z moim oryginałem. Kramer ponownie skinął głową.

– Tak, jak pan mówi, chwila prawdy.

Wziął notes, zsunął gumkę i odchylił okładkę. Pierwsza strona była nie zapisana. Tak samo następna. I następna... Marszcząc brwi zmieszany podniósł oczy, żeby spojrzeć na Smitha.

Kieliszek z koniakiem lądował właśnie na podłodze, podczas gdy Smith gwałtownym, szybkim jak trzaśnięcie bicia ruchem zamachnął się i kantem dłoni ugodził strażnika w szyję. Strażnik zwałił się, jakby runął na niego most. Od wstrząsu spowodowanego jego upadkiem zadźwięczały kieliszki na komódce.

Kramer tylko przez chwilę był kompletnie zdezorientowany. Zrozumiał wszystko. Na jego twarzy odmalowało się bolesne upokorzenie, a ręka sięgnęła do guzika.

– No, no! Tylko nie dzwonek, kolego! – Cios, który powalił strażnika, był niewiele gwałtowniejszy niż gryząca natarczywość w głosie Schaffera. Schaffer leżał rozciągnięty jak długi na podłodze, gdzie się przed chwilą rzucił po swojego schmeissera, i w całkowitym bezruchu mierzył z niego Kramerowi w serce. Po raz drugi tego wieczoru dłoń

pułkownika cofnęła się od guzika alarmowego.

Podniósłszy pistolet strażnika Smith przeszedł przez salę i wymienił go na swojego lugera z tłumikiem. Schaffer ze schmeisserem ciągle wymierzonym w Kramera podniósł się z podłogi i spojrzał na towarzysza.

– Nędzny gnojek! – rzekł z oburzeniem. – Łatwowierny Amerykanin, co!? Nie wiem, jaki dzisiaj dzień tygodnia!

– Tak mi to bez zastanowienia przyszło na język – powiedział Smith usprawiedliwiająco.

– Tym gorzej – rzekł z wyrzutem Schaffer. – I musiałeś mnie na dodatek tak cholernie realistycznie stuknąć?

– To miejscowa specjalność. Co chcesz? Podziałało. – Smith podszedł do stolika Kramera, wziął wszystkie trzy notesy, ukrył je bezpiecznie pod bluzą i powiedział do Schaffera: – We trzech do kupy nie powinni byli nic pominąć... No, czas się zbierać. Gotów pan, panie Jones?

– Proszę się pośpieszyć – dodał Schaffer. – Musimy złapać tramwaj. A przynajmniej kolejkę linową.

– Czuję się jak na kurzej fermie w dżungli. – Jones wyglądał na zupełnie oszołomionego i tak samo brzmiał jego głos. – Aktorstwo? Mój Boże, nie mam o tym zielonego pojęcia.

– To wszystko, czego pan chce? – Kramer był znów całkowicie opanowany, spokojny, cichy – fachowiec. – Notesy? Tylko te notesy?

– Mniej więcej. Mnóstwo w nich sympatycznych nazwisk i adresów. Lektura do poduszki dla naszego wydziału.

– Rozumiem. – Kramer skinął głową na znak zrozumienia. – A więc ci ludzie są rzeczywiście tymi, za których się podają?

– Podejrzewaliśmy ich od wielu tygodni. Wychodziły od nas poufne informacje o bezcennej wartości, a wpływały fałszywe i zupełnie bezwartościowe. Dwa miesiące zabrało nam ustalenie, że miejsca przecieków i kanały przekazywania fałszywych informacji znajdują się w jednej albo paru sekcjach kierowanych przez tych ludzi. Wiedzieliśmy jednak, że nigdy nie będziemy w stanie im tego udowodnić. Nie byliśmy nawet pewni, czy jest więcej niż jeden zdrajca, i nie mieliśmy pojęcia, kim ten jeden jest. A zresztą udowodnienie im zdrady bez odnalezienia ich kontaktów w Anglii i za granicą byłoby bezużyteczne. Więc wymyśliliśmy... hm... ten fortel.

– Chciał pan powiedzieć, że pan go wymyślił, kapitanie Smith – powiedział Rosemeyer.

– Jakie to ma znaczenie? – spytał obojętnie Smith.

– Słusznie. Nie ma żadnego. Ale co innego jest ważne. – Rosemeyer uśmiechnął się słabo. – Kiedy pułkownik Kramer spytał pana, czy notesy to wszystko, czego pan chce, odpowiedział pan, „mniej więcej”, sugerując, że być może chodzi o coś jeszcze. Czy ma pan nadzieję upiec dwie pieczenie przy jednym ogniu i poprosić mnie o przyłączenie się do pana?

– Jeżeli jest pan w stanie w to uwierzyć, panie marszałku, to czas, żeby przekazał pan swoją buławę komu innemu – odparł niegrzecznie Smith. – Nie mam zamiaru wiązać panu rąk i nóg i nieść na ramieniu przez Alpy. Jedyne sposoby, w jakie mógłbym pana zabrać, to trzymając na muszce, a mocno się obawiam, że jest pan człowiekiem honoru, człowiekiem, którego strach o własną skórę nie dorównuje lojalności wobec ojczyzny. Gdybym wycelował w pana ten pistolet każąc panu wstać i iść z nami pod groźbą śmierci, nikt z obecnych nie ma wątpliwości, żeby pan nie usłuchał. Więc musimy się rozstać.

– Prawi pan komplementy równie gładko jak przeprowadza logiczny wywód. – Rosemeyer uśmiechnął się słabo i z goryczą. – Szkoda, że owa logika nie uderzyła mnie z taką siłą kilka minut temu, kiedy o tym rozmawialiśmy.

– Może to dobrze, że tak się stało – rzekł Smith.

– No, a... pułkownik Wilner? – spytał Kramer. – Szef wywiadu feldmarszałka Kesselringa. Z pewnością nie jest...

– Proszę się uspokoić. Willi-Willi nie znajduje się na naszej liście płac. Wierzy, że to co powiedział, jest szczerą prawdą. Wierzy, że jestem najlepszym podwójnym agentem we Włoszech. Przez prawie dwa lata dostarczałem mu bezwartościowych, fałszywych informacji. Proszę mu to przekazać.

– Coś jak potrójny agent, rozumiecie – cierpliwie wyjaśniał Schaffer. – To taki o stopień lepszy od podwójnego.

– A Heidelberg? – spytał Kramer.

– Dwa lata na uniwersytecie. Za zezwoleniem... hm... ministerstwa spraw zagranicznych.

Kramer potrząsnął głową.

– Ciągle jeszcze nie rozumiem...

– Przepraszam, ale już idziemy.

– Tak naprawdę, to już nas nie ma – dorzucił Schaffer. – Przeczytacie sobie o tym w powojennych wspomnieniach dzielnego wojaka Schaffera...

Urwał widząc szeroko otwierające się drzwi. Ukazała się w nich Mary, trzymając w ręku bardzo pewnie mauser. Opuściła go z westchnieniem ulgi.

– Nie śpieszyłaś się z przyjściem, co? – spytał surowo Smith. – Zaczynaliśmy się już trochę niepokoić.

– Przepraszam, po prostu nie mogłam się wyrwać. Von Brauchitsch...

– To bez znaczenia, młoda damo. – Schaffer wykonał pompatyczny gest prawą ręką. – Schaffer był tutaj.

– To ta nowa dziewczyna, która dzisiaj przyjechała! – wyszeptał Kramer. Wyglądał na nieco oszołomionego. – Kuzynka dziewczyny z...

– Któż inny – powiedział Smith. – To właśnie ona pomagała mi przez długi czas uszczęśliwiać pułkownika Wilnera. I to właśnie ona nas dzisiaj wpuściła.

– Szefie – jęknął Schaffer – daleki jestem od tego, żeby cię popędzać...

– Już idziemy. – Smith uśmiechnął się do Rosemeyera. – Ma pan rację, notesy to nie wszystko. Ma pan rację, że chcę mieć towarzystwo. Lecz w przeciwieństwie do pana ci, których chcę zabrać, wysoko sobie cenią własną skórę i nie mają ani krzty honoru. Więc pójdą. – Machnął bronią w kierunku Carracioli, Thomasa i Christiansena. – Wy trzej, wstawać! Idziecie z nami.

– Z nami? – spytał Schaffer z niedowierzaniem. – Do Anglii?

– Żeby stanąć przed sądem za zdradę stanu. Do moich obowiązków nie należy wyręczanie państwowego kata... Bóg jeden wie, ile setek tysięcy istnień kosztowali już ci trzej. Nie mówiąc o Torrance-Smythe'ie i sierżancie Harrodzie. – Spojrzał lodowatym wzrokiem na Carraciolę. – Nigdy się tego nie dowiem, ale zdaje mi się, że to ty byłeś mózgiem. To ty zabiłeś Harroda tam na górze. Gdybyś tylko zdobył notes z szyframi radiowymi, mógłbyś rozbić naszą siatkę w południowych Niemczech. To by było coś. Nigdy tu jej nie rozpracowano. Notes z szyframi był pułapką, która nie chwyciła... Dobrałeś się też do Smithy'ego. Wyszedłeś z gospody parę minut po mnie, a on poszedł za tobą. Ale nie mógł sobie poradzić z człowiekiem...

– Rzucić broń – rozległ się cichy, zimny i nie znoszący sprzeciwu głos von Brauchitscha.

Nikt nie usłyszał i nie zauważył ukradkiem otwieranych drzwi. Von Brauchitsch stał tuż za progiem, dobry metr za plecami Mary, z małokalibrowym rewolwerem w ręku. Smith obrócił się w miejscu, lecz kierując luger w stronę drzwi zawahał się przez fatalny ułamek sekundy, bo Mary znajdowała się niemal w jednej linii z von Brauchitschem. Von Brauchitsch, którego wcześniejsza galanteria ustąpiła raptownie miejsca zimnej, zawodowej ocenie sytuacji, nie miał jednak takich zahamowań. Rozległ się ostry, suchy trzask, kula przeszła rękaw Mary tuż nad łokciem, a Smith krzyknął z bólu chwytając się za krwawiącą dłoń; usłyszał jeszcze, jak szybujący luger uderza w jakiś mebel. Mary próbowała się odwrócić, ale von Brauchitsch był zbyt szybki i zbyt silny. Skoczył do przodu, otoczył ją ramieniem, chwycił za przegub ręki trzymającej broń, a własny rewolwer wystawił ponad jej ramieniem. Próbowała się wyrwać, lecz ścisnął ją za rękę tak,

że krzyknęła z bólu, rozwarła dłoń i upuściła pistolet. Wydawało się, że von Brauchitsch nic z tego nie zauważył. Prawym okiem, które jako jedyna nie osłonięta część jego ciała wystawało spoza Mary, bez zmrużenia patrzył wzdłuż lufy swojego rewolweru.

Schaffer upuścił broń.

– Nie powinien był pan tego robić – zwrócił się von Brauchitsch do Smitha. – Zachował się pan wyjątkowo głupio... Chociaż... w pańskiej sytuacji zrobiłbym dokładnie to samo głupstwo. – Spojrzał na Kramera. – Przepraszam za spóźnienie, panie pułkowniku. Ale wydawało mi się, że młoda dama jest bardzo niespokojna i nerwowa. A poza tym wie diablo mało o swoim rodzinnym Düsseldorfie. Nie jest również na tyle mądra, żeby nie pozwolić trzymać się za rękę, kiedy kłamie, co robi prawie cały czas. – Puścił dziewczynę, obrócił do siebie i uśmiechnął się. – Urocza ta rączka, moja droga, ale jakąż fascynująca zmienność pulsu.

– Nie wiem, o czym pan mówi, i nic mnie to nie obchodzi. – Kramer wydał długie, swobodne westchnienie i z wielką ulgą opadł na fotel. – Świetnie się pan spisał, mój drogi, świetnie się pan spisał. Mój Boże! Jeszcze minuta... – Dźwignął się na nogi, roztropnie unikając znalezienia się na linii strzału von Brauchitscha podszedł do Schaffera i sprawdził, czy nie ma ukrytej broni. Nie znalazłszy nic, obszukał z podobnym rezultatem Smitha, a potem podał mu białą chusteczkę, żeby zatamował krew, spojrział na Mary i zawahał się. – Cóż, nie pojmuję, jak ona może być w to zamieszana, ale... Ciekawe. Anne-Marie?

– Oczywiście, panie pułkowniku. Z przyjemnością. Już się spotkałyśmy i zna moje metody. Prawda, moja droga?

Z uśmiechem tak drapieżnym, na jaki tylko stać piękną Aryjkę, Anne-Marie podeszła do Mary i ze złością uderzyła ją w twarz Mary krzyknęła z bólu, zatoczyła się i przysiadła zapierając się dłońmi o ścianę, żeby nie upaść. W bladej twarzy jej oczy wydawały się nienaturalnie duże, z kącika ust płynęła strużka krwi.

– No? – spytała Anne-Marie. – Masz broń?

– Anne-Marie! – Na twarzy Kramera pojawił się wyraz sprzeciwu i odrazy. – Czy musisz...

– Wiem, jak się obchodzić z takimi nędznymi szpiegami jak ona! – Anne-Marie obróciła się ku Mary i powiedziała: – Oni nie lubią patrzeć, w jaki sposób osiągam swoje wyniki. Wejź tam!

Złapała Mary za włosy, zaciągnęła do bocznych drzwi, otworzyła je i gwałtownie wepchnęła ją do środka. Dobiegł stamtąd odgłos ciała walącego się na podłogę i jednocześnie kolejny jęk bólu. Anne-Marie zamknęła za sobą drzwi.

Potem przez jakieś dziesięć sekund słychać było wyraźnie odgłosy uderzeń i zduszone

krzyki. Von Brauchitsch ruchem rewolweru nakazał Smithowi i „Schafferowi cofnąć się, zrobił parę kroków, przysiadł na skraju jednego z wielkich foteli, skrzywił się słysząc odgłosy szamotaniny i odezwał się sucho do Kramera:

– Coś mi się zdaje, że młoda dama wolałaby, żebym to ja ją zrewidował. Cena fałszywej skromności ma pewne granice.

– Niestety, Anne-Marie daje się czasem ponieść entuzjazmowi – przyznał Kramer, krzywiąc się z niesmakiem.

– Czasem? – Von Brauchitsch również się skrzywił, gdyż przez drzwi doleciały kolejne odgłosy: uderzenia ciała o ścianę, pisk bólu, cichy szloch zmieszany z jękiem, a potem – cisza. – Zawsze. Kiedy ta druga jest równie młoda i piękna jak ona.

– Już po wszystkim – westchnął Kramer. – Już po wszystkim. – Spojrzał na Smitha i Schaffera. – Najpierw opatrzmy panu rękę, a potem... cóż, jedno da się powiedzieć o Schloss Adler, że nie brak tu lochów. – Urwał; nieznacznemu rozszerzeniu oczu towarzyszyło równie nikłe pochylenie ramion. Ostrożnie powiedział do von Brauchitscha: – Jest pan zbyt cenny, żeby ginąć, kapitanie. Wygląda na to, że współczuliśmy niewłaściwej osobie. O metr za panem znajduje się rewolwer wycelowany w środek pańskich pleców.

Von Brauchitsch opierając bezsilnie rękę z rewolwerem na udzie obrócił powoli głowę i spojrzał przez ramię. Rzeczywiście znajdował się tam rewolwer, automatyczny liliput wycelowany w środek jego pleców. Trzymająca go dłoń była niebezpiecznie nieruchoma, a ciemne oczy patrzyły chłodno i bardzo czujnie. Z wyjątkiem wąskiej strużki krwi z rozciętej wargi i dość rozwichrzonych włosów Mary prawie wcale nie wyglądała na poturbowaną.

– Obowiązkiem każdego rodzica jest zachęcanie córki do podjęcia nauki judo – rzekł tonem wyroczni Schaffer. Z nie stawiającej oporu dłoni von Brauchitscha wyjął broń, podniósł swojego schmeissera, podszedł do głównych drzwi i zamknął je na klucz. – Stanowczo za dużo ludzi wchodzi tu bez pukania – wyjaśnił. Wracając zajrzał do bocznego pokoju, gwizdnął, wyszczerzył w uśmiechu zęby i powiedział do Mary: – Całe szczęście, że upatrzyłem sobie inną. Nie chciałbym być pani mężem, kiedy wpada pani w złość. Tam w środku jest regularny szpital. Niech pani opatrzy majorowi rękę najlepiej jak umie, a ja ich przypilnuję. – Podniósł schmeissera i uśmiechnął się niemal z rozkoszą. – O tak, już ja ich przypilnuję.

I pilnował ich. Kiedy Mary opatrywała zranioną dłoń Smitha w pokoiku, w którym Anne-Marie tak niedawno przeżyła swoje Waterloo, Schaffer zgromadził swoich podopiecznych na jednej z wielkich kanap, zajął miejsce przy kominku, nalał sobie trochę koniaku i sącząc go po troszku co jakiś czas rzucał jeńcom zachęcające spojrzenia.

W odpowiedzi nie było uśmiechów. Oprócz nonszalancji i niefrasobliwego kpiarstwa była w nim, gdy tak stał z bronią w ręku, nie tylko zimna i odstrasząca fachowość, ale sprawiał też wrażenie kogoś, kto w razie potrzeby bez wahania naciśnie spust i nie zdejmie z niego palca. Fakt znalezienia się po niewłaściwej stronie schmeissera nie sprzyja beztrudnej serdeczności we wzajemnych stosunkach.

Smith i Mary wyłonili się z bocznego pokoiku. Ona niosła przykrytą płótnem tackę, on był błydy i miał grubo obandażowaną dłoń. Schaffer spojrział na rękę Smitha, potem na Mary i uniósł pytająco brwi.

– Jeżeli przeżyłem pierwszą pomoc Mary, to przeżyję wszystko – powiedział filozoficznie Smith. – Mamy tu pilniejszy problemik. – Poklepał się po mundurze. – Te nazwiska i adresy. Upłynie parę godzin, zanim prześlemy je do Anglii, a potem znowu parę godzin, zanim wyłapie się tych ludzi. – Spojrział na siedzących na kanapie. – Wy moglibyście o wiele szybciej nawiązać kontakt i ostrzec ich. A zatem musimy sobie zapewnić wasze kilkugodzinne milczenie.

– Moglibyśmy to sobie zapewnić raz na zawsze, szefie – odezwał się beztrudnie Schaffer.

– Nie ma potrzeby. Jak sam powiedziałaś, jest tu regularny szpital. – Zdjął płótno z tacki odsłaniając buteleczki i strzykawki. Jedną z buteleczek podniósł do góry. – Nembutal. Nawet nie poczujecie ukłucia.

Kramer wlepił w niego wzrok.

– Nembutal? Niech mnie diabli, jeżeli na to pozwolę.

– Umrze pan, jeżeli się pan nie podda – powiedział Smith z najgłębszym przekonaniem.

Przed drzwiami z napisem „*Radio Raum*” Smith zatrzymał się, podniósł rękę nakazując ciszę, spojrzął na trzech skwaszonych jeńców i powiedział:

– Niech wam nawet do głowy nie przyjdzie kogoś zawiadamiać czy podnosić alarm. Nie tak mi znowu pilno zabierać was do Anglii. Poruczniku Schaffer, myślę, że możemy nieco bardziej unieruchomić tych ludzi.

– Z powodzeniem – zgodził się Schaffer. Podszedł od tyłu kolejno do wszystkich trzech, rozerwał górne zapięcia mundurów, ściągnął im kurtki w dół, aż rękawy sięgnęły łokci, i powiedział tym samym cichym głosem: – Przez jakiś czas nie będą pchali rąk gdzie nie trzeba.

– Mają jeszcze nogi. Nie pozwól im się zbliżyć – powiedział Smith do Mary. – Nie mają nic do stracenia. W porządku, Schaffer zaczniemy, jak tylko będziesz gotów.

– Jestem gotów.

Schaffer cicho i ostrożnie uchylił drzwi radiostacji. Było to duże, dobrze oświetlone, lecz bardzo nieprzytulne pomieszczenie, wyposażone przede wszystkim w masywny stół stojący w głębi pod oknem i umieszczony na nim niemal równie masywny, połyskujący metalicznie nadajnik. Poza tym oprócz dwóch krzeseł i kartoteki w pokoju nie było innych mebli, nawet dywanu, który by przykrył podłogę z desek.

Być może właśnie ten brak dywanu ich zdradził. Kiedy Schaffer skradając się pokonywał pierwszą połowę drogi, radiotelegrafista siedział odwrócony tyłem paląc w leniwym zobojętnieniu papierosa i słuchając cichej austriackiej muzyki ludowej, płynącej z wielkiego aparatu. Nagle, zaalarmowany leciutkim skrzypnięciem podłogi albo po prostu za sprawą szóstego zmysłu, określił się w miejscu i zerwał na nogi. A myślał równie szybko, jak się poruszał. Nawet wtedy, gdy podnosił wysoko ręce, na pozór skwapliwie się poddając, wydawało się, że jego prawa noga przesuwana się nieznacznie w lewo. Na przeraźliwy hałas dzwonka alarmowego, który rozbrzmiał zniecka na zewnątrz, w korytarzu, Schaffer skoczył do przodu i zamachnął się schmeisserem. Radiotelegrafista zatoczył się na nadajnik i nieprzytomny osunął się na podłogę. Ale Schaffer spóźnił się. Dzwonek nie przestawał dzwonić.

– Tylko tego mi brakowało! Psiakrew! – zaklął Smith z goryczą. Wybiegł na korytarz, metr dalej pod osłoną ze szkła zobaczył dzwonek alarmowy i ze złością uderzył weń kolbą pistoletu. Strzaskane szkło zabrzęczało o podłogę i hałas dzwonka nagle ustał.

– Do środka! – Smith wskazał otwarte drzwi radiostacji. – Wszyscy! Szybko! – Zapędziwszy ich do środka, rozejrzawszy się, dostrzegł po prawej stronie boczne drzwi i powiedział do Mary: – Prędko! Co tam jest? Schaffer!

– Znów na pożarcie lwom – zamruczał Schaffer. Przeszedł przez pokój i zajął miejsce przy drzwiach. – Można by się bez tego obejść, szefie.

– Na tym świecie można by się obejść bez wielu rzeczy – odparł Smith ze znużeniem. Spojrzał na Mary. – I co?

– Wygląda na magazyn radiowych części zapasowych.

– Ty i Jones weźcie tych trzech do środka. Jeżeli tylko pisną, strzelajcie.

Jones spuścił wzrok na pistolet, który delikatnie trzymał w ręku.

– Nie jestem wojskowym, proszą pana – powiedział.

– Rozczaruję pana – odrzekł Smith. – Ja również.

Podszedł pośpiesznie do nadajnika, usiadł i zaczął przyglądać się gąszczowi tarcz, gałek i przełączników. Siedział tak całe dwadzieścia sekund, tylko patrząc.

– Wiesz, jak się z tym obchodzić, szefie? – odezwał się od drzwi Schaffer.

– Świetna pora na pytania – odrzekł Smith. – Wkrótce się o tym przekonamy, prawda?

Nastawił przełącznik na nadawanie, wybrał pasmo fal ultrakrótkich i nastroił aparat na właściwą częstotliwość. Włączył jeszcze jeden przełącznik i podniósł mikrofon.

– Szabla wzywa Danny Boya – powiedział. – Szabla wzywa Danny Boya. Słyszycie mnie? Słyszycie mnie?

Nikt go nie słyszał albo jeśli słyszał, to tego nie okazywał. Smith minimalnie zmienił częstotliwość i ponowił wywołanie. I jeszcze raz. I jeszcze raz. Przy szóstej czy siódmej próbie podskoczył na huk wystrzałów z pistoletu maszynowego dobiegający od drzwi. Obrócił się. Schaffer leżał rozciągnięty jak długi na podłodze, a z lufy jego schmeissera smużył się dym.

– Mamy gości, szefie – oznajmił przepaszającym tonem. – Chyba żadnego nie trafiłem, ale jak amen w pacierzu popędziłem im kota.

– Szabla wzywa Danny Boya – mówił Smith natarczywie i z uporem. – Szabla wzywa Danny Boya. Jak Boga kocham, dlaczego się nie odzywają?

– Nie mogą wyjść z za rogu korytarza, bo przeszyję ich na pół – mówił z przyjemnością Schaffer leżąc na podłodze w niedogodnej poziomej pozycji. – Mogę ich tak trzymać do Bożego Narodzenia. Więc nie ma pośpiechu.

– Szabla wzywa Danny Boya. Szabla wzywa Danny Boya. Jak myślisz, ile czasu im zajmie, żeby odciąć prąd?

– Jak Boga kocham, Danny Boy – błagał Schaffer. – Dlaczego się nie odzywasz? Dlaczego się nie odzywasz?

– Danny Boy wzywa Szablę. – Głos przez radio był spokojny, donośny, wyraźny i do tego stopnia wolny od zakłóceń, że mógłby dobiegać z sąsiedniego pokoju. – Danny Boy...

– Jedna godzina, Danny Boy – przerwał mu Smith. – Jedna godzina. Zrozumiano?

Odbiór.

– Zrozumiano. Masz to, Szabla? – Głos bez wątpienia należał do admirała Rollanda. –

Odbiór.

– Mam – powiedział Smith. – Mam wszystko.

– Wszystkie grzechy odpuszczone. Matka Machree przylatuje ci na spotkanie. Już wychodzi.

Rozległ się ponowny trzask staccato – to Schaffer puścił kolejną serię ze schmeissera.

– Co to było? – dobiegł z głośnika głos admirała.

– Zakłócenia – odparł Smith.

Nie zadał sobie nawet tyle trudu, żeby wyłączyć nadajnik. Wstał, odszedł trzy kroki i puścił dwusekundową serię z pistoletu maszynowego. Odrzut broni przeszył bólem jego zranioną dłoń, więc wykrzywił się z bólu. Nikt już nie skorzysta z tego radia, pomyślał i zerknął na Schaffera. Tylko zerknął. Twarz Amerykanina, choć skupiona, była spokojna i pogodna. Znalezliby się tacy, którzy potrzebowaliby słów zachęty i uspokojenia, ale Schaffer do nich nie należał. Smith podszedł szybko do okna i lewą ręką podciągnął dolne skrzydło.

Księżyc był akurat niemal zupełnie zakryty przez ciemną sunącą chmurę i w na wpół widoczną w mroku dolinę przesączało się jedynie słabe rozproszone światło. Znów łagodnie zaczynać padać śnieg. Powietrze było naprężone, kruche i tak intensywnie zimne, jak przenikający do kości arktyczny chłód, a wiatr dmący przez pokój tak lodowaty, jakby wiał tu znad polarnych lodów.

Smith uświadomił sobie, że znajduje się we wschodnim skrzydle zamku, po przeciwnej stronie niż stacja kolejki linowej. Podstawę wulkanicznego czopu spowijał tak głęboki mrok, że nie można było mieć żadnej pewności, czy na dole patrolują strażnicy z dobermanami. Zresztą dla ich obecnych zamiarów, których celem było przeżycie, nie miało to właściwie znaczenia. Smith wycofał się spod okna, z torby z ekwipunkiem wyciągnął nylonową linę, przywiązał mocno jeden jej koniec do metalowej nogi stołu, na którym stał nadajnik, wyrzucił w noc za oknem resztę liny, a potem działając metodycznie lewą ręką zdarł i zmiotł zmarzniętą skorupę śniegu z samego parapetu i z kilkudziesięciu centymetrów muru pod nim. Musiałby ktoś mieć nazbyt krytyczne oko, pomyślał, żeby nie odnieść natychmiast wrażenia, że na parapecie panował ostatnio duży ruch. Zastanawiał się mgliście, czy lina sięga do samej ziemi, lecz odrzucił tę myśl, ledwie mu zaświtała. To również nie miało właściwego znaczenia.

Przeszedł przez pokój podchodząc do rozkrzyżowanego w progu Schaffera. Klucz znajdował się w zamku po wewnętrznej stronie drzwi, a zamek, jak zauważył z zadowoleniem, był tak samo masywny, jak wszystko w Schloss Adler.

– Czas zamknąć drzwi – powiedział do Amerykanina.

– Zaczekajmy, aż znów się pokażą, a wtedy jeszcze trochę ich zniechęcimy – zaproponował Schaffer. – Ostatni zuch wytknął głowę zza tego rogu parę minut temu. Jeszcze jedno zerknięcie, jeszcze jedna salwa Schaffera i znów dla nas parę minut ulgi. Dość czasu, żeby nasz zjazd po linie i ucieczka wyglądały prawdopodobnie.

– Powiniennem być o tym pomyśleć. – Od otwartego okna przez otwarte drzwi przeleciał przez pokój lodowaty podmuch wiatru ze śniegiem. Smith wstrząsnął się. – Mój Boże, ale ostry!

– Upływ krwi – stwierdził lakonicznie Schaffer, a potem dodał bez współczucia: – No i cały ten koniak, który tam wyżłopałeś. Kiedy zaczynają się otwierać pory...

Urwał i leżał w zupełnym bezruchu, obniżywszy minimalnie głowę, żeby patrzeć wzdłuż lufy schmeissera.

– Latarkę, szefie – powiedział cicho.

Smith wręczył mu latarkę.

– O co chodzi? – szepnął.

– O ostrożność – mruknął Schaffer. Zapalił latarkę, położył ją na podłodze i odepchnął od siebie najdalej jak mógł. – Myślę, że będąc na ich miejscu też byłbym ostrożny. Zza rogu wystaje patyk, a do patyka przywiązane jest lustro. Tyle, że ustawili je pod złym kątem.

Smith wyjrzał ostrożnie za framugę drzwi akurat na czas, żeby zobaczyć, jak patyk z zawieszonym lustrem zostaje wycofany z ich pola widzenia, zapewne dla dokonania poprawek. Gdy kilka sekund później patyk znów się pojawił, tym razem z lustrem ustawionym pod kątem mniej więcej 45°, oba rozprysły się na kawałki w takt głuchego staccato pistoletu maszynowego Schaffera. Schaffer wstał, wycelował dokładnie w pojedynczą, wiszącą pod sufitem lampę oświetlającą korytarz i oddał jeden strzał. Teraz paliła się jedynie leżąca na podłodze latarka, której światło nie tylko skutecznie ukrywało przed Niemcami na drugim końcu korytarza, co się dzieje w progu, ale także utrudniało bez wątplenia rozstrzygnięcie, czy drzwi radiostacji są otwarte czy zamknięte.

Smith i Schaffer wycofali się do pokoju, bezszelestnie zamknęli za sobą drzwi i równie bezszelestnie przekręcili klucz, po czym Schaffer posłużony schmeisserem jako dźwignią zgiął klucz tak, że zaklinował go mocno w zastawkach zamku.

Czekali. Upłynęły co najmniej dwie minuty, zanim usłyszeli podniecone głosy dobiegające z drugiego końca korytarza, a wkrótce potem rozległ się łomot ciężkich butów. Odsunęli się od drzwi i wśliznęli do magazynu części radiowych, pozostawiając w drzwiach szparę wystarczającą, żeby sączył się przez nią słaby odbłask światła.

– Mary, ty z panem Jonesem do Thomasa – rzekł cicho Smith. – Lufy przy skroniach.

Sam zajął się Christiansenem. Zmusił go do ukłęknięcia i wbił mu pistolet w kark. Schaffer ustawił Carraciolę pod ścianą i mocno przycisnął wylot lufy schmeissera do jego ust. Uśmiechnął się sympatycznie po drugiej stronie pistoletu, a zęby błysnęły mu lekko w niemal zupełnych ciemnościach. Pokoik zamarł w bezruchu.

Pół tuzina Niemców przed drzwiami radiostacji w niczym nie przypominało starszawego strażnika z dziedzińca, którego wypytywał von Brauchitsch. Była to elita strzelców alpejskich – bezwzględni żołnierze, których bezwzględnie wyćwiczono. Żaden z nich nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby zbliżyć się do klamki lub zamka. Mechaniczna sprawność, z jaką rozprawili się z tymi drzwiami nie narażając samych siebie na ryzyko, była bezspornie wynikiem dobrze opanowanego sposobu zachowania w dokładnie tego typu sytuacjach.

Na znak dowodzącego oberleutnanta jeden z żołnierzy zrobił krok do przodu i dwoma zamaszystymi ukośnymi pociągnięciami ręki opróżnił magazynek pistoletu maszynowego w drzwi. Drugi użył swojego pistoletu, żeby wyciąć w drzewie zgrabne kółko, a potem odwróciwszy broń stuknął w nie kolbą. Trzeci odbezpieczył dwa granaty i wrzucił je celnie w powstały otwór, a czwarty przestrzelił zamek. Żołnierze przywarli do ścian po obu stronach drzwi. Dwa głuchoe wybuchy pękających granatów rozległy się niemal równocześnie, a z okrągłego otworu w drzwiach zaczął się wylewać dym.

Kopnięciem otwarto drzwi i żołnierze wbiegli do wnętrza. Środki ostrożności nie były już potrzebne. Ktokolwiek znajdowałby się w zamkniętym pomieszczeniu, w którym wybuchły granaty, byłby w tej chwili martwy. Przez chwilę panował chaos i niezdecydowanie, aż wreszcie silny przeciąg częściowo rozwiął niebieski, gryzący dym. Oberleutnant odnalazłszy źródło przeciągu za pomocą małej ręcznej latarki podbiegł do otwartego okna, zatrzymał się na widok liny znikającej za parapetem, wychylił się, przetarł łzawiące od dymu oczy i spojrzął w dół za strumieniem światła latarki. Siegało ono gdzieś do połowy wulkanicznego czopu. Nie było widać nic. Złapawszy wolną ręką linę szarpnął nią dziko – była tak lekka, że prawie nie czuło się jej ciężaru. Na chwilę oświetlił latarką poruszony śnieg na parapecie, a potem wycofał się do środka.

– *Gott im Himmel!* – krzyknął. – Uciekli. Już są na dole. Szybko, najbliższy telefon!

– No tak. – Schaffer przysłuchując się cichnącemu odgłosowi biegnących stóp zdjął lufę schmeissera z zębów Carracioli i uśmiechnął się z aprobatą. – Byłeś bardzo grzeczny – pochwalił go i nie zdejmując pistoletu z jego pleców przeszedł za Smithem do zdemolowanego pokoju.

– Stwierdzenie, że w śniegu na dole nie ma śladów, nie zajmie im zbyt dużo czasu –

powiedział w zamyśleniu.

– A jeszcze mniej odkrycie, że zniknęła lina. – Szybkimi ruchami, nie zwracając uwagi na szarpiący ból w prawej ręce, Smith wciągnął linę przez okno. – Będzie nam potrzebna. Jak również parę efektownych numerów rozrywkowych.

– Co do mnie, jestem wystarczająco rozerwany – powiedział Schaffer.

– Weź ze cztery, pięć porcji plastiku, każdą z lontem o innej długości, i powrzucaj je do pokoi w korytarzu.

– Już się robi. – Schaffer wyciągnął z torby z ekwipunkiem kilka ładunków, przyciął wolnopalne lonty do różnych długości, do każdego z nich przymocował spłonkę, powiedział: – Możecie uważać sprawę za załatwioną – i wyszedł.

Pierwsze trzy pokoje, do których dotarł, były zamknięte na klucz, nie tracił więc czasu ani cennej amunicji lugera na próbę ich otwarcia. Za to żaden z następnych pięciu pokoi nie był zamknięty. W pierwszych trzech, które były sypialniami, umieścił ładunki kolejno w drezdniejskiej misie na owoce, pod oficerską czapką i pod poduszką. W czwartym pomieszczeniu, łazience, umieścił ładunek za muszlą klozetową, a w piątym, magazynie, wysoko na półce obok jakichś pudeł, wyglądających na niezwykle łatwopalne.

Smith tymczasem wyprowadził pozostałych z radiostacji ciągle jeszcze pełnej dymu, wyciskającego łzy z oczu i drażniącego gardło, na korytarz, gdzie powietrze było stosunkowo czyste, i czekał właśnie na powrót Schaffera, gdy nagle na widok sprzętu przeciwpożarowego: dużej gaśnicy śniegowej, kubłów z piaskiem i toporków strażackich, leżących na niskim podeście pod ścianą, jego twarz przybrała zamyślony wyraz.

– Gorzej z tobą, majorze Smith. – Oczy Mary miały czerwone obwódki, jej twarz ze smugami łez była biała jak papier, a jednak jeszcze się do niego uśmiechała. – Mówiłeś o „rozrywce”. Sama o tym pomyślałam, chociaż ja, to tylko ja.

Smith posłał jej półuśmiech – ręka bolała go tak, że nie stać go było na drugą połowę – i nacisnął klamkę znajdujących się obok podestu drzwi z napisem „*Akten Raum*” – Archiwum. Takie drzwi musiały być nieuchronnie zamknięte na klucz. W lewą rękę ujął broń, przystawił do zamku, nacisnął spust i wszedł do środka.

Pomieszczenie istotnie wyglądało na archiwum. Pokój był obstawiony mnóstwem półek oraz sięgającymi sufitu stosami kartotek i papierów. Smith podszedł do okna, otworzył je na oścież, żeby zwiększyć przeciąg, rozrzucił spore sterty papierów po podłodze i przytknął do nich zapalniczkę. Papier zajął się od razu i w ciągu niewielu sekund płomienie buchały na wysokość metra.

– Chyba o czymś zapomniałeś – powiedział Schaffer, który właśnie wrócił z wielką gaśnicą śniegową i podszedł z nią do okna. – Pilnujcie kapeluszy albo uwaga na głowy, czy jak tam się mówi.

Gaśnica znikła za oknem. Pokój palił się już tak gwałtownie, że Schaffer miał trudności z odnalezieniem powrotnej drogi do drzwi. Kiedy potykając się wyszedł, ubranie i włosy miał osmalone, a twarz poczerniała od dymu. Gdzieś daleko w dole, w czeluściach Schloss Adler, przeraźliwie i alarmująco rozdzwonił się basowy dzwon.

– Rany boskie, co teraz? – spytał Schaffer z rozpaczą. – Straż pożarna?

– Coś w tym guście – rzekł markotnie Smith. – Cholera, dlaczego najpierw nie sprawdziłem? Teraz wiedzą, gdzie jesteśmy.

– Termowrażliwe urządzenie połączone z czujnikiem?

– A co innego? Chodźcie.

Popychając przed sobą jeńców pomknęli centralnym korytarzem, zbiegli główną klatką schodową i kierowali się do następnej, kiedy usłyszeli krzyki i tupot żołnierzy, wbiegających na schody z zamkowego dziedzińca.

– Szybko! Tam! – Smith wskazał zasłoniętą kotarą niszę. – Pośpieszcie się! O Boże, zapomniałem o czymś! – Odwrócił się i pobiegł z powrotem tą samą drogą, którą przybył.

– Gdzie on, do diabła... – Schaffer urwał, uświadamiając sobie, że zbliżający się żołnierze są prawie przy nich, okręcił się w miejscu i dźgnął boleśnie najbliższego stojącego jeńca lufą schmeissera. – Do niszy! Prędko! – W słabym świetle za zasłonami wymienił pistolet maszynowy na lugera z tłumikiem. – Niech wam na myśl nie przyjdzie dotykać zasłon. Przy hałasie tego dzwonu nawet nie usłyszają, że giniecie.

Nikt nie dotknął zasłon. Żołnierze w rajtarskich butach przebiegli dysząc ciężko o metr od nich. Zadudnili wściekle wbiegając na schody, którymi zeszli Smith i reszta, a potem nagle kroki ucichły. Sądząc po nowych okrzykach, z pewnością musieli właśnie zobaczyć pożar i nagle po raz pierwszy zdali sobie w pełni sprawę z rozmiarów zadania, jakie przed nimi stało.

– Alarm! Sierzancie, do telefonu! – Był to głos oberleutnanta, który kierował przedtem forsowaniem drzwi radiostacji. – Drużyna strażacka biegiem! Węże, więcej gaśnic śniegowych. Gdzie, na miłość boską, jest pułkownik Kramer?! Kapralu! Natychmiast odszukać pułkownika Kramera.

Kapral nic nie odpowiedział. Wystarczającą odpowiedzią był stukot obcasów, gdy pędził po schodach. Minał niszę, zbiegł w dół następnym odcinkiem schodów i wkrótce odgłos jego kroków zginął wśród metalicznego hałasu dzwonu alarmowego. Schaffer zaryzykował zerknięcie przez szparę w kotarze właśnie wtedy, gdy na palcach nadbiegał Smith.

– Gdzie byłeś, do diabła? – spytał tłumiąc złość.

– Jazda, jazda! Wychodzić! – ponaglał Smith. – Nie, Jones, nie po schodach, chce pan spotkać się z całym pułkiem strzelców alpejskich biegnącym pod górę? Korytarzem do

zachodniego skrzydła. Wykorzystamy boczne schody. Na miłość boską, pośpieszcie się. Za kilka sekund będzie tu ruch jak na Piccadilly Circus.

Schaffer biegł z tupotem korytarzem obok Smitha. Kiedy znów się odezwał, zrodzona z niepokoju zapalczliwość w jego głosie miała w sobie jakiś płaczliwy ton.

– Więc gdzie byłeś, do jasnej cholery?

– U żołnierza, którego zostawiliśmy związanego w pokoju obok centrali. Archiwum jest bezpośrednio nad nim. Właśnie sobie o tym przypomniałem. Przeciąłem mu więzy i wyciągnąłem na korytarz. Spaliłby się żywcem.

– Zrobiłeś to? – spytał zdumiony Schaffer. – Myślisz o piekielnie ważnych rzeczach, co?

– Zależy, jak na to patrzeć. Nasz przyjaciel leżący teraz w tamtym korytarzu nie podzielałby twoich uczuć. Dobra, tymi schodami w dół i przed siebie. Mary, wiesz, które drzwi.

Wiedziała. Piętnaście kroków od schodów zatrzymała się. Smith zerknął przez okno po lewej stronie przejścia. W oknach i otworach strzelniczych północno-wschodniej wieży zamku widać już było dym i płomienie. W dole po dziedzińcu biegały dziesiątki żołnierzy, większość, jak się wydawało, bez rozsądnego celu czy kierunku. Nie biegał tylko jeden człowiek. Był nim ubrany w kombinezon pilot helikoptera, pochylony nieruchomo nad silnikiem. Kiedy Smith mu się przyglądał, pilot wyprostował się powoli, uniósł prawą rękę i potrząsnął pięścią w kierunku płonącej wieży.

Smith odwrócił się od okna.

– Jesteś pewna, że to ten pokój? – spytał. – Dwa piętra poniżej okna, którym weszliśmy?

Mary skinęła głową.

– Na pewno. To ten.

Smith nacisnęła klamkę, ale drzwi były zamknięte na klucz. Pora na wytrychy i tego rodzaju finezję minęła. Przytknął lufę lugera do zamka.

Kapral, którego wysłał oberleutnant, żeby odnalazł pułkownika Kramera, natrafił na ten sam problem, nacisnąwszy klamkę drzwi złotej komnaty. Kiedy bowiem Smith i reszta opuszczali to miejsce, Schaffer zamknął drzwi na klucz i z rozmysłem wyrzucił go przez najbliższe okno. Kapral zapukał z szacunkiem. Nie było odpowiedzi. Zapukał głośniejsze, z tym samym wynikiem. Nacisnął klamkę i napał na drzwi barkiem, lecz wskórał tyle, że zabołało go ramię. Uderzył więc kilka razy w okolicę zamka kolbą schmeissera, ale cieśle, którzy robili drzwi dla Schloss Adler, znali się na swojej robocie. Zawahał się, potem odwrócił pistolet i wypuścił serię w zamek modląc się w duchu, żeby pułkownik Kramer

nie spał w fotelu w prostej linii z dziurką od klucza.

Pułkownik spał, owszem, lecz nie na tej linii. Z poduszką troskliwie podłożoną pod głowę leżał rozciągnięty na złotym dywanie. Kiedy kapral wszedł powoli do złotej komnaty, brwi uniosły mu się do granicy włosów – osłupiał z głębokiego zdumienia. Marszałek Rosemeyer leżał rozciągnięty obok pułkownika, von Brauchitsch i sierżant siedzieli rozwaleni w fotelach z głowami opadającymi na ramiona, a Anne-Marie, bardzo rozczochrana i chyba pobita, leżała na jednej z kanap pokrytych złotą lamą.

Oszołomiony, ciągle nic nie rozumiejąc, kapral podszedł do Kramera, ukląkł przy nim i potrząsnął go za ramię, z początku delikatnie i z szacunkiem, potem ze wzrastającą gwałtownością. Po jakimś czasie zaświtało mu, że mógłby tak potrząsać ramieniem pułkownika całą noc i nic by na tym nie zyskał.

I wtedy zauważył po raz pierwszy, że mężczyźni są bez kurtek i że wszyscy, z Anne-Marie włącznie, mają lewy rękaw podwinięty do łokcia. Rozejrzał się wolno po komnacie, a kiedy jego wzrok spoczął na tacce z buteleczkami, fiolkami i strzykawkami, zupełnie znieruchomiał. Głębokie zdumienie na jego twarzy powoli ustąpiło miejsca równie głębokiemu zrozumieniu. Wystrzelił przez drzwi jak faworyt olimpijskiego finału stumetrówki.

Schaffer obwiązał nylonową liną wezgiem żelaznego łóżka, sprawdził, czy węzeł trzyma, podciągnął dolne skrzydło okna, zepchnął linę na zewnątrz i nieszczęśliwym wzrokiem spojrzął w dolinę. Na przeciwległym krańcu wsi pulsująca luna znaczyła tłące się zgliszcza tego, co było kiedyś stacją kolejową. Światelka samej wsi migotały wyraźnie. W dole tuż na prawo od miejsca, gdzie stał, widać było czterech patrolujących strażników i tyleż psów. Kramer miał podstawy twierdzić, że na zewnątrz podwojono strażę, a łatwość, z jaką Schaffer je zobaczył, stała się aż nadto zrozumiała, kiedy zadarł głowę i spojrzął w niebo poprzez drobno sypiący śnieg. Księżyc wysunął się właśnie spoza czarnego zwału chmur i żeglował po niepokojąco rozległym płacie pogodnego nieba. Widać było nawet gwiazdy.

– Będę tu za oknem ciut widoczny, szefie – poskarżył się. – A na dole biega luzem wilcza zgraja.

– Nawet gdyby wymierzyli w to okno baterię reflektorów-szperaczy, to i tak nie miałyby to znaczenia – odparł Smith. – Nie mamy wyboru. Pośpiesz się!

Schaffer skinął żałośnie głową, wysunął się przez okno, pochwycił linę i słysząc przytłumiony odgłos wybuchu dobiegający ze wschodniego skrzydła zamku na chwilę znieruchomiał.

– Numer jeden – powiedział z satysfakcją. – Bach! leci misa dreźnieńskich owoców...

albo drezdeńska misa z owocami. Mam gorącą nadzieję – dodał z niepokojem – że nikt nie korzysta właśnie z ubikacji przy pokoju, gdzie wybuchło.

Smith otworzył usta, żeby zrobić niecierpliwą uwagę, ale Schaffera już nie było. Zaledwie cztery i pół metra i stanął na dachu górnej stacji. Smith wysunął się niezgrabnie na parapet, owinął linę wokół prawego przedramienia, przeniósł ciężar ciała na lewą rękę i spojrzał na Mary. Uśmiechem dodała mu otuchy, której jednak zupełnie brakowało w jej twarzy, gdy przeniosła wzrok na trzech mężczyzn, stojących w szeregu twarzą do ściany, z rękami splecionymi na karku. Carnaby-Jones mierzył w nich również, tylko że trzymał pistolet tak, jakby ten w każdej chwili mógł się odwrócić i go ugryźć.

Smith dołączył do Schaffera na dachu stacji. Obaj przykucnęli nisko, żeby do minimum ograniczyć możliwość dostrzeżenia ich z dołu. Przez trzy metry od muru dach biegł płasko, a potem opadał stromo pod kątem trzydziestu stopni. Smith przyjrzał się w zamyśleniu stromiźnie i powiedział:

– Nie chcielibyśmy powtarzać numeru, który nam się tu ostatnio przydarzył. Przydałby się porządny hak, żeby go wbić w mur. Albo w dach. Jakaś asekuracja dla liny.

– Po co haki? Spójrz na to. – Schaffer gołymi rękami zaczął zdrapywać zeskorupiałą śnieg z dachu stacji, odsłaniając siatkę z cienkiego drutu, a pod nią żelazne pręty osłaniające szybę o wymiarach trzydzięści na sześćdziesiąt centymetrów.

– Świetlik, chyba tak to się nazywa. Te pręty wyglądają całkiem solidnie.

Ujął oburącz jeden z prętów i mocno szarpnął. Pręt ani drgnął. Smith chwycił lewą dłonią ten sam pręt i pociągnęli za niego razem. Trzymał nadal. Schaffer wyszczerzył zęby z zadowolenia, owinął pręt liną i zacisnął bezbłędny węzeł. Smith siadł na dachu i położył rękę na linie, ale Schaffer złapał go za przegub i wyrwał mu linę zdecydowanym ruchem.

– Nie, nie ty. – Uniósł prawą dłoń Smitha; gruby opatrunek z bandaży był przesiąknięty i mokry od krwi. – Następnym razem będziesz mógł sobie zasłużyć na Krzyż Wiktorii. Bo teraz nie masz szans. Moja kolej. – Umilkł i ze zdziwieniem potrząsnął głową. – Mój Boże, Schaffer, nie wiesz, co mówisz.

Zdjął z szyi torbę z ekwipunkiem, podczołgał się do załamania dachu, chwycił za linę i zaczął gładko ześlizgiwać się po pochyłości. Kiedy zbliżył się do skraj dachu, niesłuchanie ostrożnie zaczął obracać się na brzuchu, aż skierował się głową w dół. Powoli, niemal niezauważalnie, zabezpieczając linę ponad sobą stopami, zsuwał się centymetr po centymetrze coraz niżej, aż wreszcie wystawił głowę za krawędź dachu i spojrzał w dół.

Stwierdził, że znajduje się nad jedną z lin kolejki. Sześćdziesiąt metrów niżej, lecz tym razem po jego lewej ręce, strażnicy z dobermanami brnęli pod górę przez głęboki śnieg najszybciej jak mogli, kierując się ku głównej bramie prowadzącej na zamkowy dziedziniec. Zrozumiał, że wieści rozeszły się i ścigano kogo się tylko dało do walki

z pożarem lub do pomocy w poszukiwaniu tych, którzy go wzniecili. A to oznaczało, wywnioskował, że ktoś z garnizonu musiał już sprawdzić grunt pod oknem radiostacji i znaleźć tam tylko dziewiczy, nietknięty śnieg...

Zadarł głowę i spojrzął w górę. Na blankach, jak należało się spodziewać, nie było widać ani jednego patrolującego strażnika. Nie miało sensu trzymanie czujek wypatrujących wroga na zewnątrz, gdy wszystko wskazywało, że jest on nadal wewnątrz zamku.

Schaffer zsunął się w dół jeszcze o piętnaście ryzykownych centymetrów, aż jego głowa i ramiona znalazły się poza krawędzią dachu. Teraz tylko dwie rzeczy były dla niego ważne: czy wewnątrz stacji kolejki znajduje się operator wyciągu lub strażnik, a jeśli tak, to czy zdoła uchwycony jedną ręką liny, drugą wyciągnąć lugera i celnie strzelić. Wątpił w to. Jego dywersyjne szkolenie było wprawdzie wszechstronne i intensywne, ale nikomu nie przyszło do głowy, że sprawność cyrkowego linoskoczka może się na cokolwiek przydać. Zaszło mu w ustach, a serce waliło tak, że lada chwila mogły mu się obsunąć nogi i ręce, którymi ledwo się trzymał. Wyciągnął szyję i zajrzał do środka.

Wewnątrz stacji nie było ani strażnika, ani operatora wyciągu, a jeżeli był, to tak dobrze ukryty, że Schaffer nie mógł go zobaczyć. Zdrowy rozsądek podpowiadał jednak, że nikt się tam nie ukrywa, bo nie ma po temu dostatecznego powodu. Logiczne było również to, że wszystkich, którzy mogli przebywać na stacji, podobnie jak strażników z dołu i wartownika z blanków, wezwano do pomocy w walce z ogniem i wrogiem wewnątrz zamku. Schaffer widział tylko wagonik kolejki, potężne urządzenie wyciągowe i potężną baterię akumulatorów. Szybko nabrał przekonania, że zobaczył wszystko, co trzeba. Nie było żadnych podstaw do niepokoju.

Jednakże zauważył również, a to go poważnie zatrwożyło, że do stacji może się dostać tylko jedną drogą. Nie mógł tam zjechać po linie z tego prostego powodu, że dach stacji, z typowo alpejskim okapem, wystawał przynajmniej ze dwa metry poza podłogę. Pozostawało więc tylko opuścić się na grubą, stalową linę kolejki i przesuwać się po niej do wnętrza stacji za pomocą rąk. Nie zastanawiał się ani chwili, czy jest to fizycznie możliwe. Musiało być możliwe! Nie było innego sposobu, żeby się dostać do środka.

Ostrożnie i z niemałym trudem odczołgał się wzdłuż liny w górę pochyłości na metr od skraju dachu, a wtedy rozluźnił przytrzymujące linę stopy i obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni, aż znalazł się ponownie twarzą w górę i z nogami dyndającymi poza brzegiem dachu. Podniósł wzrok. Każdy szczegół przykucniętej postaci Smitha był napięty, choć jego twarz jak zawsze była bez wyrazu. Schaffer uniósł dłoń sygnalizując gestem, że wszystko jest w porządku, a potem zsunął się poza krawędź i wymacał nogami linę kolejki.

Zsunawszy się jeszcze bardziej, usiadł okrakiem na linie, chwycił się jej i zakołysał

w dół, aż zawisł na rękach i nogach spoglądając w kierunku księżyca. Pomyślał, że jest to nieporównanie miłszy widok niż kontemplowanie skały opadającej sześćdziesiąt metrów w dolinę. Zaczął się wspinać.

Niewiele brakowało, żeby mu się nie powiodło. Na każde piętnaście centymetrów liny, które pokonywał, ześlizgiwał się do tyłu o dwanaście. Lina kolejki była pokryta tak diabelnie śliską warstwą oleju i lodu, że tylko zaciskając pięści aż do bólu przedramion mógł w ogóle posuwać się naprzód, a poza tym pięła się pod kątem czterdziestu pięciu stopni, co sprawiało, że trudne stawało się prawie niewykonalne. Taki sposób podróżowania byłby samobójczy dla praktycznie jednoręcznego Smitha i wręcz niemożliwy zarówno dla Mary, jak Carnaby-Jonesa. Tylko raz, pokonawszy ze; trzy i pół metra, spojrzął w dół, żeby sprawdzić, czy może puścić się liny i zeskoczyć na podłogę stacji. Ale bardzo prędko nabrał przekonania, że mógłby złamać obie nogi lub, gdyby wylądował choć trochę niezręcznie, spaść z wysokości sześćdziesięciu metrów w dolinę. Jak później wspominał, ta druga możliwość w połączeniu z przyprawiającym o zawrót głowy widokiem odległego dna doliny pomogła mu bardziej niż dodatkowa para rąk. Dziesięć sekund później spocony, zadyszany jak długodystansowiec i bliski krańcowego wyczerpania dowlókl się na dach wagonika.

Leżał tam całą minutę, póki nie ustało drzenie rąk, a puls i oddech nie powróciły do poziomu człowieka z wysoką gorączką. Mozolnie i bez hałasu opuścił się na podłogę, wyjął lugera, odbezpieczył go i zaczął szybko sprawdzać, czy górna stacja kolejki jest rzeczywiście wolna od wrogów. Rozsądek podpowiadał mu, że jest przesadnie ostrożny, bo gdyby ktoś się tam ukrywał, z pewnością zauważyłby i usłyszał jego wtargnięcie. Ale instynkt i szkolenie były silniejsze od rozsądku, więc zaglądał za kołowroty, motory elektryczne i akumulatory. Nie było nikogo. Stacja należała do niego.

Teraz wypadało zapewnić sobie przedłużenie władzy nad tym miejscem. Przy dolnym końcu stromego sklepionego przejścia, prowadzącego w górę na zamkowy dziedziniec, znajdowała się ciężka żelazna brama otwarta na oścież. Przekroczywszy ją Schaffer podbiegł cicho brukowanym przejściem i dotarł do wyjścia na dziedziniec. Tutaj także znajdowała się żelazna brama, równie szeroko rozwarta jak pierwsza. Wychylił się na tyle, na ile mu pozwalał bezpieczny cień rzucany przez nawis tunelu, i rozejrzał ostrożnie po roztaczającej się przed nim scenerii.

Musiał przyznać, że naprawdę było na co patrzeć i w pomyślniejszych okolicznościach widok ten ucieszyłby jego serce. Ruch na dziedzińcu był równie szalony jak poprzednio, kiedy zerknęli przez okno w korytarzu, ale tym razem działania były o wiele bardziej celowe i kontrolowane. Wykrzykujące i gestykulujące postacie nadzorowały odwijanie węży, sprzęganie hydrantów, sztafety ludzi niosących gaśnice i kubły z piaskiem. Główna

brama była otwarta i nie strzeżona, a więc nawet jej wartowników musiano wciągnąć do akcji, co wcale nie oznaczało, że tym samym gorąco zaprasza do ucieczki. Tylko samobójca próbowałby uciekać przez dziedziniec z sześćdziesięcioma czy siedemdziesięcioma uganiającymi się żołnierzami z oddziałów strzelców alpejskich.

Po jego lewej ręce nadal stał helikopter, porzucony i bezużyteczny. Nie było śladu po pilocie. Nagle od murów zamku zamykających kwadrat dziedzińca odbił się echem głośny wybuch. Schaffer podniósł głowę, żeby ustalić jego źródło, i ujrzał nowe kłęby dymu buchające z górnego okna we wschodnim skrzydle. Zastanawiał się, który to z jego „rozrywkowych” ładunków, ale tylko przez krótką chwilę. Jakiś instynkt kazał mu bowiem spojrzeć w prawo i twarz mu znieruchomiała. Strażnicy z dobermanami, których niedawno widział brnących pod górę na zewnątrz zamku, wchodzili właśnie przez główną bramę, a kłęby zamarzniętych oddechów, ciągnące się za nimi w powietrzu, były wystarczającym świadectwem wyczerpującego biegu przez sięgający kolan śnieg. Powoli, bezszelestnie Schaffer wycofał się. Niemieckim żołnierzom mógł stawiać czoło albo ich unikać, ale dobermany nie były jego specjalnością. Ostrożnie, żeby nie spowodować najmniejszego szelestu, przymknął ciężką żelazną bramę, zasunął dwie masywne zasuwę, szybko zbiegł sklepionym przejściem, zamknął na kłódkę dolną bramę i włożył klucz do kieszeni.

Wtem wzдрыgnął się i spojrział w górę, skąd dobiegł głośny trzask, po którym rozległ się brzęk odłamków szkła sypiących się na podłogę. Lufa lugera odruchowo podążyła za jego spojrzeniem.

– Odstaw to działo – rzekł z irytacją Smith. Schaffer widział teraz wyraźnie jego twarz, przyciśniętą do żelaznych prętów. – Myślisz, że kto tutaj jest, Kramer i spółka?

– To z nerwów – wyjaśnił zimno Schaffer. – Nie przeszedłeś przez to, przez co właśnie przeszedł porucznik Schaffer. Jak tam na górze?

– Carraciola z przyjaciółmi leży twarzą do dachu i zamarza w śniegu na śmierć, a Mary trzyma na nich schmeissera. Jones jest jeszcze na górze. Nawet nosa nie wytknie. Mówi, że źle znosi wysokość. Przystałem z nim dyskutować. A co u ciebie?

– Spokojnie. Nie widać, żeby ktoś myślał o wagoniku. Obie bramy na dziedziniec zamknięte. Są żelazne, więc jeżeli nawet zaczną coś podejrzewać, to powinny ich na jakiś czas zatrzymać. Aha, szefie, sposób, w jaki się tu dostałem, nadaje się wyłącznie dla ptaków. Dosłownie – dla ptaków. Musiałbyś mieć skrzydła. Z twoją ręką nigdy ci się nie uda tu dostać. Mary i staruszek nie mają co próbować. Carraciola i tamci... zresztą, kogo obchodzi Carraciola i tamci.

– Co z przyrządami sterowniczymi? – spytał Smith.

– Zaraz. – Schaffer podszedł do kołowrotu. – Mała dźwignia oznaczona „Normal” i „Notfall”...

– Są akumulatory?

– Owszem. Ile dusza zapragnie.

– Przesuń dźwignię na „Notfall” – „Awaryjne”. Mogą nam odciąć prąd.

– W porządku, zrobione. Są jeszcze guziki „Start” i „Stop”, duży ręczny hamulec mechaniczny i jakaś dźwignia biegów oznaczona „Przód” i „Tył”. Z położeniem pośrednim.

– Włącz motor – rozkazał Smith. Schaffer nacisnął guzik oznaczony „Start” i prądnicą ożyła z jękiem, chyba po dziesięciu sekundach osiągając maksymalne obroty. – Teraz zwolnij hamulec i włącz przedni bieg. Jeżeli działa, zatrzymaj wagonik i wypróbuj drugi bieg.

Schaffer zwolnił hamulec i włączył bieg przesuwając rączkę biegów do przodu przez kolejne oznaczenia. Wagonik ruszył, najpierw łagodnie, potem nabierając szybkości, aż wysunął się spod dachu stacji. Jeszcze kilkadziesiąt centymetrów i Schaffer zatrzymał go, a po włączeniu wstecznego biegu wycofał na poprzednie miejsce.

– Gładko, co? – Spojrzał w górę na Smitha.

– Opuść go tak, żeby do połowy wystawał spod dachu. Ześlizniemy się po linie na jego dach i możesz nas wwozić do środka.

– Wszystko dzięki tym rybom, których tyle zjadasz – powiedział Schaffer z podziwem i wprawił wagonik w ruch.

– Wysyłam najpierw Carraciolę, Thomasa i Christiansena – odezwał się Smith. – Nie życzyłbym nikomu z nas znaleźć się na dachu wagonika w tym towarzystwie. Dasz sobie z nimi radę, zanim zjedziemy?

– Nie podnosi się ducha bojowego obrażając podwładnych – odparł Schaffer zimno.

– Nie wiedziałem, że ci jeszcze jakiś został. Kiedy się tym zajmiesz, spróbuję jeszcze raz nakłonić naszą Julię, żeby zeszła i przyłączyła się do nas. – Smith szturchnął Carraciolę stopą, i to bynajmniej niedelikatnie. – Ty pierwszy. W dół po linie i na dach wagonika.

Carraciola wyprostował się na klęczkach i spojrzał wzdłuż pochyłego dachu w czeluść doliny.

– Nie zmusisz mnie, żebym na to wszedł. Przenigdy. – Potrząsnął głową z całą stanowczością i wlepił w Smitha oczy, czarne i nieprzejednane w swojej nienawiści. – No, jazda, strzelaj. Zabij mnie od razu.

– Zabiję, jeżeli tylko spróbujesz uciekać – powiedział Smith. – Czyżbyś o tym nie wiedział, Carraciola?

– Pewnie, że wiem. Ale nie zabijesz mnie z zimną krwią, jeżeli tu będę po prostu stał. Mamy zasady, co, majorze? Szlachetny frajer ryzykujący własne życie, żeby uwolnić wroga, który mógłby spłonąć żywcem. Nazywa się to... etyka. Dlaczego nie strzelasz,

Smith?

– Bo nie muszę – odparł Smith. Lewą ręką pochwycił jeńca za włosy, szarpnięciem odchylił mu głowę do tyłu, a gdy Carraciola spoglądając w niebo syczał z bólu, odwrócił lugera i uniósł go wysoko w górę. Końce złamanej kości palca otarły się o siebie. Zrobiło mu się mdło z bólu, ale nie dał po sobie nic poznać. – Po prostu cię ogłuszę, obwiążę liną i spuszczę te dwa i pół czy trzy metry. Schaffer wysunie ku tobie wagonik, potem wdrapie się tylnymi drzwiami, podejdzie do przednich i wciągnie cię do środka. Jak widzisz, z moją ręką nie jest najlepiej, być może nie uda mi się związać dość bezpiecznego węzła, być może nie zdołam cię otrzymać, być może Schaffer puści cię wciągając do środka. Niewiele mnie to obchodzi, Carraciola.

– Ty fałszywy sukinsynu! – Oczy Carracioli napełniły się łzami bólu, a jego głos był stłumiony i jadowity. – Niech mnie diabli, dożyję jeszcze chwili, że będziesz żałował, że mnie spotkałeś.

– Za późno. – Smith odepchnął go od siebie z pogardą i Carraciola musiał na gwałt chwycić się liny, żeby nie ześliznąć się poza przełom dachu. – Żałuję tego, odkąd tylko przekonałem się, kim i jaki w gruncie rzeczy jesteś. Robactwo kała mi ręce. Zjeżdżaj, bo cię naprawdę zabiję. Po co, psiakrew, miałbym sobie zawracać głowę zabieraniem cię do Anglii?

Carraciola uwierzył mu. Zsunął się w dół po linie i najpierw stopami, a później dłońmi odnalazł bezpieczne ramię wagonika. Smith skinął bronią w kierunku Thomasa. Thomas zniknął bez słowa. Dziesięć sekund później podążył za nim Christiansen. Smith patrzył, jak wagonik wjeżdża do środka stacji, a potem spojrział w górę na okno, z którego zwieszała się lina.

– Panie Jones? – zawołał.

– Jestem tu cały czas. – Głos Carnaby-Jonesa drżał; nie zaryzykował wyjrzenia za parapet.

– Mam nadzieję, że już niewiele dłużej – powiedział z powagą Smith. – Przyjdą po pana, panie Jones. Przyjdą po pana lada chwila. Przykro mi o tym mówić, ale muszę. Moim obowiązkiem jest ostrzec pana, co się stanie z panem jako wrogim szpiegiem. Zaczną pana torturować, panie Jones, i nie będą to zwykłe tortury, jak wrywanie zębów i paznokci u nóg, ale niewypowiedziane tortury, o których nie mogę mówić przy panie Ellison... a potem skończy pan w komorze gazowej. Jeśli będzie pan jeszcze żył.

Mary chwyciła go za ramię.

– Czy oni... czy oni naprawdę to zrobią?

– Dobry Boże, skąd! – Smith spojrział na nią z niekłamanym zdumieniem. – A po co mieliby to robić? – Znów podniósł głos. – Umrze pan krzycząc w mękach, panie Jones,

mękach gorszych niż pańskie najgorsze koszmary senne. I dużo czasu zajmie panu umieranie. Godziny. Może dni. I z krzykiem. Krzycząc cały czas.

– Więc co mam robić, na miłość boską? – Zrozpaczony głos dobiegający z góry nie drżał już, tylko wibrował jak pęknięta sprężyna łóżka. – Co mogę zrobić?

– Może pan zsunąć się po tej linie – odparł brutalnie Smith. – Piętnaście stóp, piętnaście stopek, panie Jones. Mój Boże, można tyle pokonać w skoku o tycze.

– Nie mogę. – Głos Jonesa przeszedł w lament. – Po prostu nie mogę.

– Owszem, może pan – ponaglał Smith. – Proszę teraz chwycić za linę, zamknąć oczy, wyjść przez parapet i na dół. Proszę nie otwierać oczu. My pana złapiemy.

– Nie mogę! Nie mogę!

– O Boże! – powiedział Smith z rozpaczą. – O mój Boże? Teraz już za późno.

– Już za... na miłość boską, o czym pan mówi?

– Korytarzem przesuwają się światła – powiedział Smith stłumionym i napiętym głosem. – I tamto okno. I następne. Idą po pana, panie Jones, już idą. A kiedy zedrą z pana ubranie i przywiążą do stołu tortur...

Dwie sekundy później Cornaby-Jones był już za parapetem i zjeżdżał po nylonowej linie. Oczy miał mocno zaciśnięte.

– Jesteś naprawdę najstraszliwszym kłamcą, jakiego znam – powiedziała Mary z podziwem.

– Schaffer powtarza mi to bez przerwy – przyznał Smith. – Coś w tym musi być.

Wagonik z trójką ponurych mężczyzn trzymających się kurczowo ramienia zaczepowego wspiał się wolno do górnej stacji i zatrzymał z dygotem. Jeden za drugim wszyscy trzej, ulegając perswazji pistoletu łagodnie kołyszącego się w ręku Schaffera, opuścili się na długość rąk i z wysokości kilkudziesięciu centymetrów zeskoczyli na podłogę. Zdawało się, że ostatni z nich, Thomas, wylądował niezdarnie, bo upadł ciężko na bok wydając zduszony okrzyk bólu. Ale gdy padał, sięgnął rękami do przodu i schwycił Schaffera za kostki nóg. Schaffer natychmiast stracił równowagę i chcąc ją odzyskać, wyrzucił ręce w górę, ale nim zaczął je opuszczać, Christiansen zanurkował jak rugbista, chwycił go i pozbawił tchu. Amerykanin upadł w tył, a siła, z jaką uderzył plecami w akumulator, wypchnęła z jego płuc tę resztkę powietrza, jaka w nich jeszcze pozostała. W następnej sekundzie Christiansen miał już jego broń i bezlitośnie ładował mu lufę w chwytające powietrze gardło.

Carraciola tymczasem zdążył dopaść pierwszej żelaznej bramy i gwałtownie nią potrząsnąć. Nagle spostrzegł wielką kłódkę na wrzeczadzu zamka. Okręcił się w miejscu, podbiegł do Schaffera, odtrącił na bok trzymany przez Christiansena pistolet i chwycił

Amerykanina za gardło.

– Kłódka! Gdzie masz klucz od tej cholernej kłódki? – Głos ludzki nie może rywalizować z sykiem węża, lecz Carracioliomalże się to w tej chwili udało. – Brama jest zamknięta od wewnątrz. Tylko ty mogłeś to zrobić. Gdzie jest klucz?!

Schaffer usiadł z trudem odpychając osłabłą ręką dłoń Carracioli.

– Nie mogę oddychać! – wycharczał. Rzęzący, przerywany oddech dodawał wiarygodności jego słowom. – Nie mogę oddychać. Zaraz... zaraz zwymiotuję.

– Gdzie masz ten przekłety klucz? – nalegał Carraciola.

– O Boże, niedobrze mi! – Schaffer podźwignął się wolno i przykląkł z pochyloną głową, a z jego gardła dobywały się odgłosy wymiotów. Potrząsnął głową z boku na bok, jakby chciał się pozbyć oszołomienia, a potem uniósł ją powoli patrząc zamglonym wzrokiem. – Czego chcesz! Co mówiłeś? – wymamrotał.

– Klucz! – Gdyby zachowanie ciszy nie było sprawą najważniejszą, głos Carracioli byłby zawiedzionym rykiem wściekłości. Chyba sześciokrotnie, brutalnie, raz za razem, uderzał Schaffera w twarz, na zmianę spodem i wierzchem dłoni. – Gdzie masz klucz?!

– Wolnego, wolnego! – Thomas złapał Carraciolę za rękę. – Przestań się zachowywać jak skończony dureń. Chcesz przecież żeby mówił, nie?

– Klucz? Aha, klucz. – Schaffer podźwignął się mozolnie na nogi i zataczając się stał z półprzymkniętymi oczami, poszarzałą twarzą i strużkami krwi ciekącymi z obu kącików ust. – Za akumulatorami, chyba tam go schowałem. Nie wiem, nie mogę się skupić. Zaraz, czekajcie. Chciałem, ale nie schowałem. – Mówił oddychając płytko i z bólem. – Nie, nie schowałem. – Pogmerał w kieszeniach, w końcu odszukał klucz i wyciągnął go bez przekonania w stronę Carracioli. Carraciola, z zapowiedzią uśmiechu na twarzy, sięgnął po niego, ale zanim go dostał, Schaffer niespodziewanie wyprostował się i konwulsyjnym wyrzutem ramienia cisnął klucz, który kręcąc się wyleciał przez wjazd do stacji i spadł dziesiątki metrów niżej w dolinie. Carraciola patrzył w ślad za kluczem z bezbrzeżnym niedowierzaniem, a potem z twarzą obłąkaną rumieńcem wściekłości, świadczącym o całkowitej utracie panowania nad sobą, pochylił się, podniósł broń Schaffera, zamachnął się i ze złością uderzył Amerykanina w głowę i twarz. Schaffer padł jak podcięte drzewo.

– A więc – powiedział skwaszony Thomas – skoro klucz mamy z głowy, to możemy przestrzelić zamek.

– Człowieku, mógłbyś się zabić rykoszetami! Ta brama jest z żelaza. – Carraciola istotnie musiał mieć klucz z głowy, bo odzyskał już równowagę. Umilkł i wolno się uśmiechnął. – O czym my wszyscy, do diabła, myślimy? Rozegrajmy to chytrze. Gdybyśmy wyszli przez tę bramę, to pierwsza rzecz mielibyśmy płuca podziurawione kulkami z karabinów maszynowych. Nie zapominajcie, że jedyni ludzie, którzy wiedzą,

kim naprawdę jesteśmy, mają zaaplikowane cholernie duże dawki nembutalu i chyba jeszcze długo będą nieprzytomni. Dla reszty garnizonu jesteśmy obcy, a dla garstki żołnierzy, którzy widzieli nasze przybycie, jesteśmy więźniami. W obu przypadkach automatycznie stajemy się wrogami.

– Więc? – niecierpliwiał się Thomas.

– Więc, jak powiedziałem, rozegramy to chytrze. Zjeżdżamy na dół wagonikiem i znowu gramy chytrze. Dzwonimy do starego Weissnera. Prosimy go, żeby zadzwonił do Schloss Adler, mówimy mu, gdzie jest Smith, a w razie gdyby Smithowi udało się zjechać do wsi następnym wagonikiem, prosimy, żeby zorganizował mu komitet powitalny czekający przy dolnej stacji. Potem idziemy do koszar, muszą mieć tam radio, i nawiązujemy łączność wiadomo z kim. Słabe punkty?

– Ani jednego. – Christiansen uśmiechnął się szeroko. – A potem wszyscy będziemy żyli długo i szczęśliwie. Chodźcie, na co czekamy?

– Wy dwaj do wagonika. – Carraciola zaczekał, aż wsiądą, przeszedł pod strzaskany świetlik i zawołał: – Szefie! – W rękę trzymał lugera z tłumikiem odebranego Schafferowi.

Powyżej, stojący na dachu Smith zmartwiał. Przekazał pod opiekę Mary trzęsącego się Carnaby-Jonesa, który nadal miał zaciśnięte oczy, podszedł dwa kroki w kierunku świetlika i przystanął. Wyatt-Turner powiedział o nim kiedyś, że ma wbudowany system radarowy wykrywający niebezpieczeństwo, a głos Carracioli pobudził właśnie ów system do natychmiastowego działania i radar pracował z taką ostrością i precyzją, że radionawigacyjny system Decca zzieleniałby z zazdrości.

– Poruczniku Schaffer – zawołał cicho Smith. – Schaffer? Jesteś tam?

– Tutaj, szefie. – Akcent ze środkowego zachodu, Schaffer jak żywy. Sygnał radaru Smitha nasilił się i gdyby był sprzężony z dzwonekami ostrzegawczymi, toby jego właściciel pozostał głuchy do końca życia. Opadłszy na czworaki Smith bezszelestnie podpełzł do świetlika. Najpierw w jego polu widzenia znalazła się bateria akumulatorów, potem odrzucona ręka i stopniowo reszta leżącego z rozpostartymi rękami i nogami Schaffera. Jeszcze kilka centymetrów do przodu i... w tym samym stopniu wyczuł, co zobaczył, długi palec lufy wymierzony w jego stronę. Rzucił się w bok. Podmuch pocisku zwichrzył mu włosy. W dole pod nim ktoś zaklął ze złości i rozczarowania.

– To okazja, która ci się nigdy nie powtórzy, Carraciola – powiedział Smith. Stąd, gdzie leżał, widział twarz Schaffera, a raczej krwawą maskę, która ją pokrywała. Nie sposób było stwierdzić, czy Amerykanin żyje. Wyglądał na zabitego.

– Znów się mylisz. To tylko odwlecze przyjemność. Odjeżdżamy, Smith. Zaraz włączę motor. Chcesz, żeby Schaffer dostał?... Christiansen ma go na muszce. Nie próbuj nic robić.

– Rusz się tylko do sterów, a pierwszy krok, jaki zrobisz, będzie twoim ostatnim – powiedział Smith. – Rąbnę cię, Carraciola. Schaffer nie żyje. Widzę, że nie żyje.

– Taki on martwy jak ja. Tylko pomacany kolbą pistoletu.

– Rąbnę cię – powtórzył Smith monotonicznie.

– Do cholery, mówię ci, że żyje! – warknął rozjątrzony Carraciola.

– Zabiję cię – powtórzył Smith ze spokojem. – A jeżeli nie ja, to na pewno zrobią to pierwsi strażnicy, którzy tu wejdą. Wiesz dobrze, co zrobiliśmy z ich wspaniałym Schloss Adler, pali się na całego. Nie domyślasz się, jakie wydano rozkazy?... Strzelać bez ostrzeżenia do wszystkich obcych... i zabijać. Ty jesteś dla nich obcy, Carraciola.

– Na miłość boską, słuchaj, co mówię! – W głosie Carracioli zabrzmiała rozpacz. – Mogę to udowodnić. On żyje! Co widzisz z góry?

Natężenie sygnałów ostrzegawczych radarowego systemu Smitha zaczęło słabnąć.

– Widzę głowę Schaffera – oznajmił.

– No to patrz. – Luger odbił się z głuchym stukiem i zatrzymał o kilka centymetrów od głowy Amerykanina. W chwilę później w polu widzenia Smitha pojawił się sam Carraciola. Spojrzał w górę na Smitha, potem na utkwione w nim oko lufy schmeissera i powiedział: – Nie będziesz tego potrzebował. – Pochyliwszy się nad Schafferem jedną ręką ścisnął mu nos, a drugą zatkał usta. Po paru sekundach nieprzytomny mężczyzna dusząc się zaczął poruszać głową i unosić omdlałe ręce ku twarzy. Carraciola cofnął ręce i spojrzał w górę na Smitha.

– Pamiętaj, Christiansen cały czas trzyma go na muszce – powiedział.

Podszedł pewnym krokiem do pulpitu sterowniczego, włączył prądnicę, zwolnił ręczny hamulec i włączył bieg przesuwając dźwignię do oporu. Wagonik skoczył do przodu gwałtownie szarpiąc. Carraciola podbiegł do niego, wskoczył do środka, obrócił się i zatrzasnął drzwi.

Na dachu Smith odłożył bezużytecznego schmeissera i z trudem podźwignął się na nogi. Minę miał ponurą i pełną goryczy.

– To koniec – odezwała się Mary. Mówiła nienaturalnie spokojnym głosem. – Skończone. Wszystko skończone. Operacja Overlord... i my. Jeżeli to ma jakieś znaczenie.

– Dla mnie ma. – Smith wyciągnął pistolet z tłumikiem i wziął go do lewej, zdrowej, ręki. – Miej tu oko na naszego juniora.

– Nie! – Przez dwie pełne oszołomienia i niedowierzania sekundy, najdłuższe, jakie przeżyła, Mary była zupełnie niezdolna pojąć jego zamiarów, ale kiedy wstrząśnięta zrozumiała, co chce zrobić, jej głos przeszedł w krzyk: – Nie! Nie! Na miłość boską, nie!

Ignorując nutę rozpacz w jej głosie i desperacko czepiającą się go dłoń, Smith podszedł do skraju płaskiej części dachu. Spod dolnej krawędzi jego stromo opadającej części zaczął się właśnie wylaniać przód wagonika, wewnątrz którego trójka mężczyzn wymieniała zachwycone uśmiechy i wesoło grzmociła się nawzajem po plecach.

Smith zbiegł po oblodzonej stromiźnie dachu, dotarł do krawędzi i skoczył. Wagonik znajdował się już dwa, może dwa i pół metra przed nim i prawie tyle samo pod nim. Gdyby nie to, że oddalał się od niego, przy skoku z pewnością połamałby nogi. Jednakże zdołał na nim wylądować z impetem przyprawiającym o zgrzytanie zębów. Wagonik zadrżał, zakółsał się, a pod Smithem ugięły się nogi i zaczęły spod niego uciekać po oblodzonym dachu. Nie zdołał trafić na ramię kolejki zranioną prawą dłonią i chwytając rozpaczliwie, na ślepo, lewą ręką zmuszony był wypuścić broń. Pistolet ześliznął się na skraj dachu i spadł w mrok doliny. Otoczywszy rękami ramię wagonika Smith walczył o kilka rżących oddechów dla spragnionych płuc. Upadek zupełnie pozbawił go tchu.

Trójka mężczyzn wewnątrz wagonika była na swój sposób niemal równie oszołomiona jak on. Uśmiechy zamarły im na twarzach, a ręka Christiansena zawisła w powietrzu tam, gdzie zatrzymał ją hałas i wstrząs towarzyszący lądowaniu Smitha. Jak było do przewidzenia, pierwszy ocknął się i zareagował Carraciola. Wyrwał Christiansenowi schmeissera i skierował go w górę.

Wagonik oddalił się już od zamku ze dwanaście do piętnastu metrów i popychany silnym wiatrem zaczynał kołysać się pod niebem jak wahadło. Oszołomiony Smith, osłabiony siłą uderzenia przy upadku, bólem ręki i utratą krwi, czepiał się kurczowo ramienia kolejki, leżąc w poprzek dachu. Było mu niedobrze, czuł się wyczerpany i miał przed oczami mgłę.

Od ramion po kolana i zaledwie centymetry od niego jadowita seria z pistoletu maszynowego przeszła dach wagonika dziurkowanym wzorem. Mgła ustąpiła mu sprzed oczu szybciej, niżby przypuszczał. W magazynku schmeissera mieściło się znacznie więcej pocisków. Pomyślał, że odczekają parę sekund, żeby zobaczyć, czy spadające ciało przeleci za jednym z bocznych okien – przy tym gwałtownym kołysaniu nie mogłoby wypaść ani z przodu, ani z tyłu wagonika – a jeśli nie przeleci, znów będą strzelać. Ale gdzie? Który fragment dachu wybiorą jako następny cel? Czy strzelec będzie robił to na chybił trafił, czy też systematycznie? Nie sposób zgadnąć. Może właśnie w tej chwili lufa schmeissera

znajduje się tylko o dwa cale od środka jego kręgosłupa. Na samą myśl o tym Smith szybko przetoczył się i rozciągnął na szeregu przestrelonych przed chwilą dziur. Było mało prawdopodobne, żeby strzelec mierzył drugi raz dokładnie w to samo miejsce, ale nawet to nie wykluczało ryzyka, bo mógł on przecież ocenić sytuację identycznie tak jak Smith i przeciągnąć jeszcze raz po tym samym miejscu. Oceniał jednak inaczej, bo następna seria trafiła o metr od tylnego skraju wagonika.

Przytrzymując się ramienia zaczepowego Smith podciągnął się do pozycji pionowej i uwiesił liny, zmniejszając w ten sposób o osiemdziesiąt procent szanse, że go trafią. Szybko i bezgłośnie, przesuwając dłońmi wzdłuż liny, zaczął posuwać się naprzód, aż znalazł się na samym przodzie wagonika.

Rozwartość łuku, który zataczał wagonik, zwiększała się z każdym wahadłowym ruchem. Ponieważ dla nóg Smith znajdował minimalne oparcie, utrzymanie ciężaru ciała spoczęło na rękach, z czego zdecydowanie większa część przypadła na lewą, zdrową. Ruch kołyszącego się na boki wagonika nie miał nic ze spokojnej wędrówki. Wagonik podskakiwał, podrygiwał, ciskał się i miotał jak tańczący derwisz na chwilę przed ostatecznym upadkiem. Napięcie lewej ręki Smitha było wręcz nieznośne, miał uczucie, jakby mu się zrywały ścięgna, ale ścięgna można leczyć, lecz nie skutki serii ze schmeissera, oddanej z tak bliska. Zresztą wydawało mu się wysoce nieprawdopodobne, żeby ktoś marnował pociski strzelając w miejsce, gdzie właśnie stał. Oczywiście pozycją pasażera, który jadąc na dachu nie chce runąć w dolinę, było rozpląszczenie się z rękami desperacko oplecionymi wokół jednego ze wsporników ramienia zaczepowego.

Rozumował prawidłowo. Żadna z kolejnych trzech serii nie wypadła bliżej niż parę stóp od niego. A potem już nie było strzałów. Zdawał sobie jednak sprawę, że będzie musiał znów skorzystać, i to wkrótce, ze względnego zabezpieczenia, jakie dawało ramię zaczepowe. Niemal całkowicie stracił siły. Lewa dłoń zaczynała się rozluźniać, co zmusiło go do zaciśnięcia prawej. Wynikiem był straszny ból, który jak wstrząs elektryczny przebiegł mu od palców poprzez ramię aż do prawej strony głowy i tylko powiększył wyczerpanie. Musi się stąd wycofać, i to bezzwłocznie. Modlił się więc o to, żeby magazynek schmeissera okazał się pusty.

I wtedy z innego jeszcze powodu stwierdził, że pozostaje mu tylko wycofać się natychmiast. Wiedział też, że jego modlitwa nie została wysłuchana. Przednie drzwi wagonika właśnie się otworzyły i ukazała się czyjaś głowa i dłoń. Głowa należała do Carracioli, dłoń trzymała schmeissera. Wychylając się Carraciola spoglądał w górę – od razu zauważył Smitha. Wychylił się więc jeszcze bardziej, zarzucił jedną ręką schmeissera tak, że łożysko pistoletu oparło mu się na ramieniu, i nacisnął spust.

W tych warunkach dokładne celowanie było niemożliwe, lecz przy odległości czterech

stóp praktycznie nie miało to znaczenia. Smith puścił już linę i konwulsyjnym ruchem rzucał się właśnie w tył, kiedy pierwsza kula zdarła mu lewy epolet, a druga drasnęła go w lewe ramię wywołując krótkotrwałe uczucie pieczenia. Reszta serii przeleciała mu nieszkodliwie nad głową. Wylądował ciężko, sięgnawszy na oślep wymacał jeden ze wsporników, pochwyił go i jak krab umknął za podstawę ramienia wagonika, która zapewniała symboliczną właściwie ochronę przed Carraciolą.

Bo Carracioli chodziło o jego życie, szedł, żeby go sprzątnąć. W rękę nadal trzymał pistolet, w którego magazynku mogło już być doprawdy niewiele kul. Zmarnowanie choćby jednej z pewnością nie leżało w jego planach. Smith miał wrażenie, że na jego oczach Carraciola uniósł się trzy stopy w powietrze – wyczyn lewitacyjny dający się bezpośrednio przypisać temu, że podsadzali go Christiansen i Thomas – zgiął się w biodrach jak scyzoryk i rozpląszczył całym ciałem na dachu wagonika, z nogami dyndającymi poza jego krawędzią. W przeblysku radości pomyślał, że to samobójcze posunięcie i że Carraciola popełnił błąd, gdyż nie mając się o co zaczepić ani czego chwycić na oblodzonym dachu przy pierwszym szarpnięciu lub wstrząsie wagonika musi się z niego zsunąć bezradnie w dół. Lecz cieszył się krótko, bo przeciwnik nie popełnił błędu. Wiedział o czymś, o czym on sam nie wiedział: gdzie na gładkiej płaszczyźnie dachu pewnie uchwycić się ręką. W przeciągu paru sekund szperające palce Carracioli znalazły zaczepienie – rozcięcie w dachu wagonika wyszarpane seriaż ze schmeissera – i zahaczyły się mocno, a on sam podciągnawszy się w górę, ukląkł zapierając się stopami o przednią krawędź dachu.

Smith sięgnął zranioną dłonią do płóciennej torby, która zwisała mu z lewego ramienia, i grzebiąc w niej rozpaczliwie szukał granatu. Jednocześnie odpychał się do tyłu tak daleko, jak tylko mu na to pozwalała lewa asekurująca ręka uczepiona ramienia wagonika. Przy tej odległości wybuch granatu mógł wyrządzić tyle samo szkody jemu, co Carracioli. I wtedy nogi obsunęły się mu tak, że stopami wyjechał poza krawędź dachu. Krzyknął z bólu, bo pośrodku goleni, gdzieś między kolanami a stopami, poczuł straszliwy nacisk, który miażdżył kości i rozrywał skórę. Ktoś trzymał go za kostki nóg, ktoś najwyraźniej zdecydowany oddzielić mu stopy od reszty ciała. Spojrzał przez ramię, ale zobaczył tylko dwie zaciśnięte na jego kostkach dłonie z knykciami bielejącymi w słabej poświacie księżyca. Uzmysłowił sobie, że tak przeraźliwego bólu nie może powodować masa jednego człowieka. Ktoś musiał trzymać jego prześladowcę w pasie po to, żeby zwiększyć nacisk albo żeby zabezpieczyć go w przypadku ześlizgnięcia się ofiary z dachu. Przyczyny były zresztą nieistotne, liczył się rezultat. Próbował podkurczyć nogi, lecz ponad stukilowy ciężar przygważdżał go tak, że w ogóle nie był w stanie się poruszyć.

Spojrzał szybko ku przodowi wagonika, ale Carraciola nie zmienił pozycji – nadal

kłęczał, desperacko walcząc o utrzymanie się na dachu. Znajdowali się w tej chwili w połowie drogi pomiędzy górną stacją i najwyższym słupem, a kołysanie osiągnęło maksymalną amplitudę. Ponieważ prób wydobycia granatu, który teraz nie zdałby się na nic, Smith wyciągnął z pochwy nóż, chwycił go za trzonek trzema zdrowymi palcami prawej dłoni, odwrócił się i próbował ugodzić ręce zadające mu tak straszliwy ból. Ale mógł się do nich zbliżyć najwyżej na czterdzieści centymetrów.

Pękały mu nogi, pękało lewe ramię, a dłonie zaciśnięte na zaczepie zaczynały się powoli rozluźniać. Wiedział, że zostało mu zaledwie kilka sekund i że nie ma już nic do stracenia. Chwycił czubek noża pomiędzy złamany kciuk a pozostałe palce, obrócił się i cisnął nożem tak mocno i tak dokładnie, jak tylko pozwalała mu na to strzaskana dłoń i zamglone cierpieniem oczy. Piekący ból w lewej kostce i wrzask bólu, który dobiegł od tylnych drzwi, były jednoczesne. Napór na kostki natychmiast ustąpił. W następnej sekundzie Christiansen, wciągnięty z trudem do wnętrza wagonika przez Thomasa, wpatrywał się osłupiałym wzrokiem w nóż, który przeszył mu przegub prawej ręki.

W tej jednej chwili Smith wygrał i przegrał. W każdym razie na to wyglądało, gdyż teraz był bezbronny. Carraciola poczekał na stosowny moment, obliczył swoje szanse, rzucił się całym ciałem naprzód i bezpiecznie dosięgnął wspornika. Potem wstał, lewą ręką obejmując powoli ramię wagonika, a lewą nogą oplatając jeden ze wsporników. Jego schmeisser mierzył w twarz Smitha.

– Została tylko jedna kula. – Uśmiech Carracioli był niemal przyjemny. – Musiałem mieć pewność.

Może nie przegrałem, może jeszcze nie przegrałem, myślał Smith. Stabilizujący efekt zabiegów Christiansena sprawił, że dopiero teraz zdał sobie sprawę, o ile łatwiej jest utrzymać się na oblodzonym dachu i jak bardzo zmniejszyło się wahadłowe kołysanie wagonika. Wyglądało na to, że Carraciola jeszcze tego nie zauważył albo że do jego świadomości doszła sama zmiana, a nie jej przyczyna. Największym wysiłkiem woli Smith przeniósł na wpół zahipnotyzowany wzrok z wycelowanej w siebie lufy schmeissera na punkt znajdujący się tuż nad ramieniem Carracioli. Wagonik dzieliło w tej chwili od ramienia pierwszego słupa najwyżej sześć metrów.

– Żal mi cię, Smith. – Lufa pistoletu maszynowego znieruchomiała w ręku Carracioli. – Ale wszystkich to czeka. Do zobaczenia.

– Obejrzyj się – powiedział Smith.

Carraciola wykrzywił twarz w znudzonym półuśmiechu niedowierzania, że ktoś chce go nabrać na tak stary kawał. Po raz drugi Smith spojrzął szybko ponad jego ramieniem, skrzywił się i odwrócił wzrok. Niedowierzenie znikło z twarzy Carracioli tak nagle, jakby ktoś zgasił światło. Jakiś szósty zmysł czy też nagły przebłysk zrozumienia albo po prostu

nieoczekiwana pewność kazała mu odwrócić głowę i spojrzeć przez ramię. Krzyk przerażenia był ostatnim głosem, jaki z siebie wydobył. Stalowe ramię słupa zgruchotało mu plecy. Zarówno kręgosłup, jak wpleciona we wspornik noga pękły mu jednocześnie z trzaskiem słyszalnym na sto metrów. W następnej sekundzie został zmieciony z dachu wagonika, ale w tym czasie już nie żył. Przez otwarte tylne drzwi wagonika Thomas i Christiansen, wstrząśnięci, z twarzami, które odzwierciedlały ich osłupienie i niedowierzanie, obserwowali, jak zmasakrowane ciało koziołkuje w dół, w ciemność doliny.

Trzęsąc się jak w ataku malarii i poruszając jak staruszek we śnie Smith powoli, z bólem, podciągnął się ku jednemu z tylnych wsporników i usiadł oplatając go ręką i nogą. Tym samym sennym, powolnym ruchem uniósł głowę i rozejrzał się po dolinie. Drugi wagonik, sunący w przeciwnym kierunku, w górę, minął właśnie najniższy słup. Przy odrobinie szczęścia jego wagonik mógł jako pierwszy dotrzeć do środkowego słupa. Przy odrobinie szczęścia. Nie oznaczało to oczywiście, że kwestia szczęścia nadal wchodziła w grę. Nie miał żadnego wyboru, żadnej alternatywy, musiał zrobić to, co musiał, i szczęście było ostatnim czynnikiem, który należało brać pod uwagę.

Z torby z ekwipunkiem wyciągnął dwa ładunki plastiku, zaklinował je mocno między dachem wagonika a dwoma tylnymi wspornikami ramienia zaczepowego i upewnił się, czy sponki są odslonięte i znajdują się pod ręką. Potem siedząc prosto uczeplił się ramienia wagonika rękami i nogami i zabezpieczył przed upadkiem. Był zdecydowany przesiedzieć ten odcinek drogi, gdyż wagonik zbliżając się do połowy drugiego odcinka między górnym a środkowym słupem kołysał się zakreślając coraz większy łuk na nocnym niebie.

Wiedział, że to głupio tak siedzieć. Śnieg chwilowo ustał, a sunący po pogodnym niebie błądy księżyc w pełni zalewał dolinę upiorną poświatą. Uświadomiło mu to, że w tej pozycji jest wyraźnie widoczny z zamku albo z dolnej stacji. Wątpił jednak, czy chowanie się ma jeszcze jakiś sens, a poza tym wiedział, że nic na to nie poradzi, bo zdrowe ramię tak mu osłabło, że nie miał siły rozpląszczyć się na dachu, jak to zrobił wraz z Schafferem w drodze na górę.

Zastanawiał się, co się dzieje z Amerykaninem, ale jego myśli były niewyraźne, mętne i chaotyczne, co w niemal jednakowym stopniu wynikało z wyczerpania, upływu krwi, jak i dotkliwego zimna. Myślał też o pozostałych, starszym mężczyźnie i dziewczynie siedzących jak na grzędzie na dachu górnej stacji i o dwóch ludziach wewnątrz wagonika. Lecz Mary i Carnaby-Jones byli bezradni i nie mogli mu w niczym pomóc, tyle tylko, że możliwość, żeby nie uzbrojeni Thomas i Christiansen przeprowadzili jeszcze jeden wypad na dach, była doprawdy minimalna. Carraciola miał przecież schmeissera, a sami widzieli, co się z nim stało. Schaffer, Schaffer był teraz ważny!

Schaffer czuł się jeszcze bardziej niewyraźnie i mętnie niż Smith, choć z innych powodów. Budził się właśnie z trudem i powoli z bardzo złego snu, a w tym śnie czuł w ustach smak soli i słyszał cichy, natarczywy kobiecy głos wołający go po imieniu, wołający ciągle i bezustannie. W zwykłych okolicznościach całym sercem radowałby się słysząc cichy kobiecy głos, natarczywy lub nie, ale teraz pragnął, żeby ten głos przestał wołać, bo należał do złego snu, a w owym śnie ktoś rozszczępił mu głowę na dwoje i Schaffer wiedział, że ból nie ustąpi, dopóki się nie obudzi. Jęknął, położył dłonie na podłodze i usiłował się podeprzeć. Zabrało mu to mnóstwo czasu, całą wieczność, bo ktoś położył mu na plecach potężny dźwigar mostu, lecz wreszcie udało mu się wyprostować obie ręce, między którymi zwisała jego głowa. Nie czuł się z tym najlepiej, a właściwie czuł się tak, jakby nie należała do niego. Zdawało mu się, że tkwi w niej rzeźnicki topór, i miał wrażenie, że jest wypchana szarą watą, wystrzępioną po brzegach. Żeby się pozbyć tej waty, potrząsnął głową, lecz zrobił błąd, bo wtedy odpadł mu jej czubek. Przynajmniej tak mu się wydawało, kiedy oślepiające roziskrzzone wielobarwne światełka ułożyły mu się przed oczami w dziwne kalejdoskopowe wzory. Otworzył oczy. Wzory zamazały się, światełka przyblakły i stopniowo zaczął się przed nim wyłaniać wzór desek podłogi, a na nim zarys dłoni. Jego własnych dłoni. Ocknął się, lecz był to jeden z tych złych snów, które trzymają się człowieka nawet wtedy, kiedy się przebudzi. Nadal czuł w ustach smak soli, słoność krwi i miał wrażenie, że przy pierwszym nieostrożnym ruchu głowa potoczy mu się po podłodze. A głos, cichy i natarczywy, ciągle wołał:

– Poruczniku Schaffer! Poruczniku Schaffer! Niech pan się ocknie, niech pan się ocknie! Słyszysz mnie pan?

Schaffer zdecydował, że słyszał już kiedyś ten głos, ale nie mógł sobie przypomnieć gdzie. Musiało to być dawno temu. Głos zdawał się dobiegać z góry. Zadarł głowę, chcąc ustalić jego źródło, i kalejdoskopowa karuzela kolorów znów wróciła, wirując jeszcze szybciej niż przedtem. Uznał więc, że potrząsanie i kręcenie głową nie jest wskazane. Powoli przywróciwszy jej pierwotne położenie, zdołał podciągnąć pod siebie kolana, podczołgać się w stronę jakiegoś słabo widocznego urządzenia i dźwignąć niepewnie na nogi.

– Poruczniku! Poruczniku Schaffer! Jestem tu, na górze.

Schaffer obrócił się i uniósł głowę niemal groteskowo wolnym ruchem; tym razem cały kosmos świetlistych tańczących gwiazdek zredukował się do kilku zaledwie konstelacji. Teraz już poznawał ten głos z odległej przeszłości – należał on do Mary Ellison. Schaffer sądził nawet, że poznaje bladą, napiętą twarz patrzącą z góry, ale nie miał pewności, bo jego wzrok; nie był tak ostry, jak powinien. Zastanawiał się mgliście, co,

u diabła, ona tam robi, gapiąc się w dół przez coś, co wyglądało na pręty strzaskanego świetlika. Zdał sobie niejasno sprawę, że jego mózg pracuje z szybkością i efektywnością człowieka płynącego pod prąd rzeką czarnej melasy.

– Czy... czy nic panu nie jest? – spytała Mary.

Schaffer rozważył dokładnie to bezsensowne pytanie.

– Spodziewam się, że nic mi nie będzie – odparł z wielką powściągliwością. – Co się stało?

– Uderzyli pana własnym pistoletem.

– Zgadza się. – Schaffer potaknął skinieniem głowy i natychmiast tego pożałował. Ostrożnie obmacał stłuczoną potylicę. – Dostałem w twarz. Musiałem uderzyć głową, kiedy... – Urwał i obrócił się powoli w stronę drzwi. – Co to było?

– Pies. Chyba szczekanie psa.

– Tak mi się właśnie zdawało. – Mówił niewyraźnie, połykając słowa. Jak pijany zatoczył się ku żelaznej bramie i przyłożył do niej ucho. – Psy – powiedział. – Mnóstwo psów! I mnóstwo, mnóstwo kucia. Młoty kowalskie, jak nic. – Odszedł od bramy i ciągle lekko się zataczając powrócił na środek. – Znaleźli nasz trop i idą po nas. Gdzie major?

– Pogonił za nimi. – Głos Mary nie zdradzał żadnych uczuć. – Skoczył na dach wagonika.

– Więc skoczył? – Schaffer odebrał tę wiadomość tak, jakby wyczyn Smitha był najzwyczajszą i najbardziej oczywistą rzeczą pod słońcem. – Jak mu poszło?

– Jak mu... – Wraz z gniewnym oburzeniem na tak jawną obojętność Amerykanina w głos Mary wstąpiło życie. Opanowała się jednak i powiedziała: – Walczyli i zdaje się ktoś zleciał z dachu. Nie wiem kto.

– Jeden z nich – powiedział stanowczo Schaffer.

– Jeden z nich... jak pan może tak mówić?

– Tacy jak major Smith nie zwalają się w przepaść. Cytat z przyszłej pani Schaffer. Tacy jak major Smith nie spadają z dachów wagoników. Cytat z przyszłego męża przyszłej pani Schaffer.

– Przychodzi pan do siebie – stwierdziła zimno Mary. – Chyba ma pan rację. Ktoś tam jeszcze siedzi na dachu wagonika, ale to raczej żaden z tamtych, prawda?

– Skąd pani wie, że ktoś siedzi?

– Bo go widzę – odparła niecierpliwie. – Świeci księżyc. Niech pan sam spojrzy.

Schaffer spojrział, a potem przeciągnął omdlewającą dłonią po obolałych oczach.

– Powiem pani coś, moja złota – powiedział. – Nie widzę nawet tego przekłętego wagonika.

Wagonik znajdował się dziesięć metrów od środkowego słupa. Smith, stojąc już, pochylił się, wyrwał zawleczeni spłonek, wyprostował się i trzymając się lewą ręką liny zajął miejsce bliżej środka dachu. W ostatniej chwili puścił linę i wyciągnął przed siebie ręce żeby zmniejszyć siłę, z jaką ciało zderzy się z ramieniem słupa. Podjeżdżający z drugiej strony wagonik był teraz równie blisko środkowego słupa jak jego własny. Wyglądało na to, że nie uda mu się zdażyć.

Zderzenie z poziomym ramieniem słupa wyparło mu z głowy myśli, a z płuc oddech. Był przekonany, że gdyby nie amortyzujące działanie wyciągniętych rąk, musiałoby pójść parę żeber. W rzeczywistości upadek prawie pozbawił go tchu, zmusił się jednak do tego, by nie zwracać uwagi na ból i spazmatyczne falowanie żądnych tlenu płuc. Zarzuciwszy stopy na dolny poprzeczny dźwigar i przytrzymując się rękami górnego zaczął szybko przesuwając się na drugą stronę słupa. A przynajmniej szybko posuwały się jego nogi i ręce; stal jednak była pokryta tak grubą warstwą czystego, gładkiego lodu, że jego szperające po dolnym dźwigarze stopy znajdowały znikome oparcie. Nadjeżdżający z dołu wagonik zaczął się przesuwając pod ramieniem słupa w chwili, kiedy przebył najwyżej połowę drogi. Po raz pierwszy tej nocy Smith błogosławił blask księżyca. Zsuwając się i ślizgając zrobił jeszcze dwa kroki i rzucił się całym ciałem w stronę oblodzonej liny, lśniącej jasno w bladym księżycowym świetle. Chwyciwszy ją lewą dłonią, prawym ramieniem zahaczył o nią tak, że oparła mu się wysoko na piersiach. Przy tym chwycie nie popełnił najmniejszego błędu, ale poślizg przy odbiciu sprawił, że wylądował za blisko i lina podeszła mu pod brodę z szarpnięciem grożącym urwaniem głowy. Nogi uciekły mu daleko do tyłu, powróciły, a kiedy opuścił się na całą długość lewej ręki, dotknęły dachu wagonika. Puścił linę, opadł na czworaki i na ślepo, lecz z powodzeniem sięgnął ręką ku wspornikowi. Przez długie sekundy klęczał w tej pozycji nie mogąc powstrzymać wymiotów; bolało gardło i ciągle jeszcze pozbawione tchu płuca. Potem z wolna najgorsze minęło i położył się twarzą do dachu wagonika, który oddalając się od środkowego słupa zaczynał się kołysać coraz mocniej. Smith nigdy by nie uwierzył, że można być aż tak wyczerpanym, a mimo to zachować tę resztkę siły i instynktu samozachowawczego, żeby czepiając się kurczowo zdradliwego i niepewnego uchwytu utrzymać się na oblodzonym dachu.

Upłynęły długie sekundy, zanim wątłe siły zaczęły mu powracać. Omdlałym ruchem podciągnął się do pozycji siedzącej, odwrócił i spojrzał za siebie w dolinę.

Wagonik, który tak niedawno opuścił, był w tej chwili nie dalej niż pięćdziesiąt metrów od najniższego słupa. Thomas i Christiansen, który owijał prowizorycznym bandażem skaleczoną dłoń, siedzieli skuleni na środku. Przednie i tylne drzwi były nadal

otwarte, jak podczas nieudanego ataku na Smitha. Fakt, że żaden z nich nie ośmielił się zbliżyć do skraju wagonika i pokusić o zamknięcie drzwi, dobitnie świadczył o szacunku, jeśli nie strachu, jaki w nich teraz wzbudzał.

Na dachu wagonika rozbłysło jaskrawe światło, przyćmiewające intensywnością bieli magnezję. Jednocześnie rozległy się dwa głuchoe wybuchy, tak bliskie sobie w czasie, że nie do odróżnienia. Dwa tylne wsporniki ramienia zaczepowego urwały się i wiszący już tylko na dwóch przednich wagonik przechylił się gwałtownie, poddarty z przodu.

Kąt nachylenia podłogi wzrósł w okamgnieniu od zera do co najmniej trzydziestu stopni. Christiansenem cisnęło w tył, ku ciągle otwartym drzwiom, chwycił się więc rozpaczliwie ściany wagonika, ale – zranioną ręką. Nie wydawszy dźwięku, znikł za drzwiami i równie bezgłośnie spadł w czeluść doliny.

Thomas mający dwie zdrowe ręce i szybszy refleks zdołał się tymczasem uratować. Zerknął w górę i zobaczył, że dach zaczyna się wyginać i pękać: dwa przednie wsporniki ramienia zaczepowego, poddawane rwącym poprzecznym naprężeniom, których nikt nie przewidział w projekcie, zaczęły wyszarpywać z dachu śruby zabezpieczające. Wdrapał się więc z trudem po stromo nachylonej podłodze i stanął w przednich drzwiach. Przednie wsporniki trzymały się coraz słabiej, przechył był teraz czterdziestopięciostopniowy i skraj dachu wagonika niemal dotykał liny. Thomas wyciągnął ręce, pochwycił linę i ledwie oderwał nogi od krawędzi, kiedy oba wsporniki zostały wyrwane z dachu z rozdzierającym zgrzytem metalu. Wagonik odpadł obracając się wokół własnej osi.

Uwolniona nagle od ciężaru lina zatrzepotała gwałtownie, ale Thomasowi udało się utrzymać. Odwrócił się i zaledwie metr przed sobą zobaczył ramię dolnego słupa. Nagłe porażenie wszystkich fizycznych i psychicznych władz odbiło się dokładnie i wstrząsająco na jego zastygłej z przerażenia twarzy. Wargi miał rozwarłe w panicznym strachu, a kostki rąk połyskiwały mu jak wypolerowana kość słoniowa. A potem nie było już rąk, tylko ramię słupa i pusta lina, i długi cichnący krzyk wśród nocy.

W miarę jak wagonik zbliżał się do górnej stacji, Smith przesuwiał się na jego przód, żeby ominąć krawędź dachu. Z miejsca, gdzie przycupnął, nie widział wschodniego skrzydła Schloss Adler, ale jeśli można było cokolwiek wnioskować ze słupów gęstego dymu sunących właśnie przez dolinę, pożar musiał szaleć tam dalej. Znów chmury przesłaniały księżyc, co miało swoje dobre, jak i złe strony; dobre, ponieważ mogły ich osłonić i uczynić mniej widocznymi gęste kłęby dymu; złe, bo z pewnością znacznie lepiej było widać płonący zamek. Pomyślał, że to tylko kwestia czasu, aby ogień i dym zwróciły uwagę kogoś ze wsi lub koszar. Mogły to także zrobić, dodał w myślach ponuro, coraz częstsze stłumione wybuchy dobiegające z samego zamku. Zastanawiał się, co było ich

przyczyną. Przecież Schaffer nie miał czasu na podłożenie takiej ilości ładunków „rozrywkowych”.

Dach wagonika minął poziom podłogi górnej stacji i Smith odetchnął z ulgą widząc postać stojącą przy przyrządach sterowniczych. Schaffer! Co prawda Schaffer dość potłuczony i przygięty, Schaffer niepewnie stojący, Schaffer z jedną stroną twarzy skrytą pod maską krwi, Schaffer, sądząc z badawczej i wykrzywionej miny, mający najwyraźniej pewne kłopoty z ostrością widzenia, lecz niewątpliwie on, i to do tego stopnia na chodzie, że nic poza tym nie miało znaczenia. Smith poczuł przyływ energii, dotąd nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo w gruncie rzeczy polegał na Amerykaninie. Był pewien, że teraz, kiedy miał Schaffera u boku, nie dadzą się łatwo zatrzymać.

Gdy w polu jego widzenia znalazł się dach stacji, spojrzął w górę. Mary i Carnaby-Jones stali tam nadal, przyciśnięci plecami do zamkowego muru. Pozdrowił ich uniesieniem dłoni, lecz w odpowiedzi nie dali żadnego znaku. Pomyślał z goryczą, że duchów powracających z krainy umarłych nie wita się zazwyczaj gestem ręki.

Schaffer, mimo kłopotów z oczami i utrzymującego się oszołomienia, zdawał się bezbłędnie operować sterami. Mógł to być, i przypuszczalnie był, najprawdziwszy fuks, ale Amerykanin ustawivszy dźwignie biegów w położeniu zerowym, używając hamulca zatrzymał wagonik dokładnie w pół drogi pod krawędzią dachu. Najpierw Mary, a potem Jones z mocno zaciśniętymi oczami, zsunęli się po nylonowej linie na dach wagonika. Żadne z nich nie odezwało się ani słowem nawet wtedy, gdy Schaffer wwiózł ich do środka i kiedy ześliznęli się na podłogę stacji.

– Prędej, prędzej! – Smith szarpnięciem otworzył tylne drzwi. – Wszyscy do środka!
– Podniósł z podłogi luger Schaffera i okręcił się w miejscu, bo usłyszał wściekłe ujadanie psów, a po nim uderzenia ciężkich kowalskich młotów w żelazną bramę stacji. Pierwsza z dwóch zapór musiała zostać sforsowana, teraz druga znajdowała się w oblężeniu.

Mary i potykający się Schaffer byli już w wagoniku. Jones jednakże nie zrobił najmniejszego ruchu, żeby tam wejść. Stał ze schmeisserem Smitha w rękę przysłuchując się wściekłemu waleniu w bramę. Minę miał obojętną.

– Niestety nie najlepiej znoszę wysokości. Tylko że tym razem nie o to chodzi – powiedział przepaszającym tonem.

– Do środka! – Smith niemal wysyczał te słowa.

– Nie. – Jones zaprzeczył ruchem głowy. – Przecież słyszy pan. Lada chwila się przebiją. Zostają.

– Do jasnej cholery! – krzyknął Smith wyprowadzony z równowagi.

– Jestem dwadzieścia lat starszy od każdego z was.

– No tak, oczywiście – Smith skinął głową z namysłem i wyciągnął do niego prawą

rękę. – A więc powodzenia, panie Jones. – Z tymi słowy wymierzył mu cios lewą ręką i na wpół wciągnął, na wpół wniósł ogłuszonego do wagonika. Potem podszedł szybko do przyrządów sterowniczych, przesunął dźwignię biegów do oporu, zwolnił hamulec i pobiegł za ruszającym wagonikiem.

Kiedy wysuwali się spod dachu stacji, odgłosy towarzyszące szturmowaniu wewnętrznej bramy zdawały się nasilać. Smithowi przyszło na myśl, że w Schloss Adler nie mają pewnie ani pneumatycznych dłut, ani palników acetylenowo-tlenowych, bo któż mógł przewidzieć, że znajdą one zastosowanie. Zresztą było to bez znaczenia. Nawet przy najlepszych chęciach para żelaznych wrzeciądzy nie mogła długo odpierać podobnego szturmu. Smith zamknął w zamyśleniu tylne drzwi wagonika. Schaffer siedział podpierając się łokciami, z głową w dłoniach. Mary klęczała na podłodze, wpatrzona w leżącą u niej na kolanach piękną srebrzystowłosą głowę Jonesa. Smith nie widział jej twarzy, ale pomyślał ponuro, że w tej chwili z pewnością gotuje się do kazania na temat tyranów, którzy chodzą i biją starszych, bezbronnych amerykańskich aktorów. Niemal dwie minuty upłynęły w całkowitym milczeniu, aż wreszcie Carnaby-Jones drgnął, a wtedy Mary również się poruszyła i podniosła oczy na Smitha. Ku jego zdumieniu na twarzy miała uśmiech.

– W porządku – powiedziała. – Liczyłam do dziesięciu. W tej sytuacji było to jedyne wyjście. – Umilkła i jej uśmiech zgasł. – Myślałam, że zginąłeś.

– Nie ty jedna. Po tym wszystkim przechodzę na emeryturę. W ciągu ostatnich piętnastu minut zużyłem zapas szczęścia na całe życie. Ty też nie wyglądasz najlepiej.

– Bo nie czuję się najlepiej. – Twarz Mary, walczącej z dzikim kołysaniem wagonika, była blada i napięta. – Jeżeli chcesz wiedzieć, to jest mi niedobrze. Nie przepadam specjalnie za tą formą podróży.

Smith postukał w dach.

– Chcesz spróbować jazdy klasą turystyczną na czymś takim? – spytał czule. – Nigdy potem nie narzekałabyś na pierwszą klasę. O! Zbliża się słup numer dwa. Już połowa drogi.

– Już połowa drogi! – Zamilkła. – Co się stanie, jeżeli przebiją się przez tamtą bramę?

– Przystawią dźwignię biegów w drugą stronę i... jazda na górę.

– Czy nam się podoba, czy nie?

– Czy nam się podoba, czy nie.

Carnaby-Jones powoli i z wysiłkiem usiadł, rozejrzał się dookoła nic nie rozumiejąc, aż wreszcie uświadomił sobie, gdzie jest, potarł delikatnie szczękę i powiedział do Smitha:

– To był chwyt poniżej pasa.

– Jak najbardziej – potwierdził Smith. – Przepraszam.

– A ja nie. – Jones uśmiechnął się niepewnie. – Jakoś nie wydaje mi się, że bym był

stworzony na bohatera.

– Ani ja, bracie, ani ja – odezwał się żalobnym tonem Schaffer. Uniósł głowę i rozejrzał się dookoła. Spojrzenie miał nadal szkliste i tylko częściowo skupione, ale na prawym policzku, tym nie zalepionym krwią, widać było powracający słaby rumieniec. – A nasi trzej przyjaciele? Co się z nimi stało?

– Nie żyją.

– Nie żyją? – Schaffer jęknął i potrząsnął głową. – Opowiesz mi o tym kiedyś. Byle nie teraz.

– Nie wie, co traci – powiedział Smith bez współczucia. – Dramatyzm całej sytuacji w ogóle do niego nie dociera, a zresztą, może to i dobrze. Czy brama jeszcze stoi, czy też puszczają już zawiasy i kłódki? Czy ktoś biegnie już do przyrządów sterowniczych?... Czy...

– Przestań! – Głos Mary był ostry, wysoki i pobrzmiewała w nim histeria. – Przestań tak mówić!

– Przepraszam – powiedział Smith ze skruchą. Wyciągnął rękę i dotknął jej ramienia. – Po prostu pocieszam się, to wszystko. Zbliżamy się do ostatniego słupa. Jeszcze mniej więcej minuta i będziemy w domu.

– W domu! – powiedział gorzko Schaffer. – Poczekaj, aż będę miał w ręku menu z „Savoy Grilla”. Wtedy będę w domu.

– Niektórzy bez przerwy myślą o żołądku – zauważył Smith. W tej chwili sam myślał o swoim i wcale nie było z nim najlepiej. Z żadnym żołądkiem nie jest najlepiej, kiedy ma się uczucie, że tkwi w nim twarda, zimna ołowiana kula, a z zewnątrz ściska go lodowata dłoń. Serce waliło mu w piersiach wolno, ciężko i boleśnie, miał też trudności z mówieniem, gdyż cała ślina jakby wyparowała mu z ust. Zdał sobie nagle sprawę, że podświadomie stale odchyła się do tyłu, przygotowany na moment, kiedy wagonik szarpnie i zatrzyma się, a potem zacznie się wspinać z powrotem do Schloss Adler. Odliczę do dziesięciu, powiedział w duchu, a potem, jeżeli dojedziemy tak daleko bez zatrzymania, odliczę do dziewięciu, a wtedy... Wtedy zauważył twarz Mary, śmiertelnie bladą, przerażoną i niemal wynędzniałą, twarz postarzałą o piętnaście lat, i nagle zawstydził się samego siebie. Usiadł i uścisnął ją za ramię.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział z przekonaniem. Ni stąd, ni zowąd odzyskał łatwość mówienia. – Wujek John ci to mówi. Zaraz się przekonasz.

Podniosła na niego oczy próbując się uśmiechnąć.

– Czy wujek John ma zawsze rację?

– Zawsze – odparł stanowczym tonem.

Upłynęło dwadzieścia sekund. Smith wstał, podszedł na przód wagonika i zerknął

w dół. Choć księżyc przyćmiły chmury, mógł dojrzeć mglisty zarys dolnej stacji. Obrócił się, żeby spojrzeć na pozostałych. Wszyscy wpatrywali się w niego.

– Zostało najwyżej sto stóp – powiedział. – Zaraz otworzę drzwi. Za kilka sekund. Do tego czasu znajdziemy się piętnaście stóp nad ziemią. Góra dwadzieścia. Jeżeli wagonik się zatrzyma, skaczemy. Na dole jest kilka stóp śniegu. Powinien na tyle zamortyzować upadek, żeby było pięćdziesiąt procent szans, że nic sobie nie złamiemy.

Schaffer otworzył usta, żeby zrobić jakąś stosowną uwagę, ale rozmyślił się i znużony z powrotem w milczeniu schował twarz w dłonie. Smith otworzył przednie drzwi i starając się z całych sił zignorować lodowaty podmuch wiatru, który wtargnął w tym momencie, spojrzął prosto w dół zdając sobie sprawę, że zbyt optymistycznie ocenił odległość między wagonikiem a ziemią. Wynosiła ona bowiem co najmniej pięćdziesiąt stóp, czyli dość, żeby nawet w największym optymizmie obudzić przeraźliwe myśli o połamanych kościach udowych i piszczelach. I wtedy odpędził tę myśl, bo zmuszony był wziąć pod uwagę jeszcze bardziej zatrważający czynnik. Z oddali dochodziło wycie syren i widać było kołyszące się snopy światła coraz bliższych reflektorów. Schaffer uniósł wzrok. Oszłomienie już minęło, choć głowę miał nadal obolałą.

– Z lewej nadciągają posiłki – oznajmił. – Tego nie było w planie, szefie. Nie ma radia, nie ma telefonu, nie ma helikoptera...

– Ale są stare sposoby. – Smith wskazał na tylne okno. – Stosują sygnały dymne.

– O rany! – Schaffer wpatrzył się w tylną szybę i rzekł głosem zdjętym grozą: – Nie ma co, jak na kamień pali się niezgorzej!

Wcale nie przesadzał. Jak na kamień, paliło się wspaniale. Schloss Adler rzeczywiście płonął na dobre, a dym stał się nagle w tej połodze drobnym i doprawdy znikomym elementem. Ogarnięta płomieniami budowla prawie w nich zniknęła. Płomienie były niebotyczne i sięgały już niemal do samego szczytu wielkiej okrągłej północno-zachodniej wieży. Wybudowany na wulkanicznej skale, w połowie zbocza góry, płonący zamek odcinał się od słabo widocznego tła ginących przed wzrokiem wzniesień Weißspitze. Jego blask, który zaczynał właśnie rozświetlać dolinę i zupełnie przygasił bladą poświatę wyzierającego znów zza chmur księżyc, tworzył niewiarygodnie fantastyczny widok z jakiejś równie niewiarygodnej i fantastycznej baśni.

– Miejmy nadzieję, że wszyscy są tam dobrze ubezpieczeni – odezwał się Schaffer. Wstał już i spoglądał właśnie w kierunku dolnej stacji. – Ile nam zostało, szefie? Jak wysoko jesteśmy?

– Trzydzieści stóp, może dwadzieścia pięć. I piętnaście do ziemi – odparł Smith. Światła jadących samochodów mijały w tej chwili ciągle jeszcze dymiące zgliszczka stacji kolejowej. – Udało nam się, poruczniku.

– Udało nam się. – Wagonik szarpnął zatrzymując się gwałtownie i niespodziewanie. Schaffer zachwiał się i zaklął. – To znaczy, prawie.

– Wszyscy skakać! Skakać! – krzyknął Smith.

– Oto mówi nieustrudzony mąż zaufania – powiedział Schaffer. – Odsuń się, mam dwie zdrowe ręce.

Przecisnął się obok Smitha, chwycił lewą ręką za framugę drzwi, przyciągnął do siebie Mary, a potem puściwszy jej talię, chwycił ją za przegub ręki i spuścił przez przednie drzwi tak nisko, jak tylko mu na to pozwalało wyciągnięte ramię. Miała do ziemi zaledwie niecały metr. W ciągu trzech sekund zrobił to samo z Carnaby-Jonesem. I wtedy wagonik szarpnął i ruszył z powrotem w górę. Schaffer właściwie wyrzucił z niego Smitha, krzywiąc się z bólu, kiedy przez chwilę wziął na siebie całe dziewięćdziesiąt kilogramów jego żywej wagi, a potem sam wysliznął się przez drzwi, zawisł przez moment na wyciągniętych na całą długość rękach i opadł z wysokości dwóch metrów w miękki, poddający się śnieg. Zachwiał się, lecz utrzymał równowagę.

Obok niego wyrósł Smith. Z torby na plecach wyciągnął już ładunek plastiku i usunął zawleczkę spłonki. Wręczając go Schafferowi powiedział:

– Masz sprawną prawą rękę.

– Mam sprawną prawą rękę. Do koni, nie. Do baseballu, owszem. – Schaffer przymierzył się i zgrabnie wrzucił ładunek przez drzwi znikającego wagonika. – Dobrze?

– Dobrze. Chodź.

Gdy Schaffer popychał Carnaby-Jonesa, Smith odwrócił się, chwycił Mary za rękę i przebiegli wzdłuż ściany dolnej stacji pod osłonę najbliższego domu. Zrobił to zaledwie na kilka sekund przedtem, nim samochód dowódczy, za którym jechało kilka ciężarówek wypełnionych po brzegi żołnierzami, z poślizgiem i zarzucając zatrzymał się przed stacją. Żołnierze wysypali się z ciężarówek i podążyli po schodach budynku stacji za oficerem, w którym łatwo można było rozpoznać pułkownika Weissnera.

Zamek płonął gwałtowniej niż dotąd, ogarnięty pożarem najwyraźniej niemożliwym do opanowania. Nagle rozległ się ostry huk wybuchu i jadący pod górę wagonik stanął w ogniu. Był w połowie drogi do pierwszego słupa i kołysał się szerokim łukiem nad doliną na wietrze podsycającym jego płomienie. Wspinał się w niebo, aż jego pożar został wchłonięty przez większy pożar Schloss Adler.

Kuląc się pod osłoną domu Schaffer dotknął ramienia Smitha.

– A nie miałbyś ochoty spalić jeszcze i stacji kolejki? – spytał.

– Idziemy – powiedział Smith. – Do garażu.

Pułkownik Wyatt-Tumer wychylił się z fotela drugiego pilota, przycisnął twarz do bocznej szyby i spojrzał na ziemię z nieszczęśliwą miną. Dobrze wiedział, że bombowiec Mosquito, czyli same silniki i sklejka, jest najszybszym na świecie samolotem bojowym. Mimo to nie był jednak przygotowany na coś równie szybkiego.

Oczywiście przy normalnym lataniu nie ma się wrażenia szybkości, ale przecież podpułkownik Carpenter nie latał normalnie. Przeciwnie, latał w sposób, który Wyatt-Turner uważał za wysoce nienormalny, co więcej, taki, który w każdej sekundzie mógł się dla nich skończyć katastrofą. Przyziemne wyczyny Carpentera miały wyjątkowo widowiskowy charakter: prześlizgiwał się nad polami, muskał wierzchołki drzew, wymijał niskie wzgórza, które stały mu na drodze, ale Wyatt-Turnerowi nic z tego ani trochę nie przypadło do gustu. A jeszcze mniej odpowiadała mu zatrważająca szybkość, z jaką ich księżycowy cień przebiegał ziemię pod nimi. Ale najmniej podobały mu się coraz częstsze przypadki, kiedy samolot i jego cień przybliżyły się do siebie, niemal się stykały. Próbuąc odsunąć od siebie myśli o tym, co musiałyby się nieuchronnie stać, gdyby jakkolwiek odległość między nimi przestała istnieć, oderwał prawie zahipnotyzowany wzrok od szyby i rzucił okiem na zegarek.

– Dwadzieścia pięć minut – powiedział. Spojrzał na rozluźnioną postać w fotelu pilota, a potem na zmęczoną życiem twarz, która tak dziwnie kontrastowała z zawadiackością rudych wiechciastych wąsów. – Zdąży pan na czas?

– Ja tak – odparł spokojnie Carpenter. – Rzecz w tym, czy oni zdążą?

– Bóg jeden wie. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby im się udać. Obaj z admirałem jesteśmy przekonani, że złapano ich w pułapkę w Schloss Adler. Zresztą, do tej pory cała okolica jest pewnie pod bronią. Jakże mogą mieć w ogóle szansę?

– I leci pan właśnie po to, żeby się o tym przekonać?

– Ja ich wysłałem – powiedział bezbarwnym głosem Wyatt-Turner. Wyjrzał przez boczną szybę i wzdrygnął się, gdyż samolot i jego cień zdawały się stykać prześlizgując się ponad wierzchołkami sosen. – Czy musi pan lecieć tak cholernie nisko? – spytał żałośnie.

– Radary wroga, chłopie – powiedział uspokajająco Carpenter. – Tu, w tych krzakach, jesteśmy bezpieczniejsi.

Smith, za nim Mary, Jones i zamykający pochód Schaffer przemknęli za tyłami domów po wschodniej stronie wiejskiej ulicy i ostrożnie przeszli przez złomowisko samochodów kierując się ku tylnym drzwiom garażu Suiza. Smith trzymał w ręku wytrychy i właśnie sięgał do kłódki, kiedy jedno ze skrzydeł drzwi otworzyło się cicho do środka. Stała tam

Heidi. Wytrzeszczyła na nich oczy, jak gdyby byli stworami z innego świata, spojrzała w górę na płonący zamek i wreszcie bez słowa przeniosła pytający wzrok na Smitha.

– Wszystko jest tu, czarno na białym. – Smith poklepał się po bluzie. – Do autobusu.

Odczekał, aż wszyscy przejdą, jedno za drugim, przez drzwi, zamknął je, podszedł do okratowanego okna z przodu garażu i wyjrzał ostrożnie.

Ulicę wypełniał przewalający się tłum. W większości byli to żołnierze, przeważnie bez broni, którzy wybiegli z różnych szynków, żeby popatrzeć na płonący Schloss Adler. Ale w pobliżu było również mnóstwo zbrojnego wojska, z dwóch ciężarówek zaparkowanych niespełna trzydzieści metrów od garażu, nie wspominając o trzech innych stojących w górze ulicy, u stóp dolnej stacji kolejki. W dole ulicy, przed „*Zum Wilden Hirsch*”, parkował motocyklowy patrol. Jediną prawdziwą przeszkodą na drodze ich ucieczki był niewielki samochód dowódczy, z pasażerami, który stał tuż pod bramą garażu Suiza. Smith przyjrzał mu się w skupieniu i rozstrzygnął, że jest to przeszkoda do pokonania. Cofnął się od okienka i podszedł do przednich wrót, żeby sprawdzić, czy cztery rygle są nadal odsunięte.

Mary i Carnaby-Jones wsiedli już do autobusu. Kiedy Heidi zamierzała pójść w ich ślady, Schaffer chwycił ją w ramiona, szybko pocałował i uśmiechnął się do niej. Spojrzała zaskoczona.

– No co, nie cieszysz się, że mnie widzisz? – spytał. – Przeżyłem tam na górze straszne rzeczy. Mój Boże, dziewczyno, mogli mnie zabić.

– Nie jesteś taki przystojny jak dwie godziny temu. – Uśmiechnęła się, delikatnie dotknęła jego twarzy w miejscu, gdzie schmeisser Carracioli pozostawił krwawy ślad, i dodała przez ramię wspinając się do autobusu: – A to akurat tyle, ile mnie znasz.

– Dwie godziny! Postarzałem się dziś wieczór o dwadzieścia lat. A to, szanowna pani, są diabelnie długie zaloty. – Znużony z desperacką rezygnacją przyglądał się, jak Smith wspina się na fotel kierowcy i włącza zapłon. – Znosi się na następne dwadzieścia – dodał. – Wszyscy na podłogę!

– A ty? – spytała Heidi.

– Ja? – Zdziwienie Schaffera wydawało się szczere. Roztrzaskał kolbą schmeissera przednią szybę, odwrócił pistolet, odbezpieczył go i ukląkł na podłodze. – Jestem konduktorem. Przepisy zabraniają stania.

Środkowy palec zakrwawionej, obandażowanej dłoni Smitha sięgnął do guzika startera i wielki dieslowski silnik od razu zapalił. Autobus zaczął się cofać. Za nim stały dwa zupełnie dobre samochody, mercedes i opel, lecz kiedy Smith, którego mina nie zdradzała, że wie o ich obecności, dotarł na tył garażu, oba nadawały się już tylko na złomowisko. Zatrzymawszy wóz Smith włączył pierwszy bieg, przyśpieszył obroty silnika i z hukiem

wcisnął sprzęgło. Autobus skoczył do przodu i jadąc nabrał szybkości.

Smith wycelował czubkiem masywnego pługu śnieżnego w miejsce, gdzie schodziły się skrzydła wrót. Opór, jaki stawiały, świadczył, że równie dobrze mogłyby być zrobione z papieru pakowego. Uderzywszy w nie z hukiem i trzaskiem, tak że pogruchotane deski frunęły w powietrze jak konfetti, autobus wypadł z rykiem na ulicę. Smith gwałtownie zakręcił kierownicą w prawo i tak przechyleni wyjechali na zatłoczoną arterię.

Arteria być może była zatłoczona, ale ciekawscy przechodnie gapiący się na stos pogrzebowy Schloss Adler zostali wystarczająco wcześniej ostrzeżeni hukiem zwiększającego obroty autobusowego diesla, żeby na czas uskoczyć w bok. Jednakże samochód dowódczy nie miał szans na ucieczkę. Zanim do jednej z dwu siedzących na przednim siedzeniu osób, sierżanta, który opierał lekko dłonie na kierownicy, i majora trzymającego w jednej ręce radiotelefon, a w drugiej cienkie cygaro z długim popiołem, dotarło, co się dzieje, ich pojazd został zmieciony i uniesiony na pługu śnieżnym. Zanim zatrzymał się na poboczu, sunął przez piętnaście, a może nawet dwadzieścia metrów niebezpiecznie balansując na szerokim lemieszu pługa. W cudowny niemal sposób nie tracąc równowagi wylądował na wszystkich czterech kołach. W jednej ręce oszołomionego majora nadal tkwiła słuchawka telefonu, a w drugiej cygaro, z którego nawet nie spadł popiół.

Nieco dalej, tuż przed drzwiami „Zum Wilden Hirsch”, stała grupa zmotoryzowanych strzelców alpejskich gapiąc się z niedowierzaniem w górę ulicy. Ich pierwszą reakcją i natychmiastowym wnioskiem było, że albo Zep Salzmann, powszechnie lubiany kierowca autobusu, oszalał, albo pedał gazu zaklinował mu się między deskami podłogi. Ale rozczarowanie przyszło błyskawicznie. Usłyszeli bowiem wyraźne odgłosy szybko zmienianych biegów i mignęła im przed oczami postać Smitha przygarbionego nad kierownicą, a za nim skulonego Schaffera ze schmeisserem wystającym przez prawą, strzaskaną, szybę. Potem zapłonęły reflektory autobusu i przestali widzieć cokolwiek. Jednakże zobaczyli dosyć. Na rozkaz sierżanta patrol motocyklistów doskoczył do maszyn i zaczął je zapalać kopnięciami.

Ale Smith również zobaczył dosyć. Dał miejskim klaksonem ostrzegawczy sygnał, wykręcił kierownicę i zatoczywszy łuk zjechał na bok ulicy. Jego zamiary były przejrzyste i decyzja patrolu motocyklistów, żeby wybrać ostrożność zamiast samobójczego bohaterstwa, była tyleż natychmiastowa, co automatyczna. Jak szaleni cisnęli swoje pojazdy i rzucili się na łeb na szyję po schodach „Zum Wilden Hirsch”.

Seria metalicznych trzasków mieszających się z przeraźliwym zgrzytem rozdieranej i skręcanej stali zabrzmiała jak grzmot, kiedy pług śnieżny zderzył się z motocyklami i pociągnął je ze sobą w swojej olbrzymiej paszczy. Smith wyprowadził autobus na środek

drogi i wtedy znów parę motocykli ześliznęło się ze skośnego lemiesza uderzając w drewniany chodnik, czemu towarzyszyło pęknięcie drewna i gięcie metalu. Pojazdy nie przypominały już motocykli. Jednakże dwa z nich nadal tkwiły na lemieszu.

Autobus pocztowy ciągle nabierał szybkości, ponieważ Smith dusił pedał gazu do deski. Reflektory błyskały gwałtownie, na przemian długie i krótkie, a ulica przed nimi pustoszała z odpowiednią szybkością. Ale chwila, by ostatni opieszali przechodnie poderwali się uskakując w bezpieczne miejsce, nadeszła dopiero wtedy, kiedy Smith włączył klakson alpejski.

W górach alpejski autobus pocztowy ma bezwzględne pierwszeństwo przejazdu, a jego przenikliwy, stentorowy, trójdźwięczny klakson jest symbolem pełnej władzy, niepodważalnego prawa do całkowitego i wyłącznego pierwszeństwa. Dźwięk tego klaksonu, nawet jeśli nie widać samego autobusu, jest sygnałem dla wszystkich pojazdów i pieszych, żeby zatrzymali się lub zeszli całkiem na bok, sygnałem natychmiast i bezwiednie respektowanym, gdyż bezwzględne pierwszeństwo urzędowego pocztowego autobusu jest głęboko zakorzenione w świadomości mieszkańców Alp, i to od najwcześniejszego dzieciństwa. Być może czarodziejska różdżka lepiej by sobie poradziła z wymieceniem wiejskiej ulicy, lecz nie tak znowu wiele. Pojazdy, podobnie jak piesi, wciśnięte były w pobocza, jakby pomiędzy nimi a ścianami domów powstało jakieś potężne przyciąganie magnetyczne. Miny przechodniów były różne, od zdumienia do tępego niezrozumienia. Nie było w nich wrogości, nie starczyło na to czasu, gdyż wypadki toczyły się o wiele za szybko i zrozumienie nie nadążało za wydarzeniami. Autobus dojechał właśnie do końca ulicy i nadal nie było strzałów.

Tutaj, na ostrym zakręcie w lewo, dwa pozostałe motocykle ześliznęły się ze śnieżnego pługa i zderzyły z niskim kamiennym murkiem. Dwa następne pewniaki na samochodowe cmentarzysko za garażem Suiza, pomyślał Smith bez sensu. Widział teraz przed sobą drogę biegnącą prosto jak strzała wzdłuż ciemnych wód Blau See. Wyłączył alpejski klakson, ale zaraz zmienił zdanie i włączył go z powrotem. Taki klakson był w każdej chwili wart dwóch karabinów maszynowych.

– Nie znasz już innych melodii? – zapytał zirytowany Schaffer. Dygotał na całym ciele w lodowatym podmuchu wpadającym przez strzaskane okno, więc żeby choć trochę się zasłonić, usiadł na podłodze. – Daj mi znać, kiedy będziesz potrzebował moich usług. Spodziewam się, że za milę.

– Co rozumiesz przez „milę”?

– Bramy koszar. Ten gość w samochodzie dowódczym miał radiotelefon.

– Co ty powiesz? – Smith obdarzył go krótkim spojrzeniem. – To dlaczego go nie zastrzeliłeś?

– Zmieniłem się, szefie – westchnął Schaffer. – Coś wspaniałego wkroczyło właśnie w moje życie.

– A poza tym nie miałeś okazji.

– A poza tym, jak mówisz, nie miałem okazji.

Schaffer obrócił się i spojrzał w tylne okna autobusu wypatrując oznak pościgu, ale droga za nimi była pusta. Mimo to widok z tyłu nie zaliczał się do mało ciekawych. Całkowicie już ogarnięty płomieniami Schloss Adler, czerwono-białe piekło oświetlające na pół mili wokół swoje zdumiewająco niewłaściwe ośnieżone i oblodzone sąsiedztwo, był wyraźnie nie do ugaszenia. Marzenie podpalacza czy też koszmarny sen strażaka – zamek skończył się. Schaffer pomyślał, że do rana zamieni się w pustą skorupę, posępną, szerniałą ruinę, która przez przyszłe pokolenia będzie straszyć i profanować najpiękniejszą baśniową dolinę, jaką widział.

Przeniósł spojrzenie bliżej, usiłując odszukać wzrokiem pozostałą trójkę, ale wszyscy leżeli na podłodze, skryci za siedzeniami. Trzęsący się i podrygujący autobus przechylił się gwałtownie na bok – Schafferem rzuciło w prawo, o przednie drzwi. Zaklął, wyprostował się i zerknął na oświetloną tablicę rozdzielczą.

– Boże miej nas w opiece! – rzekł nabożnie. – Dziewięćdziesiąt!

– Kilometrów – wyjaśnił ze spokojem Smith.

– Aa! – stwierdził Schaffer patrząc, jak stopa Smitha przenosi się z pedału gazu na hamulec.

Wyjrzał bardzo ostrożnie ponad dolną framugą strzaskanej przedniej szyby i zagwizdał cicho. Do bram koszar pozostało im zaledwie dwieście metrów. Zarówno teren wokół wartowni, jak i położony za nią plac apelowy były jaskrawo oświetlone szerokokątnymi podwieszonymi lampami. Wydawało się, że dziesiątki uzbrojonych żołnierzy kręcą się chaotycznie i bez celu, ale prawie natychmiast zorientował się, że jest to błędne wrażenie. Biegli ku ciężarówkom i samochodom dowódczym i wdrapywali się na nie nie tracąc ani chwili.

– Nie ma co, ruch jak w ulu – zauważył. – Ciekaw jestem... – Urwał i szerzej otworzył oczy. Przed nimi wyrósł olbrzymi czołg. Dudniąc minął wartownię, skreślił w prawo, zatrzymał się, obrócił o 180° i całkowicie zablokował drogę. Jego wieżyczka przesunęła się minimalnie i skierowała na reflektory podjeżdżającego autobusu. – O, do licha! – Przerazony szept Schaffera był ledwie słyszalny wśród cichnącego huku autobusowego diesla. – „Tygrys”! A tamto to osiemdziesięcioośmiomilimetrowe działo, szefie.

– Widzę, że nie pukawka – przyznał Smith. – Plackiem na podłogę!

Sięgnął ręką, wyciągnął przełącznik i długi, czterdziestocentymetrowy kierunkowskaz zaczął się kiwać łagodnie w górę i w dół. Z kolei zmienił wpierw światła na krótkie,

a potem zupełnie je wyłączył, przejeżdżając ostatnie trzydzieści metrów tylko na światłach pozycyjnych i modląc się w duchu, żeby wszystkie te oznaki spokojnej powszedniości pomogły utrzymać czyjeś nerwowe palce z dala od spustu najbardziej śmiertelnościowego działa czołgowego, jakie dotąd wymyślono.

Palce z jakichś tam powodów zostawiły spust w spokoju. Smith zwolnił do szybkości ludzkiego kroku, skręcił w prawo, wjechał przez bramę wartowni i zatrzymał się. Zadbawszy o dokładne ukrycie zranionej dłoni, opuścił szybę i wychylił się wystawiając lewy łokieć przez okno. Trzech strażników pod dowództwem sierżanta, wszyscy z pistoletami maszynowymi w pogotowiu, otoczyło szoferkę.

– Prędko – krzyknął Smith. – Dzwoncie! Chirurg na izbę chorych! – Wskazał kciukiem za ramię. – Pułkownik Weissner. Dostał dwa razy. W płuca. Róbcie coś, na miłość boską!

– Ale... to przecież autobus pocztowy! – zaprotestował sierżant. – Mieliliśmy telefon od...

– Pijany, jak Boga kocham! – Smith zaklął z furją. – Rano stanie przed sądem wojennym. – Ściszył groźnie głos. – I wy także, jeśli pułkownik umrze. Ruszać się!

Włączył bieg i odjechał, ciągle zachowując spacerową szybkość. Sierżant uspokojony widokiem munduru majora i tym, że autobus wjeżdża do koszar tak wolno, a przede wszystkim władczy wyciem alpejskiego klaksonu, którego Smith nie wyłączał, podbiegł do najbliższego telefonu.

Wlokąc się ciągle na pierwszym biegu i prowadząc ostrożnie autobus przez tłum ludzi i maszyn Smith minął kolumnę motocyklistów w wysokich butach i rękawicach, pancerne pojazdy i ciężarówki. Wszystkie miały zapalone silniki, a niektóre jechały już w kierunku bramy, ale nie tak szybko, jakby sobie życzył. Przed nim znajdowała się grupka mężczyzn, składająca się głównie ze starszych rangą oficerów, którzy prowadzili ożywioną rozmowę. Smith jeszcze bardziej zwolnił i wychylił się przez okno.

– Są w pułapce! – wykrzyknął podnieconym głosem. – Na piętrze „*Zum Wilden Hirsch*”. Mają pułkownika Weissnera jako zakładnika. Pośpieszcie się, na miłość boską!

Urwał, rozpoznając nagle w jednym z oficerów kapitana strzelców alpejskich, z którym – w tymczasowej roli majora Bernda Himmlera – rozmawiał przedtem w „*Zum Wilden Hirsch*”. W następnej sekundzie rozpoznanie zostało odwzajemnione i kapitanowi w bezbrzeżnym niedowierzaniu opadła szczęka, lecz zanim zdołał ją podnieść, Smith przydusił już gaz do deski i autobus popędził ku południowej bramie. Żeby uniknąć sunącego jak kosa pługu śnieżnego, żołnierze rzucali się na boki. Zaskoczenie było takie, że uciekający zdołali przejechać całe trzydzieści metrów, zanim potłuczono im większość tylnych szyb. Dźwięk rozbijanego szkła mieszał się z dobiegającymi z tyłu odgłosami

bezlądnej strzelaniny. Smith rozpaczliwie kręcąc kierownicą przejechał w pędzie przez południową bramę i wypadł znów na główną drogę. Zapewniało im to przynajmniej tymczasową osłonę przed snajperami z placu apelowego. Wyglądało jednakże na to, że tylko wpadli z deszczu pod rynnę. Choć tymczasowo schronili się przed jednym wrogiem, to przed drugim, znacznie groźniejszym, nie osłaniało ich nic. Niewiele brakowało, żeby Smith stracił panowanie nad autobusem. Coś uderzyło w dół szoferki, prześliznęło się, z ostrym świstem i jękiem odbiło się, zniknęło w ciemnościach i eksplodowało w lawinowym rozbłysku światła niecałe pięćdziesiąt metrów przed nimi.

– „Tygrys”! – krzyknął Schaffer. – To cholerne osiemdziesięcioośmiomilimetrowe...

– Na dół! – Smith zgiął się wpół i bokiem tak przypadł do kierownicy, że oczy wystawały mu zaledwie parę centymetrów ponad dolną krawędź szyby. – Ten był nisko. Następny...

Następny pocisk wpadł przez górną część tylnych drzwi, przeleciał przez cały autobus i wypadł przodem przez dach, tuż ponad szybą. Tym razem nie było eksplozji.

– Niewypał? – spytał z nadzieją Schaffer. – A może próbują ślepyimi..

– Żadne ślepe! – Znow wyprostowany Smith rzucał autobusem szaleńczo i niebezpiecznie z boku na bok, usiłując zmylić celującego w nich z czołgowego działa artylerzystę. – Przeciwpancerne pociski, chłopcze, są tak skonstruowane, że wybuchają dopiero po przebiciu dwucalowej stalowej blachy czołgu. – Skrzywił się i pochylił nisko, bo trzeci pocisk wybił większość szyb po lewej stronie autobusu i obsypał ich ulewą tłuczonego szkła. – Niech tylko któryś z pocisków zamiast w cieką blachę uderzy w podwozie, silnik albo pług...

– Przestań – powiedział Schaffer błagalnie. – Lepiej niech nie wiem, czy się do mnie skrada. – Umilkł, po czym spytał: – Nie śpieszy mu się, co? Szykuje się na odświeżny strzał.

– Nie – odparł Smith zerknąwszy w boczne lustro. Przestał dziko rzucać autobusem, nadając mu bardziej zrównoważony kurs. – Nigdy nie myślałem, że ucieszy mnie widok paru goniących za mną ciężarówek wyładowanych strzelcami alpejskimi. – Włączył górny bieg i docisnął pedał gazu. – Z radością robię tym razem wyjątek.

Schaffer odwrócił się i spojrział przez strzaskane tylne okno. Na drodze za nimi doliczył się co najmniej trzech par reflektorów samochodowych i dalszych dwu wyjeżdżających przez południową bramę koszar. W sumie skutecznie zasłaniały autobus przed wzrokiem artylerzysty.

– To nie jest radość. To ekstaza! Co innego „tygrysy”, a co innego byle ciężarówka.

Schaffer szybko przeszedł środkiem autobusu, minął Mary i Carnaby-Jonesa, którzy dość niepewnie podnosili się z podłogi, i spojrział na stos skrzynek ustawionych na tylnych

siedzeniach.

– Sześć skrzynek! – powiedział do Heidi. – A prosiliśmy cię tylko o dwie. Skarbie, dzięki tobie będę najszczęśliwszym człowiekiem na świecie.

Otworzył tylne drzwi i zaczął opróżniać zawartość skrzynek na drogę. Kilka butelek odbiło się nieszkodliwie na twardej grudzie śniegu, ale autobus jechał już z taką prędkością, że większość roztrzaskiwała się przy upadku.

Kiedy pierwszy z dwóch pędzących na czele pościgu samochodów znalazł się niecałe sto metrów za autobusem, wjechał w rejon potłuczonego szkła. Z miejsca Schaffera nie sposób było dokładnie stwierdzić, co się stało, lecz informacje, które mógł zebrać dalekosiężny wzrok i słuch, były dostatecznie wymowne. Reflektory pierwszego samochodu zaczęły się nagle gwałtownie miotać z boku na bok, a poprzez hałas autobusowego diesla wyraźnie przebił się pisk hamulców. Jednak nieporównanie głośniejsze zabrzmiał rozdzierający łomot metalu, kiedy drugi samochód zderzył się z pierwszym. Przez kilka sekund oba jechały razem, jakby były szczepione ze sobą, a potem wpadły w dziki nie kontrolowany poślizg i wreszcie stanęły, pierwszy przodem w prawym rowie, a drugi tyłem w lewym. Ich reflektory zgasły tuż po zderzeniu, ale światła kolejnej nadjeżdżającej z tyłu ciężarówki aż nadto dobrze oświetliły drogę żeby pokazać, że jest ona całkowicie zablokowana.

– Zręcznie. Bardzo zręcznie, Schaffer – rzekł Schaffer z podziwem. – To ich zatrzyma, szefie! – zawołał do Smitha.

– Pewnie, że zatrzyma – odparł ponuro Smith. – Na całą minutę. Nie przebijesz w ten sposób grubych opon ciężarówek, a te rozbite zaraz zepchną na bok. Heidi?

Heidi przeszła na przód autobusu, dygocząc w podmuchach lodowatego wiatru wpadającego przez wybite przednie i boczne okna.

– Tak, majorze?

– Ile jest do zakrętu?

– Milla.

– A do drewnianego mostu... jak on się nazywa, Zur Alten Brücke?

– Kolejna mila.

– Najwyżej trzy minuty. – Smith podniósł głos. – Masz trzy minuty, Schaffer. Zdażysz?

– Zdażę.

Schaffer związywał już ładunki plastiku. Używał do tego przezroczystej taśmy klejącej, której długie wstążki zwisały z powiązanych pakunków. Zdażył właśnie ułożyć bezpiecznie ostatni z nich, gdy autobus, który objechał już Blau See i pędził przez sosnowy las, skręcił raptownie w boczną drogę. Schaffer poleciał w bok.

– Przepraszam – zawołał Smith. – O mało co jej nie przegapiłem. Niecała mila, poruczniku.

– Bez paniki – rzekł Schaffer pogodnie. Wyciągnął nóż i zabrał się do przycinania lontów jak najkrócej, a potem zerknął przez wybite tylne okno i zamarł w bezruchu. W połowie drogi za nimi widać było kołyszące się pionowo snopy światła potężnych reflektorów, które szybko się przybliżały. Radość znikła z jego głosu. – No, może jednak trochę paniki się przyda. Mam złe nowiny, szefie.

– A ja mam lusterko. Daleko jeszcze, Heidi?

– Za zakrętem.

Podczas gdy Schaffer spiesznie przygotowywał lonty, Smith skupił się na tym, żeby jak najszybciej pokonać najbliższy zakręt nie rozstając się z drogą. Wkrótce mieli go za sobą, a do mostu zostało najwyżej sto metrów.

Smith pomyślał, że nie jest to most, który wybrałby jadąc rowerem, a cóż dopiero sześciotonowym autobusem. Gdyby był chociaż przerzucony nad jakimś łagodnie wijącym się strumieniem, wówczas być może tak. Ale nie taki jak ten, piętnastometrowy, wyłożony leżącymi luzem podkładami kolejowymi, przerzucony nad parowem głębokim na sześćdziesiąt metrów i osadzony na drewnianych, bardzo starych podporach, którym, sądząc z tego, co mógł zobaczyć – a podjeżdżając pod ostrym kątem widział niewiele – nie zawierzyłyby nawet, gdyby podpierały stoły na ogródkowym przyjęciu u pastora.

Wpadł na tę sędziwą i zgrzybiałą konstrukcję z prędkością sześćdziesięciu pięciu kilometrów na godzinę. Ostrożniej i rozsądniej byłoby przepelznąć po niej w mniej niż spacerowym tempie, ale od pierwszej chwili był święcie przekonany, że im mniej spędzi czasu na każdym ze starych podkładów, tym lepiej. Ciężkie łańcuchy przeciwśnieżne wgrzały się i z przeraźliwym dudnieniem przesuwwały każdy kolejny podkład, autobus podskakiwał, jakby tańczył monstrialnego cakewalka, a cała konstrukcja mostu kołysała się z boku na bok jak mostek kapitański niszczyciela płynącego pełną parą po wzburzonym morzu. Początkowo Smith miał zamiar zatrzymać się na środku mostu, ale kiedy na niego wjechał, nie myślał już o tym, tak jak nie bawiłby się w zrywanie szarotki rosnącej na drodze górskiej lawiny. Na trzy metry przed końcem mostu nadepnął na hamulce i zatrzymał się z poślizgiem i wstrząsem znów na twardej ziemi, przebywszy niecałe dwadzieścia metrów.

Zanim autobus stanął, Schaffer z dwoma pakunkami plastiku w ręku otworzył tylne drzwi i zeskoczył na drogę. W ciągu pięciu sekund znalazł się z powrotem na moście i zgrabnie przeskakując kilkanaście poruszonych podkładów dotarł do głównych wsporników środkowej podpory. Przyklejenie ładunku do prawego wspornika, przebiegnięcie na drugą stronę mostu i umocowanie drugiego ładunku do lewego

wspornika zabrało mu niecałe dwadzieścia sekund. Słyszając narastający ryk zbliżającego się szybko samochodu podniósł oczy i ujrzał snopy światła niewidocznych reflektorów przeświecające zza zakrętu, który przed chwilą pokonali. Wyrwał zawleczkę spłonki, przebiegł na drugą stronę mostu, wyrwał zawleczkę drugiej spłonki i pognął do autobusu. Kiedy rzucił się całym ciałem w tylne drzwi, skąd wciągnęły go do środka pomocne dłonie, Smith włączał już bieg i ruszał.

Schaffer zdążył obrócić się, usiąść w przejściu i spuścić nogi przez otwarte drzwi akurat na czas, żeby dostrzec wyłaniające się zza zakrętu reflektory ścigającego samochodu, który był teraz niecałe sto metrów od mostu i przyśpieszał. Przez krótką chwilę ogarnięty bez mała paniką zastanawiał się gorączkowo, czy wystarczająco krótko przyciął lonty. Nie miał pojęcia, że ścigający są aż tak blisko. Wyczuwając raczej niż widząc napięte i stężałe twarze obu dziewcząt i siedzącego przy nim Carnaby-Jonesa, zorientował się, że dręczy ich ta sama myśl.

I wtedy w odstępnie sekundy rozległy się dwie głośnie, głuche detonacje, każda minimalnie poprzedzona jaskrawobiałym błyskiem, charakterystycznym dla plastikowych ładunków. Drewniane tramy i podkłady kolejowe, wyrzucone na kilkanaście metrów w górę, obracały się leniwie i dziwnie wolno, a wiele z nich spadło z powrotem na rozchwiany most, uderzając w niego z siłą wystarczającą, żeby rozbić środkową podpórę. W jednej chwili był most, a w następnej tylko pusty parów. Na jego przeciwległym brzegu kołysały się dziko snopy światła, bo kierowca rzucał maszyną z boku na bok, usiłując za wszelką cenę nie dopuścić do ześlizgnięcia się w przepaść. Wyglądało, że mu się to nie uda, aż do chwili, kiedy samochód sunąc bokiem uderzył w wielki głaz, dwukrotnie przekoziółkował i znieruchomiał niecałe dwa metry od skraju przepaści.

Schaffer potrząsnął głową ze zdumieniem, wstał, zamknął tylne drzwi, usiadł, zapalił papierosa, wyrzucił zużytą zapałkę przez strzaskane tylne okno i powiedział:

– Macie szczęście, że z wami jestem.

– O tak, a co więcej, jesteś skromny – powiedziała Heidi z podziwem.

– Rzadkie połączenie cech – przyznał Schaffer. – Mam dla ciebie w zapasie mnóstwo innych miłych niespodzianek na okres, kiedy będziemy się razem starzeć. Daleko do lotniska?

– Pięć mil. Około ośmiu minut. Ale to jedyny dojazd. Nie ma mostu, nie ma pośpiechu.

– Być może. Ale Schaffer wołałby już tu nie być. Powiedz mi, skarbie, czy te wszystkie butelki były puste?

– Te, które wyrzuciliśmy, tak.

– Po prostu nie zasługuję na ciebie – powiedział z czcią w głosie.

– Nareszcie nasze myśli idą jednym torem – odparła kwaśno Heidi.

Schaffer uśmiechnął się szeroko, wziął dwie butelki piwa i przeszedł na przód autobusu, żeby zmienić Smitha, który nie zatrzymując pojazdu co najmniej chętnie wysunął się zza kierownicy. Schaffer spostrzegł, że na prawej ręce Smitha nie ma ani skrawka bandaża, który by nie był całkowicie przesiąknięty krwią. Twarz Smitha była bardzo blada, ale Schaffer powstrzymał się od uwag.

Trzy minuty później wyjechali z lasu i pędzili przez rozległe pola, a po następnych pięciu Schaffer kierując się wskazówkami Heidi skręcił i przejechał przez wąską bramę po lewej stronie drogi. Reflektory oświetliły kolejno dwa małe hangary, wąski, pusty, biegnący w dal pas startowy i wreszcie podziurawiony kulami bombowiec Mosquito ze zgniecionym podwoziem.

– No, czy to nie piękny widok? – Schaffer ruchem głowy wskazał samolot. – Transport Carnaby-Jonesa?

Smith potaknął.

– Zaczęło się od Mosquita i mam nadzieję, że na Mosquicie się skończy. Jesteśmy na lotnisku Oberhausen. To baza pilotów bawarskiej górskiej służby ratowniczej.

– Hip, hip, hura dla pilotów bawarskiej górskiej służby ratowniczej! – Schaffer zatrzymał autobus przodem do pasa startowego, zgasił światła i wyłączył silnik. W milczeniu siedzieli po ciemku, czekając.

Pułkownik Wyatt-Turner wyrztał przez boczną szybę i odetchnął z ulgą, gdyż po raz pierwszy tej nocy ziemia uciekła gwałtownie spod Mosquita.

– Zdenerwował się pan, pułkowniku? – spytał z sarkazmem.

– Owszem, trzeciego września w 1939 – odparł pogodnie Carpenter. – Musiałem się wznieść. Z tamtych krzaków trudno byłoby zobaczyć sygnały rozpoznawcze.

– Jest pan pewien, że trzymamy właściwy kurs?

– Bezwarunkowo. Tam widać Weißspitze. Trzy minuty lotu. – Carpenter umilkł, po czym dodał w zamyśleniu: – To, tam na górze, wygląda jak noc świętojańska, nie uważa pan?

Niewiele przesadził. Sylwetka Weißspitze ledwie majaczyła w oddali, lecz trudno było nie zauważyć potęgi wielkiego pożaru szalejącego w połowie jej zbocza. Raz na jakiś czas pojawiały się wielkie plamy czerwonego ognia i czegoś, co wyglądało na gigantyczne fajerwerki wzbijające się wysoko ponad główne ognisko pożaru.

– Materiały wybuchowe albo pudła z amunicją – odezwał się Carpenter w zamyśleniu. – To oczywiście Schloss Adler. Czy któryś z pańskich chłopców miał przy sobie zapalki?

– Widocznie tak. – Wyatt-Turner przypatrywał się obojętnie odległej połodze. –

Niezły widok.

– Rzeczywiście – zgodził się Carpenter. Dotknął ramienia Wyatt-Turnera i palcem wskazał w dół. – Za to tam jest jeszcze ładniejszy, nie widziałem dotąd nic równie pięknego.

Wyatt-Turner podążył wzrokiem za wskazującym palcem. Nie dalej niż trzy kilometry przed samolotem i ze sto pięćdziesiąt metrów pod nim błyskała regularnie para reflektorów włączanych i wyłączanych co dwie sekundy. Wysiłkiem woli odwrócił od nich oczy i zerknął szybko na Carpentera, ale prawie natychmiast powrócił ku błyskającym światłom. Wlepił w nie zahipnotyzowany wzrok i powoli z niedowierzaniem potrząsnął głową.

Długie światła autobusu pocztowego oświetlające pas startowy były włączone, a silnik na chodzie, kiedy czarny, przysadzisty kształt Moskita z maksymalnie wystawionymi hamulcami aerodynamicznymi wyrównywał lot podchodząc do lądowania. Schaffer ruszył dodając gazu i szybko zmieniając biegi, a Mosquito opadł nad dachem autobusu i nawet nie podskoczywszy przepięknie wylądował.

Nie upłynęła minuta, kiedy Schaffer zarzucając autobusem zahamował zaledwie parę metrów od znieruchomiałego już samolotu. Pół minuty później, kiedy cała piątka znalazła się bezpiecznie w Mosquicie, Carpenter zawrócił nim o 180° i nie zwalniając hamulców rozpędził silniki do maksymalnych obrotów. A potem byli już w drodze nabierając tak prędko szybkości, że znaleźli się w powietrzu na dwieście metrów przed końcem pasa. Przez pierwszy kilometr, kiedy się wznosili, Carpenter kierował samolot niemal wprost na płonący zamek, który oświetlał czerwono całą dolinę, lecz potem stos pogrzebowy Schloss Adler zniknął na dobre, gdyż Mosquito skręcił i skierował się na północny zachód, do domu.

Podpułkownik Carpenter podniósł samolot na wysokość pięciu tysięcy stóp i nie zniżał lotu. Minęła już pora na lawirowanie wśród krzaków. Lecąc do celu dbał jedynie o to, żeby żadna niemiecka stacja nie wychwyciła go na tyle wcześnie, aby móc choćby z grubsza odgadnąć, dokąd leci. Lecz teraz nic go to nie obchodziło, nawet gdyby wszystkie stacje radarowe w tym kraju wiedziały, dokąd zmierza. Leciał do domu, do Anglii, wykonawszy zadanie, i w całej Europie nie było samolotu bojowego, który mógłby go dogonić. Niezmiernie zadowolony pykał więc sobie rozkosznie ze swojej cuchnącej fajki.

Jego pięcioro świeżo pozyskanych pasażerów było chyba nieco mniej zadowolonych. Brakowało im porządnego wyściełanego fotela pilota, który zajmował Carpenter. O komforcie podróży we wnętrzu Mosquita nie mogło być mowy. Było ono ponure, lodowate, ciasne – do przewozu tysiąca ośmiuset kilogramów bomb, które może zabrać Mosquito, potrzeba niewiele miejsca – i zupełnie bez siedzeń. Trzej mężczyźni i dwie dziewczyny przykucnęli w niewygodnej pozycji na cienkich siennikach, a ich miny dość wyraźnie świadczyły o dotkliwym braku wygod. Pułkownik Wyatt-Turner siedział bokiem w fotelu drugiego pilota, tak że mógł widzieć Carpentera i pasażerów i z nimi rozmawiać. Na kolanach nadal trzymał stena, którego przygotował na wypadek, gdyby po wylądowaniu wynikły jakieś kłopoty lub gdyby świetlne sygnały okazały się podstępem Niemców. O nic nie pytając, pozornie bez zainteresowania, przyjął krótkie wyjaśnienie Smitha w sprawie obecności dwóch dziewcząt zmuszonych uciekać przed zemstą Gestapo. Bo pułkownik Wyatt-Turner myślał o innych, ważniejszych, sprawach.

Smith podniósł oczy znad krwawiącej, pokiereszowanej dłoni, na której Mary, korzystając z pokładowej apteczki, właśnie zmieniała mu opatrunek, i odezwał się do pułkownika:

– To miło, panie pułkowniku, że osobiście wyleciał pan nam na spotkanie.

– Bynajmniej – powiedział szczerze Wyatt-Turner. – Zwariowałbym, gdybym choć minutę dłużej pozostał w Londynie... Musiałem wiedzieć. W końcu to ja was tam wysłałem. – Siedział przez jakiś czas bez słowa, po czym odezwał się z ciężkim sercem: – Zginął Torrance-Smythe, sierżant Harrod, a teraz, jak pan mówi, Carraciola, Christiansen i Thomas. Wszyscy nie żyją. Wysoka cena, Smith, przerażająca cena! Moi najlepsi ludzie.

– Wszyscy, panie pułkowniku? – spytał spokojnie Smith.

– Starzeję się. – Wyatt-Turner ze zmęczeniem potrząsnął głową i przeciągnął dłonią po oczach. – Czy dowiedział się pan, kto...

– Carraciola.

– Carraciola! Ted Carraciola?! Niemożliwe! Nie wierzę.

– I Christiansen. – Głos Smitha był nadal cichy i spokojny. – I Thomas.

– I Christiansen? I Thomas? – Pułkownik spojrzał uważnie na Smitha. – Wiele pan przeszedł, majorze Smith. Pan się nie najlepiej czuje.

– Nie tak dobrze jak przedtem – przyznał Smith. – Ale wystarczająco dobrze, żeby ich zabić.

– Pan... pan ich zabił?

– Już kiedyś zabiłem zdrajcę. Przecież pan o tym wie.

– Tak... ale żeby wszyscy trzej? Zdraycy? Niemożliwe. Nie mogę w to uwierzyć! Nie uwierzę!

– Więc może uwierzy pan temu, panie pułkowniku. – Smith wyciągnął zza bluzy jeden z notesów i wręczył go Wyatt-Turnerowi. – Nazwiska i adresy lub punkty kontaktowe wszystkich niemieckich agentów w południowej Anglii oraz nazwiska wszystkich brytyjskich agentów w północno-zachodniej Europie, których Niemcy zastąpili swoimi ludźmi. Rozpozna pan charakter pisma Carracioli. Napisał to pod przymusem.

Powoli, jak człowiek we śnie, Wyatt-Turner wyciągnął rękę i wziął notes. Przez trzy minuty sprawdzał jego zawartość przerzucając wolno, niemal niechętnie, kartki, aż wreszcie odłożył go z westchnieniem.

– Jest to najważniejszy dokument w Europie, najważniejszy, jaki widziałem. – Westchnął. – Cały naród ma u pana wielki dług wdzięczności, majorze Smith.

– Dziękuję, panie pułkowniku.

– A raczej miałby. Wielka szkoda, że nie będzie okazji go spłacić. – Wyatt-Turner zdjął z kolan stena i wycelował nim w serce Smitha. – Nie zrobi pan żadnego głupstwa, prawda, majorze?

– Co pan, człowieku... – Carpenter obrócił się w fotelu i wytrzeszczył na mówiącego zaskoczone i pełne niedowierzania oczy.

– Proszę się skupić na prowadzeniu samolotu, drogi pułkowniku. – Wyatt-Turner kiwnął lekko stenem w jego kierunku. – Proszę przez jakiś czas trzymać obecny kurs. W ciągu godziny wylądujemy na lotnisku w Lille.

– Ten gość oszalał! – szepnął wstrząśnięty Schaffer.

– Jeżeli tak, to oszalał parę lat temu – rzekł sucho Smith. – Panie i panowie, przedstawiam wam najniebezpieczniejszego szpiega w Europie, najwybitniejszego podwójnego agenta wszystkich czasów. – Zamilkł oczekując reakcji, ale nikt się nie odezwał. Rewelacja odsłonięcia podwójnego charakteru Wyatt-Turnera była zbyt wielka, by ją mogli pojąć natychmiast. – Pułkownikowi Wyatt-Turner – ciągnął – po południu stanie pan przed sądem wojennym, zostanie pan skazany, przewieziony do więzienia Tower, potem wyprowadzony z przepaską na oczach i jutro o ósmej rozstrzelany.

– Wiedział pan? – Układna pewność siebie opuściła Wyatt-Turnera całkowicie, jego głos, cichy i napięty, był ledwie słyszalny wśród huku silników. – Wiedział pan o mnie?

– Wiedziałem – potwierdził Smith. – Ale przecież wszyscy wiedzieliśmy, prawda, pułkowniku? Twierdził pan, że w ciągu trzech lat spędzonych po niemieckiej stronie służył pan w Wehrmachcie i w końcu rozpracował naczelne dowództwo w Berlinie. Pewnie, że pan to zrobił. Z pomocą Wehrmachtu i naczelnego dowództwa. Ale kiedy losy wojny odwróciły się i nie mógł pan już dłużej karmić aliantów fałszywymi i mylącymi sprawozdaniami na temat planowanych posunięć niemieckich, wtedy pozwolono panu uciec z powrotem do Anglii, żeby mógł pan karmić Niemców prawdziwymi i szczegółowymi sprawozdaniami na temat alianckich planów oraz przekazywać im wszelkie informacje, których potrzebowali, żeby dobrać się do brytyjskich agentów w północno-zachodniej Europie. Ile milionów franków zebrał pan na swoim numerowanym koncie w Zurychu, pułkowniku?

– Bracie, to wszystko jest niedorzeczne – powiedział wolno Carpenter, wpatrując się przed siebie w szybę ochronną.

– Niech pan tylko spróbuje mrugnąć, a zobaczy pan, jaki niedorzeczny jest ten sten – zaproponował Smith i znów spojrział na Wyatt-Turnera. – Obawiam się, że nie docenił pan admirała Rollanda. Od miesięcy podejrzewał pana i czterech dowódców sekcji wydziału C. Ale pomylił się co do Torrance-Smythe'a.

– Niech pan zgaduje dalej. – Wyatt-Turner odzyskał już spokój i prawie całkowitą pewność siebie. – Zejdzie nam w ten sposób czas aż do Lilie.

– Na pana nieszczęście nie ma tu nic do zgadywania. Admirał Rolland odwołał mnie i Mary z Włoch. Nie mógł już być pewien nikogo w Londynie. Pan wie, jak szerzy się korupcja? Trzeba mu przyznać, że rozegrał to bardzo sprytnie. Powiedział panu, że podejrzewa kogoś z dowódców sekcji, ale nie wie kogo, więc kiedy rozbił się generał Carnaby, podsunął panu myśl o wysłaniu pracowników sekcji na ratunek. Upewnił się przy tym diablo starannie, że przed ich odlotem ani razu nie miał pan okazji porozmawiać z którymkolwiek z nich na osobności.

– To... to dlatego mnie wezwano? – Schaffer wyglądał tak, jakby go ogłuszono workiem z piaskiem. – Bo nie mogliście ufać...

– Wiedzieliśmy tylko, że M.I.6 został rozpracowany... No cóż, pułkowniku, nie był pan zbyt szczęśliwy, dopóki admirał Rolland nie poprosił pana o wybranie przywódcy. Więc wybrał pan mnie. Rolland był jedynym człowiekiem po obu stronach, który wiedział, lecz wiedział pan od szefa wywiadu wojskowego Kesselringa, dzięki pańskiemu koledze admirałowi Canarisowi, że jestem ich najlepszym podwójnym agentem. A raczej zdawało się panu, że pan wie. Rolland był jedynym człowiekiem po obu stronach, który wiedział, że

nim nie jestem. Dla pana celów nadawałem się idealnie. Rolland postarał się też, żeby nie miał pan okazji ze mną porozmawiać, ale to pana nie zmartwiło. Zdawał pan sobie sprawę, że będę wiedział, co robić. – Smith uśmiechnął się posepnie. – Z radością informuję, że wiedziałem. Musiał pan przeżyć niezły szok, kiedy admirał zdradził panu, kim naprawdę jestem.

– Wiedział pan o tym? Wiedział pan o tym wszystkim? – Dopiero co odzyskany spokój Wyatt-Turnera znikł, a jego głos przycichł ze złości. Uniósł nieco stena. – Co z panem, Smith?

– Wszystko zostało tak zaaranżowane, żeby zmusić pana do odsłonięcia kart. Mieliśmy wszystko oprócz dowodu przeciwko panu. Uzyskałem go dziś wieczorem. Pułkownik Kramer wiedział o naszym przybyciu i o tym, że naszym celem jest generał Carnaby. – Skinął głową w kierunku Jonesa. – Przy okazji przedstawiam panu amerykańskiego aktora, Cartwrighta Jonesa.

– Co?! – Wyatt-Turner wydusił z siebie to słowo, jakby na gardle zaciskały mu się dwie silne dłonie.

– Generał Carnaby spędza właśnie spokojny weekend w wiejskim domu admirała w Wiltshire. Jako dubler pan Jones był wręcz zachwycający. Tak samo doskonale wprowadził ich w błąd, jak doskonale wprowadziło ich w błąd fałszywe przymusowe lądowanie – ukartowane, jak pan chyba zdążył się domyśleć. – Wyatt-Turner usiłował coś powiedzieć, lecz zawiódł go głos. Poruszał ustami, a z jego czerwonej twarzy zniknął wszelki rumieniec. – A dlaczego Kramer o nas wiedział? Wiedział, ponieważ powiadomił pan Berlin tuż po tym, jak admirał Rolland podsunął panu plan. Nikt inny nie miał ku temu okazji. Wiedział też, że dziś wieczorem będziemy w „Zum Wilden Hirsch”. Wiedział, ponieważ powiadomiłem o tym pana dziś rano w meldunku radiowym i nie tracił pan czasu, żeby przekazać dalej dobre wieści.

– Jest pan pewien? – spytała Heidi. – Czy informatorem nie mógł być Carraciola, Christiansen lub Thomas, ten z nich, który zabił Torrance-Smythe’a? Tuż przy gospodzie jest budka telefoniczna.

– Wiem. Ale nie, bo nie miał tyle czasu. Wyszedłem z gospody dokładnie na siedem minut. Trzy minuty po moim wyjściu to samo zrobił Torrance-Smythe. Zobaczył, że któryś z trójki wychodzi, i poszedł jego śladem. Smithy był inteligentny i wiedział, że coś jest mocno nie w porządku. On...

– Skąd wiedział? – spytał Schaffer.

Tego nigdy nie będziemy pewni. Jak sądzę, okaże się, że świetnie czytał z ruchu warg. W każdym razie przyłapał tego, który wychodził, w budce telefonicznej przed urzędem pocztowym, nim tamten zdążył się połączyć z Weissnerem lub Kramerem. Stoczyli walkę

na śmierć i życie. Zanim zabójca odciągnął Smithy'ego na tyły gospody i wrócił do budki, zajął ją ktoś inny. Widziałem go. Zabójca musiał więc wejść z powrotem do gospody. To Kramer zawiadomił Weissnera, a Kramera nasz pułkownik.

– Bardzo interesujące. – W głosie Wyatt-Turnera brzmiała ironia, lecz zadawała jej kłam mocno niepewna mina. – Doprawdy fascynujące. Skończył pan, majorze Smith?

– Skończyłem – westchnął Smith. – Po prostu musiał pan się z nami spotkać, prawda, pułkowniku? Była to dla pana ostatnia otwarta furtka do życia. W moim ostatnim meldunku radiowym powiedziałem admirałowi, że „mam wszystko”. Wyjaśnił panu, co to oznacza – wszystkie nazwiska i wszystkie adresy. Nigdy nie mogliśmy dotrzeć do pana przez Carraciolę, Christiansena czy Thomasa... byli zbyt blisko pana w M.I.6, a pan był zbyt szczwany, żeby mogli wiedzieć, dla kogo pracują. Ale używał pan pośredników, a ich nazwiska znajdują się w tym notesie. Wiedział pan, że wskazaliby pana palcem... Kiedy trzeba wybierać pomiędzy spacerkiem pod szubienicę a mówieniem... cóż, nie bardzo jest w czym, prawda?

Wyatt-Turner nie odpowiedział.

– Proszę wziąć kurs na lotnisko w Lille – zwrócił się do Carpentera.

– Szkoda fatygi – powiedział Smith.

Wyatt-Turner wycelował w niego stena.

– Niech pan mi poda choć jeden istotny powód, dla którego nie miałbym pana teraz zastrzelić.

– Mogę to zrobić. – Smith skinął głową. – Jak pan myśli, dlaczego admirał Rolland towarzyszył panu na lotnisko? Nigdy przedtem tego nie robił.

– Dalej. – Głos Wyatt-Turnera był szorstki, obcesowy, ale oczy chore, chore nagłą pewnością porażki i śmierci.

– Żeby się ostatecznie upewnić, że weźmie pan ten i tylko ten pistolet. Proszę mi powiedzieć, czy widzi pan dwa równoległe nacięcia w miejscu, gdzie łożysko styka się z lufą?

Wyatt-Turner wpatrywał się w Smitha przez dłuższą chwilę, a potem szybko zerknął na swego stena. Niewątpliwie dokładnie tam, gdzie mówił Smith, były dwie równoległe rysy. Kiedy znów podniósł wzrok, twarz miał konwulsyjnie wykrzywioną, a chorobliwy wyraz oczu ustąpił miejsca rozpacz.

– Zgadza się – powiedział Smith. – Własnoręcznie spiłowałem iglicę dokładnie trzydzieści sześć godzin temu.

Lewą ręką sięgnął niezdarnie pod klapę kieszeni bluzy i wyciągnął lugera z tłumikiem. Wyatt-Turner celując stenem w jego głowę z odległości niespełna metra naciskał raz po raz spust, a każdy konwulsyjny skurcz jego wskazującego palca nagradzało suche, puste

szczęknięcie. Z oszołomioną i rozkojarzoną miną opuścił broń na podłogę, a potem szybko obrócił się w fotelu, szarpnięciem otworzył drzwi i wyrzucił notes w ciemności nocy. Odwróciwszy się w stronę Smitha uśmiechnął się posepnie.

– Najważniejszy dokument w Europie, chyba tak go nazwałem.

– Właśnie tak. – Smith przekazał pistolet Schafferowi, sięgnął pod bluzę munduru i wyciągnął jeszcze dwa notesy. – Duplikaty.

– Duplikaty! – Uśmiech powoli zniknął z twarzy o masywnych szczękach, aż zamarła z wyrazem klęski. – Duplikaty – wyszeptał Wyatt-Turner. Rozejrzał się wolno po wszystkich i w końcu spojrzął na Smitha, który odebrał już swój pistolet. – Zastrzeli mnie pan? – spytał.

– Nie.

Wyatt-Turner skinął głową i odsunął drzwi na całą szerokość.

– Czy naprawdę widzi mnie pan w Tower? – Zrobił krok do przodu, stając w drzwiach.

– Nie. – Smith potrząsnął głową. – Nie, nie widzę.

– Uwaga na stopień – ostrzegł Schaffer. Jego głos był zimny, obojętny, a twarz jak wykuta w kamieniu.

– No tak, czas się odezwać. – Smith zasunął drzwi, z trudem wgramolił się na fotel drugiego pilota i spojrzął na Mary. – Admirał na pewno zaczyna się martwić.

– Czas się odezwać – powtórzyła mechanicznie Mary i wlepiła w niego oczy, jakby zobaczyła ducha. – Jak możesz tak siedzieć... zaraz po tym... jak możesz być taki spokojny?

– Bo to nie jest dla mnie żaden wstrząs, głuptasku. Wiedziałem, że zginie.

– Wiedziałeś... oczywiście, oczywiście – wymamrotała.

– A zatem – ciągnął Smith rozmyślnie ożywionym tonem biorąc ją za rękę – zdajesz sobie sprawę, co to oznacza, prawda?

– Czy zdaję sobie sprawę, co oznacza co? – Twarz Mary była nadal szara.

– Ty i ja jesteśmy całkowicie spaleni – wyjaśnił cierpliwie. – Skończeni. I we Włoszech, i w północno-zachodniej Europie. Nie pozwolą mi nawet walczyć jako żołnierzowi, bo gdyby mnie schwytano, to i tak byłbym rozstrzelany jako szpieg.

– Więc?

– Więc dla nas wojna się skończyła. Po raz pierwszy możemy pomyśleć o sobie. Dobrze? – Ucisnął jej dłoń, a Mary odpowiedziała mu drżącym uśmiechem. – Dobrze. Pułkownik, czy mogę skorzystać z pańskiego radia?

– A więc wybrał takie rozwiązanie. – Admirał Rolland stojąc ze słuchawką w ręku

obok olbrzymiego radionadajnika w londyńskim sztabie operacyjnym sprawiał wrażenie, jakby się postarzał i był bardzo, bardzo zmęczony. – Może tak jest najlepiej, Smith. Ma pan wszystkie potrzebne informacje?

– Wszystkie, panie admirale – zachrypiął w słuchawce głos Smitha.

– Wyśmienicie, wyśmienicie! Postawiłem w stan gotowości policję w całym kraju. Kiedy tylko dostaniemy ten notes... Na lotnisku czeka na pana samochód. Do zobaczenia za godzinę.

– Tak jest, panie admirale. Jest jeszcze jedna sprawa, panie admirale, drobnostka. Chciałbym się dziś ożenić.

– Co takiego? – Siwe, krzaczaste brwi Rollanda uniosły się ku grzywie białych włosów.

– Chcę się ożenić – wyjaśnił Smith powoli i cierpliwym tonem. – Z panną Mary Ellisson.

– Ależ nie może pan – zaprotestował admirał. – Dzisiaj? Niemożliwe! Istnieją takie rzeczy jak zapowiedzi, pozwolenia... Urząd stanu cywilnego jest dziś zamknięty...

– Po tym wszystkim, co dla pana zrobiłem? – przerwał mu z wyrzutem Smith.

– To szantaż! Gra pan na uczuciu wdzięczności starego człowieka. Bezcelny szantaż!

– Rolland rzucił słuchawkę, uśmiechnął się ze zmęczeniem i sięgnął do drugiego telefonu.

– Centrala, proszę mnie połączyć z sekcją fałszowania dokumentów.

Podpułkownik Carpenter z dobrze rozpaloną fajką i ze stojącą obok w zasięgu ręki świeżo nalaną z termosy filiżanką kawy był znów sobą, czyli zachowywał niewzruszony spokój. Smith cicho rozmawiał z Mary, a Jones miał zamknięte oczy i wyglądało, że śpi. Dalej, w tyle kadłuba, Schaffer obejmował ramieniem Heidi, która nie robiła nic, żeby mu w tym przeszkodzić.

– Dobrze – mówił. – Więc pójdziemy dziś wieczorem do tego baru, zobaczymy...

– Mówiłeś o „Savoy Grillu” – przypomniała Heidi.

– „To, co zowią różą, pod inną nazwą...” [*William Szekspir „Romeo i Julia”, akt II, sc. 2. Przekład Józefa Paszkowskiego (przyp. tłum.)]” Więc pójdziemy do tego baru, zamówimy pasztet, wędzonego pstrąga, polędwicę z najlepszej wołowiny...

– Z najlepszej wołowiny! – Heidi spojrzała na niego z rozbawieniem. – Zapomniałeś, że jest wojna, co? Zapomniałeś o racjach żywnościowych? Prędeż polędwicę z koniny.

– Skarbie. – Schaffer ujął jej dłonie i przemówił tonem surowym i poważnym. – Skarbie, nigdy więcej nie wymawiaj przy mnie tego słowa. Jestem uczulony na konie.

– Jadasz je? – Heidi wybałuszyła na niego zdumione oczy. – W Montanie?

– Spadam z nich – odparł ponuro. – Wszędzie.